



**Allison Leigh**

**Prawdy  
i kłamstwa**

*Tytuł oryginalny: The Truth About the Tycoon*



# Rozdział 1

Furgonetka pojawiła się nagle tuż przed jego samochodem.

Dane Rutherford zaklął soczyście i szarpnął kierownicą w lewo. Zdołał minąć wóz dosłownie o włos. Przez moment widział wystraszone oczy prowadzącej go kobiety, kiedy obróciła się w jego stronę. Wciąż złorzecząc, wpadł w poślizg i chociaż przód jego auta minął furgonetkę, to tyłem zarzuciło tak, iż usłyszał zgrzytanie metalu o metal. Nic wielkiego by się jednak nie stało, gdyby kierująca pojazdem nie wpadła w panikę i nie straciła nad nim kontroli.

Aby uniknąć zderzenia, starał się nie hamować, ale po chwili miał już poważne problemy z zapanowaniem nad swoim wozem. Zjechał na pobocze piekielnie wąskiej, krętej drogi, po czym wyrzuciło go z powrotem na środek. Poczul, że unosi się w powietrzu, i dostał skurczu żołądka na myśl o tym, co nastąpi za chwilę.

Nie martwił się już o bezpieczeństwo kobiety. Nie przejmował się też tym, co powie Wood, gdy dowie się, że zniszczył jego cacko. Starał się tylko przygotować na uderzenie.

Jego auto nie należało do nowych. Drzewo, które przed sobą widział, było pewnie jeszcze starsze, ale duże i solidne. Nie było sposobu, by je ominąć.

Wytrzymało zderzenie.

Samochód się zatrzymał...

I to na dobre.

Hadley patrzyła z niedowierzaniem na przód czerwonego wozu, który złożył się jak akordeon na pniu wielkiej topoli. Zahipnotyzowana tym niespodziewanym widokiem, zapomniała o własnych problemach. Z trudem złapała powietrze i błyskawicznie przekreśliła kierownicę, aby nie wjechać do rowu po drugiej stronie drogi. Uderzenie furgonetki w słupek było tak mocne, że został niemal zmieciony.

Siedziała nieruchomo, dysząc ciężko i nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

Silnik jej auta wciąż pracował. Wyłączyła go po chwili, ale była na tyle zszokowana, że wciąż tkwiła na swym siedzeniu.

Stu znowu będzie miał robotę przy jej samochodzie. Potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od głupich myśli, i obejrzała się za siebie, aby sprawdzić, co dzieje się z tamtym wozem. Jednak rów był na tyle głęboki, że pojazd zniknął z jej pola widzenia.

- Boże, żeby tylko nic mu się nie stało - szepnęła i wyskoczyła na zaśnieżone pobocze.

Droga była śliska. Kobieta starała się utrzymać równowagę, ale za chwilę leżała jak długi. Podniosła się szybko i nie zważając na ból, dotarła do przeciwnego rowu. Drzwi rozbitego auta od strony kierowcy były zablokowane.

- Boże, żeby tylko nic mu się nie stało - powtarzała, brnąc w śniegu do drzwiczek z drugiej strony. Zauważyła, że jedno z tylnych kół wciąż się obraca. Pochyliła się i zajrzała do środka przez poznaczoną pajęczyną pęknięć boczną szybę.

Głowa mężczyzny spoczywała na zagłówku. Zauważyła krew na wewnętrznej stronie przedniej szyby; musiał w nią uderzyć. Dostrzegła też ranę na jego czole. W tym samochodzie nie było poduszki powietrznej.

Widok krwi wywołał kolejny szok.

-Hej! - Szarpnęła za pocięte drzwiczki, ale nie ustąpiły. Pomyślała, że nie zdoła wybić popękanej szyby. Dopiero teraz dotarło do niej, że silnik wciąż pracuje. Zaczęła walić w maskę, ponieważ auto miało miękki, opuszczany dach. Jednak mężczyzna nawet się nie poruszył. Wciąż tkwił na swoim miejscu z zamkniętymi oczami.

- Tylko nie to! - jęknęła, uderzając coraz mocniej, aż w końcu rozbolała ją ręka.

Po chwili ponownie zajrzała do środka. Tym razem zauważyła, że pierś poszkodowanego porusza się - słabo, ale regularnie.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęła.

Kierowca żył.

Szybko wygrzebała się z rowu i znów przebiegła przez drogę, starając się utrzymać równowagę. Palce miała tak skostniałe, że z trudem otworzyła swoją furgonetkę. Nie zważając na to, sięgnęła po torebkę, która spadła na podłogę, i nie tracąc czasu na poszukiwania, wyrzuciła całą jej zawartość na siedzenie. Złapała komórkę, ale dopiero za drugim razem udało jej się wybrać właściwy numer. Z telefonem

przy uchu ponownie pospieszyła na drugą stronę, dokonując przy tym nie lada akrobacji. Na szczęście tym razem się nie przewróciła. Zauważyła, że śnieg zdołał już pokryć cienką warstwą maskę i dach czerwonego auta.

- Shane, do cholery, odbierz telefon! - niemal krzyknęła, prawą ręką uderzając w drzwiczki. - Hej, proszę pana! Niech się pan ocknie! Do diabła, Shane. - Pochyliła się, żeby zajrzeć do środka wozu, i wtedy usłyszała głos brata. - Bogu dzięki! Shane, miałam wypadek... Nie, nie, nic mi nie jest.

Mężczyzna wewnątrz poruszył się na swoim miejscu.

- Hej, hej! Niech pan odblokuje drzwiczki! - krzyknęła, nie zwracając uwagi na kolejne pytania brata. Znowu zaczęła walić w maskę, a nawet kopnęła bok wozu.

Uniósł lekko głowę. Zobaczyła dwie ciemne szparki oczu pod gęstymi brwiami.

- Tak, tak. - Poglaskała samochód tak, jakby to był pies. - Niech się pan ocknie!

Dopiero teraz dotarło do niej, że ktoś krzyczy do słuchawki.

- Przepraszam, Shane. Jestem kilkaset metrów za drogą wyjazdową od Stu. Przyślij tu karetkę.

Rozłączyła się, nie zważając na dalsze pytania brata, i wsadziła komórkę do kieszeni kurtki. Aparat natychmiast się rozdzwonił, ale ona wołała zająć się rannym mężczyzną. On natomiast dotknął swego czoła, a potem patrzył z niedowierzaniem na krew, jakby usiłował sobie przypomnieć, co się stało.

- Niech pan odblokuje drzwi! - krzyknęła ponownie.

Popatrzył na nią. Poruszył się, ale zaraz skrzywił się z bólu. Z łatwością czytała z ruchów jego warg. Przeklinał. Uznała to za dobry znak. Po chwili wyciągnął rękę i usłyszała ciche kliknięcie. Pociągnęła mocno za klamkę i z trudem otworzyła drzwiczki. Kawałki szkła posypały się na ziemię. Nie zważając na to, sięgnęła do stacyjki i przekreśliła kluczyki.

Silnik umilkł.

Hadley miała wrażenie, że słyszy pospieszne bicie swego serca. Spojrzała na rannego i dopiero teraz zauważyła, że ich twarze niemal się stykają. Mężczyzna był... bardzo przystojny, chociaż miał twarz we krwi. Cofnęła się pospiesznie, czując, że oporne drzwiczki zgniatają jej nogi. Naparła na nie tyłem, żeby je szerzej otworzyć.

- Kto panią uczył jeździć? - warknął. Miał głęboki głos, chociaż mówił z trudem, ledwie poruszając wargami.

Kobieta aż się skurczyła.

- Mój ojciec, Beau Golightly.

Kierowca poruszył się, a potem jęknął. Położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu.

- Niech się pan nie rusza. Zaraz będzie tu karetka.

Ściągnęła rękaw swetra tak, by schować w nim dłoń, i dotknęła jego zakrwawionej skroni. Ścisnął nadspodziewanie mocno jej rękę.

- Nie potrzebuję żadnej cholernej karetki.

Popatrzyła na swój zakrwawiony rękaw.

- Lepiej, żeby zobaczył to lekarz - stwierdziła i cofnęła dłoń. Po chwili usłyszała syrenę. - Mój brat też tu pewnie zaraz będzie - dodała. - Jest szeryfem.

Mężczyzna spojrział na nią poirytowany, ale nic nie powiedział. Rozpiął tylko pasy i patrzył na pokiereszowany przód swojego wozu.

- Żartowała pani z tym Golighly, co? Takie nazwiska są tylko w filmach\*.

Hadley pokręciła głową.

- Nie, nie żartowałam. A poza tym umiem jeździć - powiedziała, broniąc się. - To pan się bawi w wyścigi.

Skrzywił się lekko. Powiedział chyba: „Już nie”, ale sygnał pogotowia był tak głośny, że nie usłyszała jego słów. Po chwili pojawili się ratownicy. Kobieta cofnęła się i spojrzała na Palmera Frame'a, który wraz ze swoim nowym pomocnikiem, Noahem Hanlanem, wskoczył do rowu. Karetka stała tuż obok, na poboczu.

Palmer spojrział na nią z troską.

- Nic ci nie jest?

Zaprzeczyła ruchem głowy i wskazała rannego kierowcę.

- On... on... bardzo krwawi.

- Nic się nie stało - usłyszała głos mężczyzny, ale tylko machnęła ręką. Po chwili za karetką stanęła jasnobrązowa terenówka, którą prowadził jej brat. Hadley westchnęła i zaczęła się wspinać na drogę. Co jakiś czas oglądała się za siebie, by sprawdzić, co robią obaj ratownicy.

Otworzyli szerzej drzwi wraka za pomocą łomu, a potem pomogli mężczyźnie wysiąść. Zauważyła, że jest wysoki, chyba nawet wyższy od Palmera, i że coś mówi. Stał na

\* *Gra słów: go - jechać i lightly - lekko. Jednocześnie nazwisko bohaterki filmu Śniadanie u Tiffany'ego.*

własnych nogach, co znaczyło, że jednak nie jest mocno ranny.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Wciąż była pogrążona w myślach, kiedy spostrzegła, że brat coś do niej mówi. I nie były to raczej miłe słowa. Poszkodowany kierowca ociągał się z przejściem do karetki. Oparł ręce na biodrach i zaczął oglądać swój wóz.

Tak, z całą pewnością był przystojny. I dobrze zbudowany.

- Hadley!

Zamknęła na chwilę oczy, pomodliła się w duchu, po raz kolejny tego dnia, i wyciągnęła rękę w stronę brata. Rów był coraz bardziej wyslizgany, a temperatura prawdopodobnie spadła jeszcze o parę stopni.

- Pomóż mi - poprosiła.

Shane patrzył na nią ostro, ale zauważyła też, że bardzo się tym wszystkim przejął. Kiedy stanęła przed nim, przyrzekał się jej uważnie.

- Naprawdę nic mi się nie stało - zapewniła.

Dopiero teraz odetchnął z ulgą. Skinął głową, a następnie pospieszył do rowu. Po chwili sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej swój służbowy notes. Znowu był w pracy.

Jego siostra zadrżała, żałując, że nie wzięła cieplejszej kurtki. Tę, którą miała na sobie, kupiła ze względu na ładny, różowy kolor oraz modny fason, ale teraz zaczęła tego żałować. A co będzie, jak chwyci silniejszy mróz?

Mężczyźni z uwagą oglądali w rowie rozbity pojazd. Sprawiali wrażenie, jakby byli pogrążeni w głębokiej żałobie. Cóż, wóz rzeczywiście nie wyglądał najlepiej, ale przecież



był to stary rupieć, w dodatku bez poduszki powietrznej. Kobieta bardziej przejmowała się stanem kierowcy. Przecież on ciągle krwawi, pomyślała. A ci zakichani ratownicy oglądają sobie zgnieciony w harmonijkę przód samochodu!

Ponownie zeszła do rowu i pociągnęła Palmera za rękaw.

- No przecież nie jesteście mechanikami - zauważyła. - Czy nie powinniście się zająć swoim pacjentem? - Wskazała mężczyznę.

Na jego włosach osiadały płatki śniegu. Miał niewiarogodnie długie rzęsy i patrzył na nią stalowoniebieskimi oczami. Hadley zrozumiała, że do tej pory nie wiedziała, co kryje się za tym określeniem, chociaż czasami używała go w swoich tekstach literackich. Cóż, wreszcie się dowiedziała. .. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

Przełknęła z trudem i cofnęła się o krok, zapadając się w głębszy śnieg. Upadłaby, gdyby mężczyzna nie wyciągnął błyskawicznie ręki i nie złapał jej.

- Zdaje się, że ostrożność nie jest pani najmocniejszą stroną - zauważył.

Chciała coś odpowiedzieć, ale dosłownie zapało jej dech z wrażenia. Miała go teraz bardzo blisko i przekonała się, że rzeczywiście jest tak przystojny, jak jej się wydawało. Oparła dłoń na jego skórzanej kurtce i lekko go odepchnęła.

Jest zbyt atrakcyjny, żeby się mną zainteresować, pomyślała. Zwłaszcza że to przeze mnie znalazł się w tym rowie.

- To nie jajechałam za szybko - zauważyła. Mimo to miała wyrzuty sumienia. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy mężczyznajechał ze zbyt dużą prędkością. Była za bardzo

pochłonięta myślami o braciach i o ich nadmiernym zainteresowaniu jej nieistniejącym życiem uczuciowym.

Shane, Palmer i Noah wciąż stali nad rozbitym samochodem i kręcili głowami.

- Ehm... chciałam zauważyć, że pan ciągle krwawi - zwróciła się do nieznanego, ale dostatecznie głośno, by inni też ją usłyszeli.

Zauważyła krwawe odciski palców na rękawie swojej kurtki. On też je dostrzegł i uśmiechnął się do niej.

- Bardzo mi przykro.

Westchnęła głośno, zniecierpliwiona całą sytuacją. Znowu wygramoliła się na drogę i podeszła z tyłu do karetki. Otworzyła drzwi i najpierw zmyła krew ze swoich rąk, a potem wzięła środki dezynfekcyjne oraz materiały opatrunkowe i ruszyła w stronę rozbitego wozu.

Dopiero teraz poczuła, jak bardzo bołą ją nogi od tego ciągłego wspinania się i schodzenia. Poza tym w miarę jak mijało napięcie, zaczynała coraz bardziej odczuwać zmęczenie. Mimo to postanowiła zrobić to, co trzeba. Kiedy znów znalazła się na dole, wyjęła z opakowania nasączony środkiem dezynfekującym gazik.

- Co pani robi? - burknął mężczyzna, kiedy zbliżyła go do jego twarzy.

- Staram się panu pomóc.

- Obejdzie się...

Hadley skinęła głową. Jak nie, to nie. Nie miała zamiaru robić nic wbrew jego woli. Wepchnęła więc przyniesione materiały w dłoń Palmera, mówiąc:

- W porządku. Mam inne sprawy na głowie.

- Zaraz, zaraz. - Zimny głos brata sprawił, że zastygła w bezruchu. - Przecież musimy jeszcze spisać protokół wypadku.

No tak. To głupio, że o tym zapomniała. Poczowała, że się rumieni, i miała nadzieję, że zajęci samochodem mężczyźni tego nie zauważą. Kiedy jednak spojrzała na nieznanego, stwierdziła, że przygląda się jej z zainteresowaniem.

- Dobrze, ale czy nie moglibyśmy tego zrobić w samochodzie? Może nie zauważyłeś, ale jest trochę zimno. - Kiedy mówiła, z ust wydobywały jej się obłoczki pary. Od Nowego Roku, który obchodzili tydzień wcześniej, temperatura wyraźnie spadała, a w dodatku nasiliły się opady śniegu.

Shane spojrział jeszcze raz na rozbite auto, a potem, ku jej uldze, skinął głową. Obaj ratownicy również zajęli się swoją pracą. Poszkodowany tym razem nie protestował, więc szybko opatrzyli mu czoło, nie stwierdziwszy innych urazów głowy.

Brat poprosił Hadley, żeby zaczekała na niego w policyjnej terenówce, a ona była na tyle wstrząśnięta, że posłuchała go bez protestów. Znowu zaczęła się wspinać po śliskim zboczu z nadzieją, że to już ostatni raz. Usłyszała jeszcze, jak szeryf pyta kierowcę, czy dowód rejestracyjny rozbitego wozu znajduje się w schowku. Terenówka Shanea miała włączony silnik, więc w środku było ciepło, można nawet powiedzieć, że gorąco. Dziewczyna szybko się rozgrzała, trzymając dłonie bezpośrednio nad nawiewem ciepłego powietrza i nie przejmując się ukłuciami, które czuła w czubkach palców. Co jakiś czas spoglądała przez boczną szybkę w kierunku grupki mężczyzn.

No tak, brat będzie musiał spisać protokół zajścia. Na pewno wlepi jej mandat. I w dodatku znowu będzie zmuszona zapłacić większe ubezpieczenie. Zaczęła rozcierać ręce, a potem chuchać na końce palców. Bardzo lubiła swoją miejscowość, Lucius, i w ogóle stan Montana, ale czasami wolałaby spędzić zimę gdzieś na słonecznej plaży. Zamknęła teraz oczy, wyobrażając sobie ciepło promieni słonecznych na swojej twarzy.

- Podaj mi ten notatnik - rzucił Shane, otwierając drzwiczki. W samochodzie od razu zrobiło się zimniej i mniej przytulnie. Hadley otworzyła oczy i spojrzała we wskazanym kierunku. Po chwili podała bratu urzędowe formularze, które musiał wypełnić.

- Nie znoszę tej biurokracji - westchnęła, widząc, jak dwaj ratownicy pomagają rannemu kierowcy wydostać się z rowu.

- Ciesz się, że nic się wam nie stało. Inaczej mielibyśmy znacznie więcej papierów do wypełnienia, a ty poważniejszy problem - powiedział tonem niezadowolenia.

- Jasne. - Miałaby okropne wyrzuty sumienia, gdyby okazało się, że temu mężczyźnie coś się stało. A poza tym nie znosiła, podobnie jak jej matka, tych wszystkich biurowych procedur. - Shane...

- Spokojnie, mała - przerwał jej. - Wszystko w swoim czasie.

Przewróciła oczami, słysząc to przewisko, ale miała na tyle rozumu w głowie, by nie zaprotestować. Nie było czasu na rodzinne sprzeczki. I na udowadnianie bratu, że wcale nie jest mała i doskonale sobie radzi. W aucie robiło się co-

raz chłodniej. Spojrzała jeszcze w stronę rannego i pomyślała, że też musi być przemarznięty.

- Czy nie mogliby mu dać jakiegoś koca?

Sheryf popatrzył na nią zdziwiony.

- Pewnie dadzą - rzucił, a potem znowu zaczął pisać. -

Stu skarżył się, że po prostu uciekłaś od Wendella, kiedy zaproponował ci kolację. Nie musiałaś się tak spieszyć.

- I co? Aresztujesz mnie teraz, bo nie chciałam zostać dłużej z Wendellem Pierce'em? Przecież zjadłam z nim obiad.

Jej starszy brat Stu namówił ją, by przyjechała na jego rancho, twierdząc, że z powodu złamanej ręki nic sobie nie może ugotować. Dopiero kiedy znalazła się na miejscu, okazało się, że podstępnie zaprosił również Wendella.

Znowu spojrzała za Shanea. Mężczyzna z rozbitego samochodu patrzył na nią, a ona poczuła mrowienie na plecach. To było dziwne. Nigdy wcześniej się tak nie czuła.

- Stu chce, żebyś się ustatkowała. Żebyś była szczęśliwa...

- przekonywał ją drugi z braci.

- Tak jak wy dwaj? - Spróbowała się uśmiechnąć i uniosła lekko brwi. - A może tak jak Evie? - Jej bracia nie byli żonaci, a siostra Evie, cóż, to była zupełnie inna historia... Hadley czuła się upokorzona, że wydawało im się, iż ona nie może sobie znaleźć odpowiedniego faceta.

Nawet jeśli mieli rację.

Nie, wcale nie chciała się do tego przyznać. Prawdę mówiąc, czuła się zupełnie bezbronna, kiedy chodziło o tę sprawę, i dlatego starała się unikać nawet rozmów na ten temat.

- Masz już dwadzieścia siedem lat - zauważył Shane i pod-

niósł wzrok znad notatek. - Kiedy ostatnio umówiłaś się na randkę? Oczywiście, pomijając Wendella.

Nie uważała, by kolacja zjedzona w miejscowej restauracji mogła uchodzić za randkę. I z pewnością nie umówiłaby się z nim po raz drugi, gdyby nie podstęp Stu. Ale cóż, pomijając to spotkanie, jej życie uczuciowe było naprawdę żalosne.

Nie chodziło o to, że z Pierce'em coś było nie w porządku. Miał czterdzieści lat, ciemne włosy, był wysoki i szczupły. Ale niewiele ich łączyło. Kiedy zostawali sami, rozmowa im się jakoś nie kleiła. W dodatku zupełnie jej nie pociągał.

- Cóż, może po prostu byłam zbyt zajęta - rzuciła. - Przecież wciąż pomagam Evie przy dzieciach i Stu w warsztacie. Nie mówiąc już o twoich papierach. - A przecież miała jeszcze swoją pracę w pensjonacie, który matka nazwała Tiff, no i starała się znaleźć dosyć czasu, by zająć się tym, co naprawdę uwielbiała, czyli pisaniem.

Shane nawet na nią nie spojrział. Skończył sporządzanie notatek i podszedł do pokrytej śniegiem furgonetki, żeby ją dokładnie obejrzeć. Na poboczu zatrzymał się kolejny pojazd, ciężarówka z lawetą. Wysiedli z niej Gordon i Freddie Finnowie i po chwili obaj zeszli po nasypie do rowu.

Hadley zamknęła drzwiczki terenówki, żeby znowu się trochę ogrzać. Zagryzła górną wargę, widząc, jak Gordon zaczepia linę o tylny hak rozbitego samochodu. Trudno było w to uwierzyć, ale pojazd wyglądał jeszcze gorzej, kiedy w końcu odklejono go od drzewa.

Spojrzała raz jeszcze na nieznanego. Miał nieprze-nikniony wyraz twarzy, zauważyła jednak napięte mięśnie

szczęki. Często widywała to u brata, kiedy nie chciał zdradzić swoich uczuć.

Westchnęła i wysiadła z terenówki. Podeszła do mężczyzny, który posłał jej niechętnie spojrzenie. Z całą pewnością był do niej nastawiony nieprzyjaźnie.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiego samochodu - powiedziała. Jej głos brzmiał zbyt słabo, ale nie miała siły, by go wzmocnić. - Długo go pan miał?

- Wystarczająco - odparł bez złości, co bardzo ją zaskoczyło.

- Indiana. - Zerknęła na tablicę rejestracyjną. - Gdzie pan jechał?

- Dlaczego pani pyta? - Dopiero teraz oderwał wzrok od swego wozu.

Uniosła rękę w obronnym geście.

- Praktycznie nikt się tutaj nie zatrzymuje - wyjaśniła. - Większość kierowców tylko tędy przejeżdża. Lucius to dziura.

Być może trochę przesadziła. W miasteczku był szpital, parę szkół, trzy kościoły, a także kilka niezłych restauracji oraz kino z czterema salami.

- Mm... mam komórkę, gdyby chciał pan gdzieś zadzwonić.

Nieznamy nie nosił obrączki, ale nie powinna wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Nie miała pojęcia, dlaczego zwróciła na to uwagę. Przecież wcześniej parokrotnie mówiła Stu, że wcale nie ma ochoty wychodzić za mąż.

- Nie, dziękuję - odparł.

Nie znaczyło to wcale, że nie ma do kogo dzwonić. Hadley przestąpiła z nogi na nogę i włożyła dłonie do kieszeni.

Freddie wciągnął już wrak na lawetę i zajął się jego mocowaniem. Jego brat cały czas mu pomagał. Dziewczyna westchnęła i jeszcze bardziej się skurczyła.

- Czy boli pana głowa?

- Bardziej to, że straciłem samochód - mruknął i odwrócił się do niej plecami.

Popatrzył na jej furgonetkę i dostrzegł na jej boku spory pas czerwonego lakieru; skierował wzrok gdzie indziej.

- Czy Palmer zawiezie pana do szpitala?

- Nie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jest bardzo dobrym ratownikiem. Najlepszym w okolicy, ale chyba powinien pana zbadać lekarz.

- Nie ma takiej potrzeby. - Powiedział to takim tonem, jakby chciał powstrzymać dalsze pytania. Hadley zagryzła wargi.

Shane skończył już oględziny oraz pisanie i ruszył w ich kierunku. Podsunął papiery mężczyźnie.

- Proszę się podpisać - powiedział. - Chciałbym również zobaczyć pana prawo jazdy.

- Moglibyśmy załatwić sprawę bez tych wszystkich formalności - zasugerował tamten.

Dziewczyna zdziwiła się, słysząc te słowa, a następnie popatrzyła na brata, ciekawa, jak zareaguje na propozycję.

- Czyżby z jakichś powodów nie chciał pan zgłosić tego wypadku? - spytał uprzejmie, jak zwykle, kiedy był z czegoś niezadowolony. Doskonale wiedział, że jego siostra też nie przepada za zgłaszaniem drogowych wykroczeń, ale zachowanie obcego wydało mu się podejrzane.



Mężczyzna nie przejął się tym pytaniem. Dotknął tylko opatrunku na swoim czole.

- Nie lubię tracić czasu - wyjaśnił. - Nic nam nie jest i oboje zgodziliśmy się zapłacić za własne szkody.

Z ust Hadley wyrwał się cichy okrzyk. Prawda była taka, że niczego jeszcze nie ustalili.

- Moja siostra zajęła panu drogę, a pan sam chce zapłacić za naprawę swojego wozu? - Shane spojrzął na samochód na lawecie. - Przecież to shelby rocznik sześćdziesiąt osiem, prawda?

Poszkodowany nie zareagował na to pytanie.

- Jechałem za szybko - odrzekł. - Oboje ponosimy winę za to, co się stało.

Szeryf westchnął lekko i poprawił swój kowbojski kapelusz.

- Mogę sprawdzić ślady hamowania, by to stwierdzić. Ale przecież obaj wiemy, że jechał pan z dozwoloną prędkością.

- Spojrzzał badawczo na nieznanego. - Dlatego chciałbym wiedzieć, dlaczego nie chce pan zgłosić tego wypadku.

- Muszę zająć się swoimi sprawami.

Był niewzruszony, co budziło podziw Hadley. Niewiele osób miało odwagę stawić czoło Shane'owi Golightly. Nawet Stu miał z tym problemy i zwykle ustępował, kiedy brat na coś nalegał.

Ona też nie zamierzała spierać się z kierowcą rozbitego auta. Wcale nie zależało jej na tym, by dostać mandat. Shane zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Cóż, dowód rejestracyjny jest w porządku. - Postukał

w dokument, który wciąż trzymał w ręku. - Chciałbym jeszcze zobaczyć pańskie prawo jazdy, a wtedy się zastanowię. Twarz mężczyzny nadal nie drgnęła.

- Nie mam go ze sobą - odpowiedział.

O Boże, pomyślała Hadley i spojrzała na czubki swoich butów w śniegu.

- Mamy więc problem - stwierdził szeryf.

Zamknęła oczy. Shane zawsze mówił takim tonem, kiedy miał do czynienia z przestępcami. Ale ten wcale nie wyglądał na złodzieja, chociaż prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, jak może wyglądać ktoś, kto ukradł samochód. Gdyby miała opisać kogoś takiego w swojej książce, z pewnością nie dałaby mu kasztanowych włosów i pięknych, błękitnych oczu. Już raczej przetłuszczone i długie, a może także kolczyk w uchu i jakiś tatuaż. Poza tym taki złodziej nie zachowywałby się jak bohater...

Pociągnęła nosem i spojrzała na brata.

- Shane, pan... - Zerknęła na mężczyznę.

- Tolliver. Wood Tolliver.

- Pan Tolliver z pewnością nie jest przestępcą.

Dobry Boże, żeby nie okazało się, że jednak jest złodziejem, modliła się w duchu. Jest na to zdecydowanie zbyt przystojny.

- Prawdę mówiąc, nazywam się Atwood, Atwood Tolliver, ale wszyscy nazywają mnie Wood. - Kąciki jego ust uniosły się lekko. - Po prostu nie reaguję na moje pełne imię.

Mówił głębokim barytonem i miał południowy akcent, nie za mocny, ale jednak wyraźny. Hadley słuchała go z przy-

jemnością. Pomyślała, że jej zmarła matka mówiła właśnie z takim akcentem.

Nagle uprzytomniła sobie, że znowu wpatruje się w nieznanego. Drgnęła i spuściła wzrok, udając, że zainteresował ją śnieg na butach. Ponownie poczuła mrowienie na plecach i nie było to wcale nieprzyjemne.

- Cóż, panie Wood - odezwał się Shane - obawiam się, że będę musiał zaprosić pana do siebie. Przynajmniej dopóki nie sprawdzimy pochodzenia tego wozu.

Wzrok mężczyzny stał się zimny jak lód, ale na szeryfie nie zrobiło to większego wrażenia. Obcy żałował pewnie teraz, że w ogóle przyjechał do Lucius i że spotkał tę kobietę, jeśli można to było nazwać spotkaniem.

Hadley miała przed sobą najprzystojniejszego faceta, jakiego w życiu widziała. I teraz jej brat chciał go aresztować.

## Rozdział 2

Miałby tu zostać?

Rzadko się zdarzało, by ktoś sprzeciwił się Daneo'wi. Teraz jednak było inaczej. Sądząc z miny szeryfa, będzie musiał spędzić trochę czasu w tym przeklętym miejscu. A przecież chciał tylko wykonać swoje zadanie, a następnie dostarczyć przyjacielowi, Woodowi, wspaniały wóz, który kupił na aukcji.

Nie wyglądało na to, że wydostanie się stąd szybko. Zresztą i tak musiałby poczekać, aż miejscowi blacharze wyklepią roztrzaskane auto. A to oznaczało, że trzeba tu zostać.

Musiał przyznać, że kobieta, która spowodowała wypadek, była bardzo ładna. Zachowywała się jednak tak, jakby cokolwiek mogło ją wystraszyć. Choć nie wydawało się to wcale dziwne, wziąwszy pod uwagę okoliczności.

Niełatwo było natomiast przestraszyć Danea. A już z pewnością nie obawiał się kobiet.

- Nic nie mogę na to poradzić, skoro chce pan zarekwirować samochód - zwrócił się do Shanea. Przynajmniej na ra-

zie, dodał w duchu. - Ale chciałem zauważyć, że jeśli zgłosi pan ten wypadek, to ucierpi pańska siostra. W przeciwnym razie pozostanie jej tylko własna furgonetka do naprawy. - Wyjął portfel, a kobieta wciągnęła głęboko powietrze, widząc jego zawartość.

Widok banknotów nie zrobił jednak większego wrażenia na szeryfie.

- Jak twój wóz, Hadley? - spytał. - Możesz nim jechać? Spojrzała najpierw na nieznanego, a potem na brata i potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem.

- Więc sprawdź - odrzekł. - Jeśli furgonetka jest w porządku, to jedź na posterunek. Tam się spotkamy.

Zacisnęła usta. Nawet z czerwonym nosem wyglądała na prawdę ładnie. Dane patrzył na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

- Daj spokój, Shane. Nie chcesz chyba...

- Ruszaj.

Spojrzała na poszkodowanego mężczyznę, jakby chciała przeprosić za brata. Zrobiła nawet krok w jego stronę.

- Hadley - upomniał ją szeryf.

Obróciła się na pięcie i ruszyła do furgonetki. Na drodze wciąż było ślisko; pokrywała ją coraz grubsza warstwa śniegu. W końcu dziewczyna dotarła do swojego samochodu i sprawdziła silnik. Działał. Cofnęła wóz, a następnie ruszyła wolno w stronę miasteczka, zgodnie z instrukcją brata.

Kiedy Dane spojrział na szeryfa, zrozumiał, że ten odgaduje jego myśli.

- No i jak, chce mi pan zaproponować łąpówkę czy raczej powie mi pan, o co tak naprawdę chodzi? - zapytał Shane.

Jadąc do miasteczka, Hadley mruzczała pod nosem. Zatrzymała się na parkingu przy warsztacie Stu i zebrała do torebki rzeczy, które wciąż były rozrzucone na siedzeniu, a potem wysiadła i skierowała się do małego biura. Niektórych dziwiło to, że Stu Golightly pracuje na ranchu i jednocześnie prowadzi jedyny warsztat samochodowy w okolicy. Jednak jego siostra uważała to za bardzo szczęśliwą okoliczność. Liczyła na to, że nie będzie musiała płacić za naprawę, ponieważ to właśnie niejako przez brata zajęła tamtemu mężczyźnie drogę.

Ciężarówka z lawetą stała przed zamkniętym wjazdem do warsztatu. Dziewczyna minęła ją szerokim łukiem i weszła do biura.

Było już późno, ale Riva wciąż siedziała za biurkiem i malowała sobie paznokcie na zgniłoniebieski kolor. Nawet nie spojrzała na Hadley, dopóki ta nie rzuciła jej pod nos swoich kluczyków.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na nią mocno umalowanymi oczami. Miała prawie siedemdziesiątkę, ale chciała, jak mówiła, „nadażyć za modą”.

- Zdaje się, że masz nowy problem - zauważyła. - Na co tym razem wpadłaś?

Hadley opowiedziała jej o wypadku.

- Obawiam się, że Stu będzie na razie zajęty tym cackiem.  
- Wskazała wytapirowaną, różową głową na samochód za oknem. - Już dzwonił, żeby się o niego dowiedzieć, i wypy-

tywał o wszystkie szczegóły. Może porozmawiasz najpierw ze swoim agentem ubezpieczeniowym. Ta naprawa nie będzie tania.

- Uzgodniliśmy, że sami pokrywamy koszty naprawy odrzekła właścicielka furgonetki, modląc się w duchu, by nieznajomy nie zmienił zdania. I żeby jej zwariowany brat nie mieszał się do tej sprawy.

Atwood Tolliver. Przecież złodziej nie może się tak nazywać. Imię i nazwisko wydawały jej się staromodne i jednocześnie szacowne. A poza tym ich właściciel robił jak najlepsze wrażenie. Przynajmniej na niej...

- Chcesz tak do końca dnia stać nad moim biurkiem i myśleć o niebieskich migdałach? - spytała ją Riva. - Podobno zajechałaś drogę temu kierowcy na drodze wyjazdowej od Stu.

- Jak zwykle w Lucius wieści rozchodzą się szybko mruknęła Hadley.

-I mówisz, że on chce sam zapłacić za taki samochód? Dziewczyna spojrzała przez ramię na podwórko przed warsztatem.

- Niby jaki? Jest jeszcze starszy od mojej furgonetki. Riva cmoknęła głośno swoimi karminowymi wargami i pokręciła różową głową.

- Moja droga, nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że jesteś siostrą Stu i nic nie wiesz o samochodach. - Dmuchnęła parę razy na wilgotne paznokcie i zakręciła buteleczkę z lakierem. - To przecież kabriolet shelby GT500. Ten facet wyda majątek na naprawę.

Tym razem Hadley odwróciła się w stronę okna i popa-

trzyła uważniej przez niezbyt czystą szybę. Rozbity wóz nie prezentował się zbyt okazale. Cóż, wołałaby już terenówkę brata, która stała zaparkowana nieco dalej, przed posterunkiem.

- Chcesz powiedzieć, że jest drogi? - spytała słabym głosem.

Starsza pani skinęła głową.

- Limitowana seria - wyjaśniła. - Zdaje się, że było ich tylko pięćset sztuk.

Sprawczyni wypadku poczuła skurcz w żołądku. Mogła nie znać się na samochodach, ale doskonale wiedziała, co to znaczy. Nic dziwnego, że brat był tak podejrzliwy w stosunku do Wooda.

- Shane zażyczył sobie, żebym do niego jeszcze przysłała - rzekła z westchnieniem.

- To łatwe - mruknęła Riva. - Wystarczy, że otworzysz drzwi i skierujesz się na posterunek. Tylko nie zapomnij ich za sobą zamknąć. Cholerny śnieg.

Hadley uśmiechnęła się blado i ruszyła do wyjścia. Na dworze zaczęło się ściemniać. Zatrzymała się na chwilę przy ławeczce. Cóż, zabawny wozik, pomyślała. Na pewno wyglądałby lepiej, gdyby nie miał zgniecionego przodu. Ale żeby był aż tak cenny...

Ruszyła szybko w stronę posterunku. Kiedy przechodziła ulicą, zapaliła się jedna ze staroświeckich latarni. Jeszcze godzina i będzie zupełnie ciemno. Musi się pospieszyć, przecież ma jeszcze parę rzeczy do zrobienia w pensjonacie.

Gdy wchodziła do biura szeryfa, nad drzwiami odezwał



się dzwonek. Sekretarka, Carla Chapman, pozdrowiła ją gestem, a następnie wskazała pokój Shane'a.

- Czeka na ciebie - powiedziała.

Świetnie, pomyślała Hadley z goryczą. Bardzo kochała brata, ale często się zdarzało, że traktował ją protekcyjnie. Obawiała się, że to znowu nastąpi i że ona nie potrafi temu zapobiec.

Na posterunku było bardzo ciepło, więc zdjęła kurtkę i przerzuciła ją sobie przez ramię. O dziwo, nie dostrzegła tu Wooda. Położyła okrycie oraz torebkę na biurku i spojrzała oskarżycielsko na szeryfa.

- Zamknąłeś go w areszcie, co?

Przesunął jej rzeczy na skraj blatu.

- Usiądź. Musisz przeczytać i podpisać protokół.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

Uniósł lekko brwi.

- Jest w celi - odparł po chwili.

- Ależ Shane! - Usiadła, dziwiąc się, że zrobiło to na niej takie wrażenie. - Wsadziłeś go do więzienia tylko za to, że nie miał prawa jazdy? Przecież to śmieszne! Jestem pewna, że to porządny facet.

- Próbował mnie przekupić - mruknął szeryf. - Czy tak postępuje porządny facet?

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

-Niemożliwe!

Shane tylko wzruszył ramionami.

- Nosi przy sobie tyle forsy, że zabrakło mu miejsca na prawo jazdy - rzekł suchym tonem. - Zawsze byłeś zbyt ufna w stosunku do obcych.

- Mówisz tak, jakbym miała siedem lat. - Wzięła długopis z biurka i podpisała protokół, nie czytając. - Poza tym nie zamykasz każdego, kto zapomniał o prawie jazdy - dodała.

Zerknął na jej torebkę.

- Ale wygląda na to, że ty masz je dzisiaj przy sobie, prawda?

Znowu się zaczerwieniła. Jej brat miał piekielnie dobrą pamięć.

- Przecież to nie ma sensu - rzuciła jeszcze.

Zerknął na protokół, a następnie pochylił się w jej stronę.

- Jak widzę, pan Tolliver znalazł w tobie zacieklego obrońcę. - Spojrzał jej przenikliwie w oczy. - Ciekawe dlaczego?

- Posłuchaj, gdybyście obaj ze Stu nie próbowali mnie wydać za Wendella Piercea, w ogóle nie byłoby tego wypadku. Ten biedny człowiek przejechałby sobie przez Lucius i tyle. On przecież...

- Jest niewinny? - wpadł jej w słowo.

- Właśnie!

Oparł brodę na dłoniach i spojrzał na siostrę, ale już z większą powagą.

- Niestety, mam swoje zasady, mała. Muszę się najpierw upewnić, że nikt nie ukradł tego samochodu...

Popatrzyła na niego złym wzrokiem, ale wiedziała, że w tej sytuacji nie może nic zrobić. Shane był chyba najbardziej upartym człowiekiem, jakiego знаła. Zwłaszcza kiedy chodziło o sprawy zawodowe.

- Tata mówi, że upór to przykra cecha.

- Ojciec mówi różne rzeczy. - Wzruszył ramionami. -  
Dzisiaj to, jutro co innego.

Hadley wiedziała już, że nie zdoła go przekonać. Chwytiła swoje rzeczy i zerwała się na równe nogi.

- Gdzie się wybierasz? - spytał.

- Chcę się zobaczyć z twoim więźniem! - Przeszła do wyłożonego terakotą holu.

Na posterunku w Lucius było pięć cel, w których przetrzymywano aresztantów, ale rzadko były one w pełni wykorzystane. Szeryf pewnie się nudził i dlatego zdecydował się zamknąć Wooda. Dzięki temu będzie się mógł wykazać przed przełożonymi!

Dziewczyna weszła do skrzydła budynku, w którym znajdowały się cele, i zatrzymała się przed jedną z nich. Znowu poczuła mrowienie na plecach. Odetchnęła głęboko, a potem spojrzała na Wooda. Siedział na prycy, oparty plecami o ścianę. Jedną nogę miał na materacu, a drugą wyciągnął daleko przed siebie.

- Jeśli przysła pani, żeby mnie uwolnić, to proszę sobie darować - rzucił cierpko. - Z pani pomocą skończyłbym pewnie w więzieniu stanowym.

Zagryzła wargi i podeszła bliżej krat. Z biura dobiegał radosny głos Carli, która rozmawiała z kimś przez telefon.

- Bardzo mi przykro. - Hadley przycisnęła do siebie kurtkę i torebkę. - To wszystko moja wina.

- Przez grzeczność nie zaprzeczę.

Spojrzała na niego, poruszona tym sarkastycznym komentarzem.

- Cóż, mógł pan przynajmniej wziąć ze sobą prawo jazdy  
- zauważyła. - Za to już nie mogę wziąć odpowiedzialności.

Mężczyzna skrzywił się, słysząc te słowa. Musiała przyznać, że ma bardzo ładne, pełne usta.

- Czy... czy jest pan... - zaczęła niepewnie.

- Tak? - Popatrzył na nią zdziwiony.

Hadley poczuła, że robi się czerwona. Sama nie wiedziała, jak kolejne słowa przeszły jej przez gardło.

- ...złodziejem samochodów?

W jego oczach pojawił się gniewny błysk. Zauważyła też, że zacisnął mocniej dłoń na kolanie. A potem wstał z pryczy tak spokojnie, jakby działo się to w jego własnym domu.

Na ten widok zaparło jej dech w piersi. A przecież często widywała wstających z łóżka mężczyzn. Niektórzy nie byli nawet kompletnie ubrani. Zdarzało się to, gdyż to ona była odpowiedzialna za zmianę pościeli w pensjonacie.

Wood podszedł do krat i spojrzał na nią z wyrzutem.

- A czy wyglądam na złodzieja?

Z trudem przełknęła ślinę i nie cofnęła się, chociaż miała na to wielką ochotę.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia - odparła. - Nigdy żadnego nie widziałam. Ale być może nie wszyscy są nieatrakcyjni i mają rozbiegane oczka...

Aresztant uśmiechnął się lekko.

- Dziękuję.

Miała wrażenie, że gdy się uśmiechał, robiły mu się dolki w policzkach. Być może miał trochę za długi nos, ale tylko wtedy, gdy patrzyło się na niego z profilu. Poza tym wyglądał

naprawdę bosko. Pomijając oczywiście plaster na czole i niemal niewidoczną ranę blisko prawego oka.

- Dlaczego pani tak się we mnie wpatruje? Czy chce pani zapamiętać, jak wygląda złodziej samochodów?

Hadley natychmiast spuściła wzrok.

- Przepraszam.

Nieznajomy dotknął jej kurtki.

- Ja też.

- Za co? - spytała słabym głosem. Ponownie wskazał palcem kurtkę i dopiero wtedy na nią spojrzała. Ach tak, chodziło mu o plamy z krwi, które tam zostały. - Nie szkodzi, dam ją do pralni chemicznej. Znacznie trudniej będzie naprawić pański samochód.

- Więc jednak uważa pani, że to mój wóz?

- A mam jakieś powody, żeby w to wątpić?

Przekrzywił lekko głowę i znowu się do niej uśmiechnął.

- Jest pani bardzo ufna.

Czy Shane już tego nie powiedział? Ale tym razem jakoś łatwiej jej było to przyjąć.

- Zdziwi się pan, ale słyszę to dzisiaj po raz drugi.

Wood pokręcił głową.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ten pani brat, szeryf... Zdaje się, że jest bardziej ostrożny niż cała rodzina, prawda?

Patrzył na nią tak, że zapomniała o bożym świecie. Kraty, które ich dzieliły, gdzieś zniknęły, a głos Carli odpłynął daleko, daleko...

- Późno już. Czy nie powinnaś przygotować kolacji? - usłyszała głos brata i natychmiast wróciła do rzeczywistości.

Obróciła się gwałtownie w jego stronę. Aresztant opuścił

dłoń i spojrzał twardo na Shane'a. Hadley już miała powiedzieć, że nie ma nic lepszego do roboty, niż stać tu i patrzeć na mężczyznę zamkniętego w celi, ale się powstrzymała. Nie chciała się spierać z bratem. Poza tym rzeczywiście powinna się zająć przygotowaniem kolacji dla kilku gości z pensjonatu, którzy zostali w Lucius po Nowym Roku. A później będzie jeszcze musiała zagnieść ciasto na bułki, żeby je upiec rano na śniadanie, i posprzątać w pokoju w wieży, w którym miał jutro zatrzymać się nowy gość.

Nie mogła więc tu zostać, nawet gdyby zdecydowała się stawić czoło szeryfowi.

Więzień odsunął się od krat i usiadł na pryczy, ponownie oparłszy się plecami o ścianę. Dotknął jeszcze palcem opatrunku na czole.

Dziewczyna zastanawiała się, o czym on myśli. Przyszło jej do głowy, że gdyby nie brat, zaproponowałyaby Woodowi, że go uwolni. A może nie... Sama nie wiedziała, czy byłoby ją stać na to, aby zachować się jak bohaterka jakiejś sensacyjnej powieści.

- Lepiej go nakarm - rzuciła w stronę Shane'a, przechodząc obok. - I daj mu jakiś środek przeciwbólowy. Moim zdaniem powinien go jednak zbadać lekarz, bo licho wie, co się mogło stać z jego głową.

- Pan Tolliver dostanie wszystko, na co zasługuje - zapewnił ją.

Normalnie uznałaby to za obietnicę. Jednak w głosie szeryfa pobrzmiwała groźba. Czyżby już się czegoś dowiedział? A może tylko utwierdził się w swoich podejrzeniach? Popatrzyła jeszcze na niego, marszcząc brwi, a potem pożegnała

się z Carla, która wciąż rozmawiała przez telefon i to z pewnością nie w sprawach służbowych. .

Dopiero kiedy znalazła się na dworze, zorientowała się, że trzyma w rękach kurtkę. Włożyła ją szybko i zapięła aż pod szyję. Przy głównej ulicy paliły się latarnie, w oknach domów też widać było światła. Śnieg przestał na chwilę padać i wszystko dokoła spowijała delikatna warstwa puchu, która lśniła i migotała, odbijając blask jarzeniówek.

Hadley spojrzała jeszcze w stronę rozbitego samochodu, westchnęła ciężko i ruszyła do pensjonatu. Mogłaby podejść do kościoła, zajrzeć do ojca i poprosić, by ją podwiózł, ale to nie miało sensu. Do domu było co prawda trochę dalej, ale niewiele. Poza tym nie będzie musiała czekać, aż ojciec ubierze się ciepło i wyprowadzi wóz z garażu, co zajmowało zwykle sporo czasu.

Obawiała się też, że Beau zacznie mówić o Wendellu. Ostatnio najwidoczniej uznał, że rzeczywiście córka jest już wystarczająco „dojrzała”, jak to określał, bo gotów był wspomagać synów w ich wysiłkach, by wydać ją za mąż.

Zrobiło się chyba jeszcze zimniej. Mimo szybkiego marszu dziewczyna czuła, że ma zgrabiałe ręce i wyszczypaną przez mróz twarz. W końcu jednak udało jej się dotrzeć do dużego domu w stylu wiktoriańskim i zaczęła wchodzić po szerokich schodach. W środku było ciepło i przyjemnie. W salonie ktoś, zapewne pani Ardelle, brzdąkał na pianinie. Twierdziła, że potrafi dobrze grać, ale zwykle kończyło się na paru bardzo prostych melodyjkach. Ponieważ Hadley bardzo ją lubiła, nigdy nie kwestionowała prawdziwości jej słów.

Powiesiła kurtkę na wieszaku w holu i przeszła do położonej na tyłach domu kuchni. Kawa w ekspresie była jak zwykle gorąca, naląła więc jej sobie do kubka, po czym zabrała się do pracy. Nie wszyscy goście jadali w pensjonacie. Zwykle jednak ktoś przychodził do pokoju stołowego, by za niewygórowaną cenę zjeść kolację.

Hadley miała dużą wprawę w przygotowywaniu posiłków dla większej liczby osób. Robiła to automatycznie, także tym razem mimo stresu i zmęczenia przygotowała smaczną kolację. Goście, którzy zasiedli przy owalnym stole z orzechowego drewna, byli naprawdę zadowoleni.

Rano upiekła bułeczki z cynamonem i ciasteczka z żurawinowym dżemem, a potem zapakowała część z nich do koszyka i poszła na posterunek policji.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Co prawda Carla nie pojawiła się jeszcze w pracy, ale Hadley usłyszała głos brata, dochodzący z jego pokoju, więc weszła tam. Spojrzał z zainteresowaniem na przykryty czystą ściereczką koszyk, który trzymała w dłoni, a potem wskazał jej krzesło. To był dobry znak. Shane przepadał za jej wypiekami.

Postawiła koszyk na biurku tuż przed nim, żeby poczuł zapach bułek, a następnie zdjęła rękawiczki i ciepłą - tym razem - niebieską kurtkę. Zakończył rozmowę, odłożył słuchawkę i wciągnął głęboko rozchodzący się zapach.

- Więc jesteś - powiedział, sięgając po koszyk.

Była czujna i zdołała go w porę zabrać.

- Może w końcu zdecydowałaś się wypuścić tego biedaka?

- A jeśli nie, pewnie myślisz, że skłonisz mnie do tego



przekupstwem. To już druga tego rodzaju próba w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

- Jestem pewna, że wcale nie próbował cię przekupić - stwierdziła, potrząsając głową.

Szeryf skrzyżował ręce na piersi.

- Naprawdę?

Zawahała się. Tak naprawdę nie miała pojęcia, co zaszło między Woodem a jej bratem. A potem przypomniała sobie te piękne niebieskie oczy, które pojawiły się w nocy w jej snach.

- Tak, oczywiście.

- No dobra. Tak się składa, że...

- Dzień dobry.

Hadley podskoczyła i spojrzała w stronę, z której dobiegał głos. Stał tam Wood. Wilgotne włosy opadały mu na czoło, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica. Zdążył już też zmienić opatrunek. Miał na sobie koszulę, którą, jak pamiętała, dała bratu na gwiazdkę przed dwoma laty.

- Dzień... dobry - odparła ze ściśniętym gardłem.

Shane wziął z biurka dużą żółtą kopertę i podał ją mężczyźnie.

- Niech pan sprawdzi wszystko, a potem podpisze protokół - rzucił. - Za pół godziny ma pan autobus do Billings. Odwiozę pana na przystanek.

- Wyjeżdża pan? A co z pańskim samochodem? - Dziewczyna spojrzała na Wooda z niepokojem. Cieszyła się, że brat wypuścił go z więzienia, ale wcale nie podobało jej się to, iż tamten chciał opuścić Lucius.

Wiedziała, że to nieracjonalne. Był tu obcy. W dodatku

padł ofiarą jej roztargnienia i powinna pragnąć, by wyjechał stąd jak najszybciej i żeby mogła w końcu o nim zapomnieć.

Szeryf spojrział złym wzrokiem na telefon, który właśnie się rozdzwonił.

- Naprawią mu samochód niezależnie od tego, czy tutaj będzie - mruknął.

Wood otworzył kopertę, z której wyjął plik spiętych gumką banknotów. Włożył je, nie licząc, do kieszeni dżinsów. Następnie wyciągnął portfel, który z kolei umieścił w kieszonce na piersi. Skinął głową i sięgnął po swoją skórzaną kurtkę.

Telefon wciąż dzwonił.

- Ja go odwiozę - powiedziała Hadley pod wpływem impulsu. - Lepiej odbierz, bo Carla jeszcze nie przyszła.

- Dzwoniła, że ma grypę.

- Więc to ja powinnam pana odwiedzić. Przynajmniej tyle mogę zrobić - dodała pośpiesznie, widząc, że Shane kręci głową.

- Dziękuję - rzucił Wood i podał jej szalik, jakby decyzja już zapadła.

Nie patrząc na brata, założyła rękawiczki i skierowała się do wyjścia, a mężczyzna podążył za nią. Usłyszała jeszcze, jak szeryf wita się z kimś, ale jego ton wskazywał, że nie jest szczególnie zadowolony z tego telefonu.

- Zwykle jest nieco miłszy rano - szepnęła.

Wood otworzył przed nią drzwi.

- Zdaje się, że jest wobec pani bardzo opiekuńczy.

Gdy tylko znaleźli się na chodniku, zdała sobie sprawę, że nie ma czym odwiedzić go na przystanek, ponieważ jej sa-

mochód wciąż był w warsztacie. Popatrzyła na niego zażenowana.

- Tak jak wszyscy moi bracia - rzuciła. - Zdaje się, że... ee... zapomniałam o jednej sprawie. Zostawiłam furgonetkę w warsztacie, a Riva będzie tam dopiero za jakąś godzinę.

Poczuła się wyjątkowo głupio i pomyślała, że powinna się już do tego przyzwyczać. Od wczoraj coraz częściej zdarzało się, że czuła się jak kompletna idiotka.

- Powiem chyba Shane'owi, żeby pana zawiózł. Mogę zostać na posterunku i odbierać telefony... - Chwyła klamkę.

Położył rękę na jej dłoni, aż podskoczyła. Zmrużył lekko oczy, ale cofnął dłoń.

- Boi się mnie pani?

- Nie, nie. Jasne, że nie - odparła szybko. Wcale nie zamierzała dzielić się z nim swoimi wrażeniami. - Nie boję się nikogo - dodała, co nie było do końca prawdą. - Miasteczko nie jest takie duże, ale mamy kawałek do przystanku, więc może lepiej...

- Nie chcę stąd wyjeżdżać - przerwał jej. - Czy jest tu gdzieś jakaś kawiarnia?

- Tak, ale Shane...

- Nie lubi, jak kręcą się tu obcy. Tak, wiem. Powiedział mi to dostatecznie jasno. - Wood zaczął się bawić frędzlami swego szalika. - Dostałem wczoraj hamburgera na kolację, ale nie jadłem wcześniej obiadu, więc jestem potwornie głodny - wyjaśnił.

Hadley wciągnęła głęboko powietrze.

- W Luscious dostanie pan najlepsze gofry na śniadanie - rzuciła.

- Luscious? - zapytał zdziwiony. - A czy są tu inne restauracje?

- Tak, ale Luscious jest najlepsza, jeśli idzie o śniadanie i lekki lunch.

- A jeśli idzie o coś bardziej konkretnego?

- Silver Dollar - odparła. - Znam właściciela tej restauracji.

- Pewnie zna pani wszystkich w okolicy.

- Powiedzmy, że prawie wszystkich. - Nie miała pojęcia, dlaczego stoją tak blisko siebie. Czują bijący od niego zapach mydła, co najwyraźniej zakłócało jej tok myślenia. - To dlatego, że mój ojciec jest pastorem największego kościoła w Lucius, a brat szeryfem. - Przełknęła ślinę i wskazała położony nieopodal budynek. - To właśnie Luscious, widzi pan reklamę? To w zasadzie taki barek...

Wziął końce jej szalika i starannie go zawiązał.

- Jest zimno - powiedział.

Skinęła z roztargnieniem głową, chociaż tak naprawdę zrobiło jej się gorąco.

- Jeśli nie zdąży pan na poranny autobus, następny odjeżdża dopiero po południu. A ponieważ jutro jest sobota, nie będzie już żadnego aż do poniedziałku.

- Wszystko mi jedno. - Wzruszył ramionami.

- Myślałam, że chce pan wyjechać.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, to szeryf chce, żebym wyjechał. - Dotknął lekko jej szyi, poprawiając szalik. - Ja chcę zjeść porządne śniadanie.

Hadley z trudem przelknęła ślinę.

- Czy... czy ukradł pan ten samochód?

Znowu zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. I mam nawet zamiar zapłacić za swojego gofra.

Uśmiechnęła się lekko.

-I nie próbował pan przekupić Shane'a?

- Pani brat nie sprawia wrażenia człowieka, którego można by łatwo kupić.

- Tak, oczywiście.

- Cieszę się, że to ustaliliśmy. - Spojrzał na samochód, który przejechał wolno główną ulicą i zatrzymał się przed barem.

- No, chodźmy, bo zjedzą nam wszystkie gofry. - Ruszył w tamtą stronę, ale po chwili się odwrócił. - Idzie pani ze mną? - zapytał, patrząc na nią swoimi niebieskimi oczami.

## Rozdział 3

Dane musiał przyznać, że miała rację. Gofry w Luscious były naprawdę dobre. Poza tym smakowały wyjątkowo w jej towarzystwie. Nie przyjechał tu, co prawda, dla przyjemności, ale miał zamiar wykorzystać to, co samo pchało mu się w ręce.

Pomijając umiejętność prowadzenia samochodu, Hadley Golightly wydawała mu się miłą osobą, miała poczucie humoru, no i rzeczywiście znała wszystkich w miasteczku. Każdy, kto wchodził do baru, witał się z nią, a niektórzy zamieniali przy okazji parę słów, głównie na temat pogody. Dane poznał przy tej okazji sporo osób. Oczywiście przedstawiał się jako Wood Tolliver.

Przypuszczał, że kiedy szeryf dowie się, iż został w Lucius, zaraz przybiegnie i każe mu się wynosić. Gdy okazało się, że wóz nie był kradziony, nie miał podstaw, by trzymać go w areszcie, ale sprawiał wrażenie, jakby za grosz mu nie ufał.

To było dla niego nowe doświadczenie. Większość ludzi

cieszyła się, mogąc mieć w swoim gronie Dana Rutherforda. Wynikało to zapewne z faktu, że był szefem potężnej firmy.

Nie przybył tu jednak w interesach.

To były osobiste sprawy.

Właśnie dlatego „pożyczył” sobie nazwisko Wooda. Nikt bowiem nie zareaguje, słysząc o Tolliverze, natomiast wszyscy rozpoznaliby nazwisko Rutherford. Gdyby jeszcze zaczął się rozpytywać o tutejszych mieszkańców, na pewno zwróciłby na siebie uwagę.

Odsunął nieco talerz od siebie i oparł się o stół, a następnie spojrzął na Hadley.

- Opowiedziała mi pani dostatecznie dużo o Lucius. Proszę teraz opowiedzieć o sobie.

Jej oczy, podobnie jak włosy, były ciemnobrązowe. A teraz otworzyły się nieco szerzej, a na policzkach pojawiły się lekkie rumieńce.

- W zasadzie nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

- Ma pani dwóch braci, z których jeden jest szeryfem, a drugi mechanikiem.

- Stu jest także farmerem. Ma ranczo za miastem. - Zaczzerwieniła się jeszcze bardziej. - Właśnie od niego wyjeżdżałam, kiedy... kiedy...

Mężczyzna skinął głową.

- Kiedy wyjechała pani prosto pod mój samochód.

Pociągnęła niechętnie nosem i skinęła głową.

- A Wendell Pierce?

W jej oczach pojawiły się iskielki.

- Co chce pan o nim wiedzieć?

- Pani brat mówił, że to pani narzeczony.

Otworzyła ze zdziwienia usta i wypuściła widelec z dłoni.

- Niemożliwe! Nie mam pojęcia, dlaczego tak powiedział.

Dane domyślał się, o co chodziło szeryfowi. Nie spodobał mu się sposób, w jaki obcy patrzył na jego młodszą siostrę. I musiał przyznać, że wcale go to nie dziwiło.

- Może źle go zrozumiałem - skłamał.

- Nie, raczej nie - mruknęła. Jej wzrok powędrował w stronę innych stolików. Co najmniej połowa z nich była zajęta. - Próbują wydać mnie za mąż - rzuciła w przyływie nagłej szczerości. - Czy naprawdę wyglądam na tak zdesperowaną?

Potrząsnęła głową, a jej włosy rozsypały się na żółtym golfie, co najmniej o jeden numer za dużym. Nie, wcale nie wyglądała na zdesperowaną.

- Nie, nie, proszę nie odpowiadać - powiedziała, wyciągając do góry rękę. - Nie chcę znać odpowiedzi.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Wyglądała naprawdę pięknie i albo mężczyźni w Lucius, pomijając Wendella, byli wyjątkowo głupi,

albo ślepi. Wydawało mu się, że siedząca przed nim kobieta ma

już spore doświadczenie, jeśli idzie o mężczyzn.

Nie interesował go romans. Przyjechał do Montany w innej sprawie i teraz, patrząc na nią, pomyślał, że to nawet szkoda. Nie miał tylko pojęcia, dlaczego ciągnie tę rozmowę, która wkraczała na coraz bardziej osobiste tory.

- Ja też mam siostrę - powiedział zgodnie z prawdą. - Zanim wyszła za mąż jakiś czas temu, zniechęciłem paru jej absztyfikantów, bo wydawało mi się, że nie są dla niej dostatecznie dobrzy.



Hadley pokręciła głową.

- Ale moim braciom chodzi o coś innego. Chcą mnie wydać za męża, bo wiedzą, że nikt poza Wendellem się mną nie interesuje - wyznała ze wstydem.

Dane z trudem powstrzymał uśmiech. Mógł jej wyjaśnić, że szeryf starał się po prostu zniechęcić go do niej, ale stwierdził, że przekroczyłyby w ten sposób dozwolone granice. Sięgnął więc po swoją filiżankę i dopił kawę.

Dziewczyna wyprostowała się na swoim miejscu i spojrzała na niedojedzonego gofra. Z jakichś powodów nie miała akurat apetytu.

- To ja spowodowałam ten wypadek. Nie powinien pan płacić za naprawę. Jestem ubezpieczona. - Spojrzała na niego z wyrazem szczerości w oczach. - A Stu jest być może nieco namolny, ale świetnie zna się na samochodach. To prawdziwy czarodziej, jeśli idzie o te sprawy. A może wołałby pan odwieźć swoje auto do Indiany, tam, gdzie pan mieszka?

Rutherford spędził w Indianie zaledwie pięć dni. Poza tym mógł tu przysłać całą ekipę najlepszych mechaników, którzy zajęliby się jego wozem.

- Prawdziwy czarodziej?

Skinęła głową tak gwałtownie, że jej piersi poruszyły się pod zbyt luźnym swetrem.

- Naprawdę.

- Więc chyba mogę mu zaufać.

Uśmiechnęła się promiennie. A potem spojrzała na zegarek i jej uśmiech natychmiast zbladł.

- Do licha, nie miałam pojęcia, że już tak późno. Muszę pomóc tacie w kościele, bo jego asystentka ma teraz urlop.

Proszę mi dać znać, gdyby chciał się pan tu zatrzymać. Prorowadzę pensjonat, który nazywa się Tiff. To od Tiffany'ego. Znajdzie go pan przy końcu głównej ulicy, o tam. - Machnęła ręką, wskazując kierunek

Wyjęła pieniądze z portmonetki, zostawiła je na stoliku i wyszła szybko bez pożegnania. Dane patrzył za nią przez jakiś czas, a potem zerknął na pieniądze. Było tego całkiem sporo. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś za niego zapłacił. Nie pamiętał też, by jadł gofry w jakiejś zapadłej dziurze gdzieś na zachodzie kraju. I przy okazji tak świetnie się bawił.

Do stolika podeszła zapracowana kelnerka. Na jej plakietce było ręcznie wypisane imię: Bethany. Zapytała, czy chce jeszcze kawy, a on podsunął jej filiżankę. Napelniła ją, uśmiechnęła się do niego lekko i przeszła dalej. Ludzie w barze rozmawiali o różnych rzeczach: nagłym ataku zimy, polityce oraz o tym, kto z kim sypia. Co jakiś czas zerkali w jego stronę, jakby oczekiwali, że się do nich przyłączy.

Mimo że spędził noc w więzieniu, to, że znał Hadley Golightly, wystarczyło, by uznać go za swojaka. Cieszył się, że nie uruchomił żadnych znajomości, aby wydostać się z aresztu. Dzięki temu mógł w dalszym ciągu uchodzić za normalnego faceta, który po prostu zatrzymał się w miasteczku.

Wreszcie skończył kawę, z nadzieją, że pomoże mu na ból głowy. Wsunął do kieszeni kurtki pieniądze zostawione przez kobietę i sam zapłacił rachunek. Poszedł do warsztatu i spostrzegł, że jego wóz zdjęto już z lawety i postawiono na kanale, gdzie czekał na naprawę.

Dane wciągnął do płuc zapach metalu i smarów. Tak dawno ich nie czuł. Tak, zdecydowanie zbyt dawno.

Potrząsnął głową, chcąc odpędzić od siebie tę myśl, i podszedł do człowieka oglądającego uszkodzony samochód. Kiedy tamten go zauważył, uniósł nieco daszek czapki z logo drużyny koszykarskiej, którą miał na głowie.

- Pan się nazywa Tolliver?

Przybysz skinął głową. Mechanik wyciągnął do niego dłoń i przywitali się.

- Jestem Stu Golightly. - Wskazał auto drugą ręką, na której nosił brudny, wymazany smarami gips. - Taka strata. Zdaje się, że poznał pan moją młodszą siostrę, Hadley, prawda?

Wyjaśniła mu przy śniadaniu, że Stu i Shane to jej bracia, ale pomijając olbrzymi wzrost, wcale nie byli do siebie podobni.

- Powiedziała mi, że jest pan czarodziejem.

Mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie.

- To prawda, ale pewnie wolałby pan, żeby ktoś inny zajął się tą ślicznotką. - Dane dopiero po chwili zrozumiał, że chodzi mu o samochód, a nie o siostrę. Do licha, co się z nim dzieje?

Oczywiście Golightly miał rację, ale w tej chwili mogło mu to pokrzyżować plany. Podszedł do swojego wozu i wziął z tylnego siedzenia skórzaną torbę. Sprawdził jeszcze, czy w jej bocznej kieszeni nadal jest prawo jazdy, które włożył tam po przybyciu karetki, a następnie wsadził je do portfela. Wrócił do Stu.

- Niech pan zrobi wstępny kosztorys i mi go przedstawi. Zapewne zna pan telefon do pensjonatu?

Uśmiech zamarł na twarzy właściciela warsztatu. Podobnie jak wcześniej jego brat, teraz on popatrzył na nieznanego z wyraźnym niepokojem. Można było w tym zauważyć coś w rodzaju rodzinnego podobieństwa.

- Chce się pan zatrzymać w pensjonacie?

Rutherford skinął głową i odszedł, zanim tamten zdążył powiedzieć coś więcej. Sądząc po minie mechanika, powinien starać się naprawić shelby'ego w rekordowym czasie. Może i miał ochotę popracować dłużej przy tym samochodzie, ale podobnie jak Shane nie chciał, by obcy kręcił się dłużej w miasteczku.

Kiedy Dane dotarł wreszcie do końca głównej ulicy, pomyślał z tęsknotą o cieplejszych stronach. Nie znaczyło to, że w Seattle czy Louisville, gdzie miał domy, panowały tropiki, ale w porównaniu z mrozem w Lucius było tam całkiem ciepło. Na szczęście nie miał problemów ze znalezieniem pensjonatu. Był widoczny z daleka. Mieścił się w starym domu w stylu wiktoriańskim, otoczonym pięknie utrzymanym ogrodem. Szkoda tylko, że budynek pomalowano na różowo i zielono, co było najgorszą kombinacją kolorów, jaką można było sobie wyobrazić.

Przybysz skierował się szybko do drzwi wejściowych. Wszystko jedno, jaki kolor miał dom, byle tylko w środku było ciepło. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc gość wszedł do holu. Przyzwyczajony raczej do pięciogwiazdkowych hoteli, a nie małomiasteczkowych pensjonatów, nie wiedział, czego może się spodziewać.

Znalazł się w czystym, choć niezbyt przestronnym wnętrzu. Miał przed sobą kilkoro drzwi, które prowadziły za-

pewne do różnych części domu. Na podłodze leżał jasno-różowy dywan, równie brzydki jak kolor fasady. Sądząc po zapachach, za drzwiami po lewej stronie była kuchnia. Zza tych środkowych dobiegała natomiast jakaś żalosna, wygrywana na pianinie melodia.

- Dzień dobry - rzuciła w jego stronę dziewczyna w zawansowanej ciąży, która niosła miskę pełną musli. - Jest pan pewnie nowym gościem?

Czemu nie? - pomyślał, a następnie skinął głową i uśmiechnął się do niej.

- Potrzebuję jednoosobowego pokoju - wyjaśnił. Myślała przez chwilę.

- To doskonale, bo pokój w wieży właśnie się zwolnił. Na drugim piętrze. - Wskazała schody. - Szczęściarz z pana. Będzie pan miał własną łazienkę.

Powiedziawszy to, ruszyła w swoją stronę, a Dane po chwili parsknął śmiechem, myśląc o czekającym go luksusie. Skierował się jednak tam, gdzie mu wskazała. Wyglądało na to, że nie trzeba było się tu najpierw rejestrować w recepcji.

Kiedy znalazł się na drugim piętrze, zobaczył tylko jedne drzwi. Wszedł więc do środka i stwierdził, że okna pokoju wychodzą na trzy strony świata. Wszystkie były zasłonięte firankami. Mężczyzna odsunął jedną z nich, by popatrzeć na drzewa w ogrodzie zasypane śniegiem. Nieco dalej dojrzał cienką wstążkę strumienia, wzdłuż którego rosły iglaki.

Zdjął kurtkę i wyjął z torby komórkę. Gdy ją włączył, natychmiast zasygnalizowała nową wiadomość. Nie zwrócił jednak na to uwagi i wybrał numer siostry. Odebrała po zaledwie paru sygnałach.

- W jakim jest stanie? - spytał od razu, nie tracąc czasu na słowa powitania.

- Na razie stabilnym - odparła Darby
- Nie odzyskał jeszcze przytomności?
- Niestety.

Dane zmełł w ustach przekleństwo.

- Czy jest tam Felicia?

Darby zaśmiała się gorzko.

- Chyba żartujesz? Przecież wiesz, że matka nie chodzi do szpitali. Nawet do byłego męża. Ale jest teraz u nas w domu.

- Gdyby Roth wiedział, że zatrzymała się w jego domu, pewnie miałby kolejny zawał. - Rodzice od rozvodu w ogóle się nie spotykali i nie zamienili ze sobą choćby paru uprzejmych słów. A upłynęło już przecież dwadzieścia lat.

Rutherford potarł skroń i odwrócił się od okna.

- Dzwon do mnie na komórkę, gdyby coś się działo - rzucił.

Siostra obiecała, że tak zrobi, i rozłączyła się. Pewnie by mu nie uwierzyła, gdyby twierdził, że jedzie do Montany w sprawach osobistych, dlatego powiedział jej, że wybiera się tam w interesach. Nigdy szczególnie nie interesowała się rodzinną firmą, a od kiedy zamieszkała z mężem i z jego trojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa, a potem urodziło się czwarte, ich własne, jej ciekawość w tym względzie jeszcze się zmniejszyła.

Teraz jednak pojechała do Louisville, by czuwać w szpitalu przy ojcu. Dane wiedział, że nie podoba jej się to, iż on wyjechał, mimo że chodziło o ich wspólne dobro, ale nie

miał zamiaru mówić jej, co tak naprawdę skłoniło go do wyjazdu.

I tak zbyt wiele przeszła. Alan Michaels porwał ją i dręczył, kiedy była dzieckiem. Brat nie chciał informować jej, że przestępca wyszedł właśnie na wolność. Cholera, Roth dostał zawału dokładnie w tym samym dniu, w którym dotarła ta wiadomość.

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju. Co prawda dużo brakowało mu do luksusowego apartamentu, ale znajdowały się w nim wszystkie potrzebne sprzęty, a poza tym wydawał się czysty i wygodny. Na łóżku leżała, jak mu się zdawało, ręcznie wydziergana narzuta, a pod oknem stało małe biurczko z krzesłem, przy którym mógł pracować. Usiadł na dość wygodnym, szerokim łóżku i zaczął przeglądać wiadomości w telefonie. Zadzwoił też do Wooda, by powiedzieć mu, co stało się z jego wozem. Tamten najpierw jęknął, ale ponieważ miał trzy inne auta tej samej marki, w końcu zniósł dzielnie złą wiadomość. Następnie Dane zadzwonił do Manddy Manning i zostawił jej krótką wiadomość: „Jestem w Lucius. Oddzwoń”.

Spóźniłam się. Te słowa rozbrzmiewały w głowie Hadley, kiedy wchodziła po schodach pensjonatu. Spędziła godzinę więcej niż zamierzała w kościele, a potem musiała jeszcze zrobić zakupy.

Po śniadaniu z Woodem Tolliyerem wszystko zabierało jej więcej czasu niż zwykle, gdyż nie mogła się na niczym skupić.

Cóż, załatwiła mu samochód i powinna sobie dać spokój.

Z jej doświadczeń wynikało, że żaden mężczyzna na tym nie poprzestanie. Dlatego powinna dać sobie spokój.

Z trudem uchyliła drzwi, manewrując przy tym torbą z zakupami, a w końcu przytrzymując je nogą.

- Zaraz pomogę - usłyszała.

Omam się nie cofnęła, kiedy Wood nagle zmaterializował się przy drzwiach. Nie miała pojęcia, skąd mógł się tu wziąć. Dopiero po chwili zauważyła, że ciągnie za ucho jej torby, więc ją puściła. Nie miała chyba przy tym najmańdrzejszej miny.

- Gdzie mam to zanieść? - spytał.

- Do kuchni - odparła słabnącym głosem. Nie skomentował jej wyglądu i była mu za to wdzięczna.

Otworzył szerzej drzwi i czekał, aż wejdzie do środka. Dopiero gdy poczuła z tyłu powiew zimnego powietrza, zdecydowała się ruszyć z miejsca. Poszedł za nią do kuchni, a następnie postawił ciężką torbę na blacie. Starala się na niego nie patrzeć, kiedy zdjął marynarkę i nalał sobie kawy, jakby robił to od wielu lat. Próbował podać jej kawę, ale ona tylko pokręciła głową.

- Wygląda pani na zaskoczoną - zauważył po chwili i wypił parę łyków napoju. Przysiadł na stole i spojrzał na nią z rozbawieniem. - Chodzi o to, że jednak tu przyszedłem?

Trudno jej było odpowiedzieć na to pytanie. Patrzyła na jego smukłe palce trzymające kubek i długie rzęsy, które ocieniały niebieskie oczy. Było jasne, że nie zajmuje się pracą fizyczną i że rzadko ma do czynienia z brudem i smarami. Zauważyła też, że zmienił koszulę i że przy tym odcieniu szarości jego oczy wydają się jeszcze bardziej niebieskie.

- No tak - zaczęła niezręcznie. - Nie myślałam...



- Sądzi pani, że powinienem był znaleźć sobie inne miejsce? Wydawało mi się, że pani sama polecała ten pensjonat.

Rzeczywiście, zrobiła to w przypiływie szaleństwa, ale nie sądziła, że Wood skorzysta z jej rady.

- Może wolałby pan jednak Lucius Inn - rzekła niepewnie.

- Mają tam obsługę w pokojach i telewizję satelitarną, i...

- Mam wrażenie, że nie chce pani, żebym tu zamieszkał.

- Nie! - rzuciła i urwała, żeby jeszcze sobie czegoś nie pomyślał. - To chyba jasne, że zależy mi na klientach. Przecież właśnie z tego żyjemy.

- Hadley.

-Tak?

Odstawił kubek i pochylił się w jej stronę. Dzielili ich teraz odległość zaledwie kilkunastu centymetrów.

- Tylko żartowałem.

Widziała teraz opatrunek, a także małą ranę koło oka.

- Ach tak.

Przez moment miał taką minę, jakby chciał się roześmiać, a potem wyprostował się i ponownie wziął kubek.

- Duże zakupy - zauważył, wskazując torbę. - Myślałem, że miała pani pomagać ojcu w kościele.

- Tak właśnie było. A potem zrobiłam zakupy. - Zaczęła je rozpakowywać. Część rzeczy wkładała do lodówki. - Będziemy dziś mieli jeszcze jednego gościa - dodała. - Ta pani zarezerwowała pokój już jakiś czas temu, co rzadko nam się zdarza, dlatego chciałam przygotować na kolację coś wyjątkowego.

Wood wziął do ręki bukiet kwiatów, które zamierzała ustawić na stole, i powąchał.

- Bardzo ładne - stwierdził. - Kupuje pani kwiaty wszystkim gościom?

Odebrała mu bukiet i tym razem zaświtało jej, że on mógł zażartować.

- Nie, tylko tym stałym - odparła.

Gdyby był postacią z jej książki, zaczęłaby oczywiście z nim flirtować. Pokazałaby mu, że stać ją na ironię i że ma duże poczucie humoru. A on, oczywiście, od razu by się w niej zakochał i zapragnął zdobyć jej serce.

Wyjęła kryształowy flakon z kredensu, napełniła wodą i wstawiła doń kwiaty, po czym postawiła je na owalnym stole, sprawdzając, czy stoją dokładnie na środku. Parę razy przechodziła przy tym koło Wooda, niemal ocierając się o niego.

- Kto prowadził przed panią ten pensjonat?

- Moja matka, Holly.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Holly Golightly?

Nie dziwił się jednak tak otwarcie jak inni, więc Hadley uśmiechnęła się lekko.

- Tak właśnie się nazywała - potwierdziła. - I naprawdę uwielbiała Śniadanie u Tiffanyego. To był jej ulubiony film - dodała, uprzedzając kolejne pytanie. - Chociaż wcale nie przypominała Holly Golightly z filmu. Nie miała łatwego życia i musiała walczyć o swoje. - Poprawiła kwiaty i cofnęła się, by móc się im przyjrzeć. - W porządku - mruknęła do siebie.

- Ciekawy zbieg okoliczności - zauważył.

Skinęła głową, wciąż podziwiając dekorację.

- Co się z nią stało?

Dziewczyna westchnęła cicho.

- Umarła, kiedy miałam dwadzieścia lat. Na raka.

- Bardzo mi przykro.

O dziwo, stwierdziła, że Wood rzeczywiście posmutniał.

Patrzył na nią, a na jego czole pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- Tak, oczywiście.

Hadley wciąż pamiętała matkę. Zdarzały się dni, że za nią tęskniła, ale nauczyła się żyć bez niej. Zerknęła jeszcze raz na kwiaty, myśląc, że matka bardzo je lubiła, a następnie wróciła do rozpakowywania sprawunków. Pomyślała, że gość pewnie za chwilę się znudzi i wyjdzie.

- A pańscy rodzice? - spytała szybko.

Zmarszczki na jego czole jeszcze się pogłębiły.

- Och, rozwiedli się dawno temu.

Zasepił się jeszcze bardziej, a w jego oczach pojawiły się ponure błyski.

- Musiało być panu ciężko.

Skinął głową.

- To była prawdziwa wojna. Powinna się pani cieszyć, że nigdy pani tego nie przeżyła.

Dłoń dziewczyny zacisnęła się na pomidorach. To, o czym mówił Wood, wydarzyło się w jej rodzinie jeszcze przed jej narodzeniem. Beau Golightly był jej ojczymem, ale dał jej swoje nazwisko.

- Dowiedział się pan czegoś o swoim samochodzie? - zagadnęła, chcąc zmienić temat.

- Pani brat ma sporządzić wstępny kosztorys.

- Na pewno zrobi to ucziwie. I to nie z powodu mojego ubezpieczenia, które na pewno znowu wzrośnie.

- Znowu? - spytał, chociaż wiedział, że mógł się tego spodziewać.

Uśmiechnęła się cierpko i wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru ukrywać przed nim oczywistej prawdy.

- Przecież pan wie, że nie jestem najlepszym kierowcą. - Odłożyła pomidory i wyprostowała się. Pomyślała, że zrobi najlepiej, jeśli zajmie się sprawami związanymi z prowadzeniem pensjonatu. To był chyba jedyny bezpieczny temat.

- Powinam chyba znaleźć panu jakiś pokój. Żeby mógł się pan tam rozlokować.

Do kuchni weszła Joanie Adams. Znow trzymała miskę z musli.

- Nie, nie - odezwała się. - Dałam panu pokój w wieży. Właśnie dla niego go przygotowałam, prawda?

Hadley zrzędniała mina. Joanie miała złote serce, ale nie nadawała się do tej pracy. Nigdy niczego nie pamiętała.

- Prawdę mówiąc, dla kogoś innego. Joannie zatrzepotała rzęsami.

- Och! Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Powinam była sama się tym zająć i ulokować gdzieś pana Tollivera.

- Nie jestem wybredny - zapewnił. - Byle tylko było tam jakieś łóżko.

Ciężarna kobieta miała łzy w oczach.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała łamiącym się głosem. - Chciałam pomóc.

Gospodyni wzięła ją pod rękę i wyprowadziła z kuchni. Wiedziała, że jeśli jej pomocnica zacznie płakać, nic nie zdoła jej powstrzymać.

- Tak, wiem - powiedziała uspokajającym tonem. - Naprawdę nic się nie stało.

Spojrzała przepraszająco w stronę gościa, a potem poprowadziła Joannie w stronę jej pokoju. Jeśli nawet wydawało mu się, że dziewczyna przesadza ze swym żalem, nie dał tego po sobie poznać. Na szczęście nie zaczęła płakać, chociaż Hadley przygotowała już chusteczki. Powiedziała jej, żeby odpoczęła, a najlepiej się położyła, myśląc o czekających ją przygotowaniach do lunchu, i przez chwilę jeszcze z nią rozmawiała.

Z pokoju dobiegało bębnienie pani Ardelle na pianinie. Właścicielka pensjonatu pomyślała, że powinna się przywitać, i zajrzała tam na chwilę. Starsza, siwa pani siedziała z głową pochyloną nad klawiaturą, a Wood stał obok i przytrzymywał jej nuty.

Hadley stała chwilę w drzwiach niezauważona, czekając, aż pani Ardelle skończy.

- Czy pan też umie grać? - spytała Tollivera.

Pokręcił głową bez przekonania.

- Niezbyt dobrze. To dlatego, że nigdy nie lubiłem lekcji muzyki - dodał. - Teraz w ogóle nie siadam do pianina. - Dał dłonią sygnał, żeby pianistka, która chciała mu ustąpić miejsca, nie wstawała. - Proszę grać. Ja wolę nawet nie próbować.

Starsza pani zaśmiała się wesoło, najwyraźniej mile polectana tym, że mężczyzna uznał jej grę za lepszą. Hadley uśmiechnęła się do siebie, po czym wycofała się na palcach i ruszyła do kuchni.

Na szczęście nie miała dużo roboty i mogła zająć się rozmyślaniami na temat niespodziewanego gościa. Trzeba było zrobić tylko sałatkę z kurczaka, zupę brokułową i paszteciki. Kiedy wszystko już było gotowe, postawiła

dania na stole w jadalni i zadzwoniła na lunch. Goście powoli zaczęli się schodzić.

Najpierw pojawił się Wood z panią Ardelle. Gospodyni przywitała się ze staruszką, a następnie miała zamiar przejść do swego pokoju, gdzie chciała wreszcie zająć się pisaniem. Zaskoczyła jednak wszystkich, a także siebie, gdyż wzięła talerz i nałożyła sobie sałatki.

Starsza pani popatrzyła najpierw na swego towarzysza, a potem na nią i coś zabłysło w jej oczach. Zaczęła opowiadać najnowsze plotki z miasteczka, a Hadley pomyślała, że właśnie dostarczyła swej pensjonariuszce kolejnego tematu do plotek.

Przybycie Tollivera do Tiffa okazało się ważnym wydarzeniem.

Po chwili dołączył do nich Vince Jeffries. Przyjechał niedługo przed Woodem i wyglądało na to, że szuka tu przede wszystkim ciszy i samotności. Skinął zebrany łysiejącą przedwcześnie głową i ulokował się samotnie w dalekim kącie. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat, ale wyglądał zdecydowanie poważniej.

Przy stole pojawiła się też Joanie, która jadła ostatnio za siebie i dziecko, a mimo to stale była głodna. Usiadła daleko od nowego gościa, jakby się obawiała, że będzie miał do niej pretensje z powodu pokoju, co było bardzo dalekie od prawdy.

Gospodyni zastanawiała się, co też pan Tolliver może sobie myśleć o pensjonacie i jego mieszkańcach. Chociaż starał się rozmawiać ze wszystkimi, poza panem Jeffriesem, miał nieprzeniknioną minę i trudno było wyczuć, co naprawdę sądzi. W końcu została przy stole tylko z nim, wśród brudnych talerzy.

Chciała go skłonić, żeby odpoczął, ale on uparł się, że pomoże jej posprzątać. Zajęło im to niespełna dwadzieścia minut. Hadley musiała jeszcze pozmywać naczynia i właśnie naląła ciepłej wody do zlewu.

- Ma pani tutaj sporo pracy - zauważył.

- Trochę - odparła, wzruszając ramionami. - Ale pozmywam już sama - dodała w obawie, że mężczyzna się do tego zabierze.

Podwinęła rękawy swetra i dolała do wody trochę płynu do zmywania. Po chwili sięgnęła po najczystsze naczynia.

- Czym się pan zajmuje w Indianie? - spytała.

Wziął ścierkę i czekał, aż opłucze pierwsze talerze.

- Różnymi rzeczami - odparł wymijająco. - O której ma przyjechać ten gość, dla którego przygotowała pani pokój w wieży?

Spojrzała na zegar. Nie miała pojęcia, że zrobiło się tak późno.

- Za parę godzin. Ta pani ma przyjechać z Wyoming.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, a ona uśmiechnęła się do niego rozbawiona.

- Tak, tak, z jednego zaśnieżonego miejsca do drugiego.

Trudno powiedzieć, dlaczego ludzie do nas przyjeżdżają.

Może ta pani ma tutaj jakieś sprawy do załatwienia. Przecież nie będę jej przekonywała, że w domu też jest miło.

Coś w jej głosie sprawiło, że popatrzył na nią podejrzliwie.

- A próbowała pani?

Hadley zawstydzila się jeszcze bardziej i opuściła głowę.

- No nie, ale moja siostra Evie mówi, że... ee...

- Nie ma pani głowy do interesów? - dokończył za nią.

- Coś w tym rodzaju - przyznała. - Zarzuca mi, że jestem zbyt miękka.

Kiedy spojrzała w bok, dostrzegła jego błękitne oczy.

- To chyba nic złego - zauważył.

Poczuła, że się rumieni, i powróciła do zmywania, szorując talerze z większą, niż trzeba, starannością.

- Cóż, nie mam tu zbyt dużych zysków - przyznała. -

Gdyby to zależało od Evie, umieściłaby reklamę w telewizji i nie pozwoliła, by jakieś pokoje stały puste. Walczyłaby jak lwica o klientów. Tak mi powiedziała.

- A pani nie walczy... jak lwica?

- Prawdę mówiąc, odesłałam paru klientów do hotelu - przyznała ze wstydem. - Ale to dlatego, że chcieli mieć telewizję w swoich pokojach.

Dane pokiwał głową.

- Więc nie zależy pani na zyskach?

Westchnęła ciężko.

- Kiedy mama zmarła, bracia i ojciec woleli, żebym to ja przejęła pensjonat - wyjaśniła. - Nie chcieli go sprzedać.

A Evie wyszła właśnie za mąż i spodziewała się dziecka, więc zostałam tylko ja.

- A pani chciała prowadzić Tiff?

- Oczywiście - odparła, ale w jej głosie dało się wyczuć wahanie.

Popatrzyła na talerze, które zaczął wycierać, i pomyślała, że ma duży wpływ na ludzi. Znali się przecież bardzo krótko, a ona już zaczęła z nim rozmawiać na poważne tematy. Teraz zastanawiała się, czy mężczyzna się domyśli, iż prowadzenie pensjonatu nie było jednak szczytem jej marzeń.



Popatrzyła na niego raz jeszcze uważniej. Dopiero teraz pomyślała, że koszula, której rękawy podwinął, wygląda na bardzo drogą. Nie wiedziała, jakiej jest marki, ale z pewnością uszyto ją z jedwabiu. Zegarek, który nosił Wood, też wyglądał na bardzo kosztowny.

- Niech mi pani jeszcze powie, na czym polega problem z Joanie?

Hadley skrzywiła się.

- Cóż, jest w ósmym miesiącu ciąży, co może wywołać rozchwianie emocjonalne. Poza tym jej chłopak zmył się stąd, jak tylko dowiedział się, że dziewczyna spodziewa się dziecka. Podobno powiedział, że nie potrafi znieść myśli o tym, iż zostanie ojcem. - Potrząsnęła głową i zakłęła. - Przepraszam, ale nie znoszę takich typów. Nie znoszę kłamców, krętaczy i tchórzy.

Wzięła do rąk wazę i zaczęła ją myć ze złością. Uznała, że najwyższy czas zmienić temat.

- Zdaje się, że oczarował pan panią Ardelle. Nie widziałam, żeby się tyle śmiała, od kiedy się tutaj wprowadziła po śmierci męża w zeszłym roku.

Dane słuchał jej, wycierając automatycznie kolejny talerz. Więc Hadley nie znosi kłamców i krętaczy. Cóż, jeśli chodzi o niego, dobrze przynajmniej, że nie jest tchórzem.

- A Vince Jeffries?

- Przyjechał tu w zeszłym miesiącu. Szuka pracy.

- Wygląda na nieudacznika - zauważył. - I ma czym płacić?

Otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Natychmiast domyślił się odpowiedzi. Tak, była zdecydowanie zbyt miękka na prowadzenie jakiegokolwiek przedsięwzięcia.

Popatrzył na swoją ścierkę. Gdyby nie Marlene, gospodyni Rutherfordów, nie wiedziałby nawet, jak się wyciera naczynia.

To ona nauczyła go podstawowych domowych obowiązków, a on traktował to wówczas jak dobrą zabawę. Za bardzo nudziły go stopy zabawek, które miał w swoim pokoju.

- Każdy potrzebuje jakiegoś domu - rzekła cicho Hadley. Wyciągnęła zatyczkę ze zlewu i brudna woda zaczęła spływać z głośnym bulgotaniem. - Cieszę się, że niektórzy mogą uznać mój pensjonat za takie miejsce.

Wzięła ścierkę z jego rąk. Stała tak blisko, że czuł zapach jej szamponu. Nie używała perfum, a w każdym razie nie na co dzień.

Wytarła wazę, a następnie zwróciła się do Dane'a:

- Chodźmy, pokaże panu nowy pokój.

Jej głos brzmiał niewinnie, a on pomyślał, że nie powinien wdawać się w romanse z tak bezbronnymi kobietami. Było w niej jednak coś, co bardzo go pociągało. Bał się tylko tego, że mógłby ją skrzywdzić.

Skinął głową i ruszył za nią do drzwi. Weszli na piętro po schodach i skierowali się korytarzem na prawo.

- Obawiam się, że będzie pan musiał korzystać ze wspólnej łazienki - powiedziała, wyjmując z kieszeni staroświecki klucz. Po chwili otworzyła drzwi. - Naprawdę chętnie dałabym panu pokój w wieży, ale...

- Nie ma sprawy - rzucił.

Skinęła głową z uśmiechem.

- Przynajmniej będzie tu panu cieplej - stwierdziła. - Okna w pensjonacie są dosyć stare... Czy ma pan jakiś bagaż?

- Tylko torbę - odrzekł. - Zaraz ją przyniosę. Na szczęście

nie chciało mi się rozpakowywać, więc zajmie to tylko chwilę. Pokój będzie gotowy dla pani gościa.

- Nieważne, i tak jest jeszcze dużo czasu. Zdążyłabym przenieść tu pańskie ubrania - powiedziała. Była ciekawa, czy reszta jest równie dobrej jakości jak koszula. - Poza tym muszę jeszcze posłać łóżko.

Wzmianka o łóżku sprawiła, że poczuł podniecenie. Hadley też popatrzyła na niego z niepokojem, jakby te słowa stały się nagle dwuznaczne.

Spojrzał na kolejne drzwi.

- Czy tam jest łazienka? - spytał.

Cofnęła się trochę, jakby przestraszyła się tego pytania, a on popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Nie, tam jest mój pokój - wyjaśniła nieco spłoszona. - Drzwi do łazienki są nieco dalej. - Wskazała wejście, na które do tej pory nie zwrócił uwagi. - Oczywiście można ją zamknąć od wewnątrz.

Przeprosiła go raz jeszcze za całe zamieszanie i szybko wyszła z pokoju. Wyjrzał za nią na korytarz. Po chwili usłyszał dzwonek telefonu, a ona ruszyła jeszcze szybciej, żeby zdążyć go odebrać.

Patrzył na drzwi do jej pokoju.

Będą spać zbyt blisko siebie.

Przeciagnał dłonią po twarzy. A niech to licho!

Przyjechał do Montany po to, żeby wyrównać rachunki. Nie miał czasu na romanse. Bez względu na to, jak piękna była jego gospodyni.

## Rozdział 4

Stu Golightly nie zadzwonił, by przekazać Danebwi kosztorys naprawy shelby'ego, ale przyszedł, by osobiście przedstawić mu wyliczenia. Trafił akurat na kolację i Hadley zaproponowała, by przyłączył się do gości. On jednak podziękował, więc Rutherford przeprosił zebranych i przeszli obaj do holu.

Mechanik sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę wypchnąć swego klienta za drzwi, o co tamten nie miał zresztą pretensji. Doskonale wiedział, że Stu stara się chronić siostrę i że jest zaniepokojony całą sytuacją.

Podobnie jak Dane.

Zaczęli więc przeglądać rachunki, stojąc. Właściciel samochodu zawahał się już przy pierwszej pozycji kosztorysu.

- Wydaje mi się, że może pan kupić części zamienne taniej - zauważył. - Przynajmniej o dziesięć procent.

Golightly od razu się zjeżył.

- Nie zawyżam moich rachunków.

- Wcale tego nie powiedziałem - odparł Dane. - Niech

pan zadzwoni do... - Urwał gwałtownie. Omal nie powiedział: Wooda Tollivera. Co się z nim dzieje, że przestaje być ostrożny? - Niech pan zadzwoni do RTM w Indianapolis. Ostatnio miałem z nimi sporo kontaktów.

Właściciel warsztatu zmarszczył brwi. Oczywiście, znał tę nazwę.

- To bardzo dobra firma - potwierdził.

Rutherford doskonale o tym wiedział. Założył RT Motorworks razem z Woodem jeszcze na studiach i okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Nie tylko zarobili sporo pieniędzy, ale jeszcze zyskali uznanie najpierw na lokalnym, a potem krajowym rynku. Co prawda Tolliver już dawno przejął zarządzanie firmą, ale Dane nadal miał w niej sporo do powiedzenia.

Czasami miał wrażenie, że to jedyna rzecz, która pozwala mu zachować zdrowie psychiczne. Zwłaszcza wtedy, gdy wydawało się, że zajmowanie się rodzinną firmą przerasta jego możliwości. Rutherford Industries rozrosła się do niewyobrażalnych rozmiarów, a on musiał podejmować tam kluczowe decyzje, myśleć o sprawach, z którymi nie zetknął się osobiście, i o miejscach, w których nigdy nie był.

- Niech pan zadzwoni do Stephanie - rzucił. - Uprzedzę ją, że będzie pan dzwonił. Jeśli podadzą wyższe ceny, to proszę u nich nie kupować. Prosta sprawa.

Stu, choć z widoczną niechęcią, przystał na to, kiwając głową. Po zapoznaniu się z kolejnymi pozycjami kosztorysu Dane stwierdził, że robocizna jest bardzo tania, i w rezultacie zaakceptował wycenę. Mechanik schował papiery do kieszeni.

- Niech pan przypomni Hadley, że zastępuje Rivę w poniedziałek rano - powiedział, a następnie pożegnał się i wyszedł, pospiesznie zamykając za sobą drzwi.

Na dworze zrobiło się jeszcze zimniej. Rutherford spoznał ponownie na kopię dokumentu, a następnie zwinął go w rulonik i wrócił do jadalni

Pani Ardelle znowu zaczęła plotkować. Wyglądało na to, że zawsze ma coś do powiedzenia. Przypominała mu trochę Marlenę z jej pogodnym usposobieniem i nie dziwiło go to, że po śmierci męża postanowiła się przenieść do miejsca, w którym może przebywać między ludźmi. W domu czułaby się na pewno bardzo osamotniona.

Nikki Day przyjechała jakiś czas przed kolacją. Miała ciemnorude długie włosy i musiał przyznać, że była wyjątkowo ładna. Mniej więcej w wieku Hadley, ale znacznie lepiej ubrana. Zauważył też, że jest w ciąży, chociaż nie tak zaawansowanej jak Joanie. Dosiadła się zresztą do niej i sprawiła, że dziewczynie poprawił się trochę humor. Vince nie zjawił się na kolacji.

Dane zajęli swoje poprzednie miejsce. Siedział naprzeciwko gospodyni, co bardzo mu odpowiadało.

- Pani brat prosił, żebym przypomniiał pani o poniedziałkowym zastępstwie - rzucił.

- Za Rivę? Tak, pamiętam. - Skinęła głową.

- Myślałem, że rano pomaga pani ojcu w kościele.

- To prawda. - Podała półmisek z pieczoną wołowiną przygotowaną przez Joanie. - Pójdę najpierw do kościoła, potem wrócę tutaj na śniadanie, a później będę miała czas na warsztat - wyjaśniła. - Tata i Stu wiedzą o tym.

Zastanawiał się, czy któryś z nich pomyślał, że to trochę za wiele pracy dla osoby, która jednocześnie prowadzi pensjonat. Skupił się na jedzeniu, słuchając jednocześnie rozmowy przy stole.

Pani Ardelle rozprawiała właśnie o znajomym małżeństwie, gdy w pewnym momencie zwróciła się do niego:

- Więc nazywa się pan Wood Tolliver? Nie wiem dlaczego, ale to nazwisko wydaje mi się znajome.

Rutherford uśmiechnął się niezobowiązująco. Nie sądził, by starsza pani interesowała się wyścigami i starymi samochodami.

- To dosyć popularne nazwisko - zauważył.

- Ale nie takie jak Bob Smith - wtrąciła Joanie, która najwyraźniej nabrała odwagi.

Hadley roześmiała się, słysząc tę uwagę. Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- To i tak nic w porównaniu z nazwiskiem Golightly. Kiedy po raz pierwszy się pani przedstawiła, myślałem, że pani żartuje.

- Czy to prawda, że pani matka miała na imię Holly? - spytała Nikki Day.

Właścicielka pensjonatu zrobiła wielkie oczy.

- Skąd pani wie?

- Ee... rodzice mojej przyjaciółki zatrzymali się kiedyś w tym pensjonacie. To była ich podróż poślubna. Byli oczarowani pani matką.

- A tak, to prawda. Nasi goście bardzo ją lubili. - Spojrzała na Dana, a potem wstała. - Zaraz przyniosę deser.

Pospieszył, by jej pomóc. Chciała zaprotestować, ale

w końcu tylko machnęła ręką. Kiedy znaleźli się w kuchni, ustawiła na wielkiej srebrnej tacy naczynie z musem czekoladowym oraz kryształowe czarki dla gości. Sama Marlenę nie zrobiłaby tego lepiej, choć wiedział, że w młodości służyła w arystokratycznym domu we Francji.

- To matka nauczyła panią gotować?

Dziewczyna skinęła głową.

- Ale korzystam też z nowych książek kucharskich - wyjaśniła i uśmiechnęła się szelmowsko. - Mama zawsze mówiła: przez żołądek do serca mężczyzny.

Dane'owi wydawało się do tej pory, że jest to tylko zwykłe powiedzenie, teraz jednak poczuł, że mogło być w nim dużo racji. Wziął tacę i wskazał głową jadalnię.

- Nie wiem, kiedy ma pani czas na to wszystko. Przecież pomagają pani całe rodziny.

- Nie całe - zaprzeczyła. - Shane świetnie radzi sobie sam z łapaniem przestępców. A poza tym... co innego mam do roboty?

Ruszył w stronę jadalni. Zaskoczyło go to, co usłyszał. Bardzo kochał swoją rodzinę, ale chyba żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, żeby mu pomóc tylko dlatego, że dysponowałby wolnym czasem. Poza tym Rutherfordowie zawsze uważali, że można wynająć kogoś do pomocy.

Po kolacji pani Ardelle poszła do salonu, żeby zagrać na pianinie, a pozostali goście udali się do swoich pokoi. Dane wiedział, że powinien załatwić parę spraw przez telefon, ale kiedy Hadley włożyła starą kurtkę oraz rękawice i powiedziała, że idzie po drewno, zmienił plany i postanowił jej towarzyszyć.



- Powinna się pani trochę odprężyć - stwierdził. - Ciągłe pani pracuje.

Narzucił na siebie kurtkę i poszedł z nią na tył pensjonatu.

Stanęli przed komórką, w której składowano drewno.

- Cóż, wie pan, co mówią: kto nie pracuje, ten nie je.  
- Wobec tego powinna się pani bez przerwy objadać -  
stwierdził.

Zaśmiała się, a następnie zaczęła nakładać na lewą rękę stosik polan. Pochyliła się przy tym, tak że włosy opadały jej pasmami na twarz.

- Wystarczy - powiedział. - Teraz ja.

Przysunął się i starając się ją naśladować, zaczął układać sobie drewno na ramieniu.

- Jest pan dla mnie zbyt miły, zważywszy na okoliczności.

- Więc proszę się gdzieś ze mną wybrać.

Zachwiała się lekko i jedno z polan upadło na ziemię.

- Słu... słucham?

- Mówiłem już, że powinna się pani odprężyć. Wiem, jak to się robi, więc mogę pani pomóc. Moglibyśmy wybrać się gdzieś na drinka. Nie mamy samochodów, więc na pewno nie zabiorą nam prawa jazdy. Na pewno jest tu jakiś bar. -  
Chodziło mu o jeden określony.

- Nawet kilka, ale...

- Żadne ale. Chodzi mi tylko o drinka - wyjaśnił. - Zapewniam, że będzie pani przy mnie bezpieczna.

Odwróciła się, mrużąc coś pod nosem.

Zamknęła nogą drzwi komórki i po chwili dogonił ją.

- Przepraszam, co pani powiedziała? Nie dosłyszałem.

- Powiedziałam, że szkoda - rzuciła. - Gdybym była mniej niedostępna, być może Wendell przestałby się mną interesować. Dzwonił do mnie dziś aż cztery razy. Cztery razy! Ten facet nie rozumie słowa „nie”, tak samo jak moi bracia!

- Więc niech im pani powie, że ten mężczyzna pani nie interesuje. Nie musi pani spotykać się z kimś, na kim pani nie zależy.

- Spotykać się? - mruknęła. - Przecież mówiłam, że chcę mnie wydać za niego za mąż. I to jak najszybciej. - Potrząsnęła głową i jej ciemne włosy załśniły w świetle księżyca. - Pierce zna mnie od bardzo dawna. Wie, że jestem cicha i gospodarna i... i że nikt się mną nie interesuje!

- Cicha i gospodarna? - powtórzył ze śmiechem. - Ja poznałem panią jako kierowcę rajdowego. No i widzę, że ma pani mnóstwo energii. - Wskazał niesiony przez nią stos drewna, wyraźnie większy od tego, który sam trzymał.

Popatrzyła na niego tak, jakby sobie żartował.

- Czyste pochlebstwa - powiedziała i zaraz, jakby zawstydzona tymi słowami, ruszyła w stronę domu.

Dane poszedł za nią. Był przecież mistrzem w negocjacjach. Zarządzał wielką firmą, więc powinien chyba poradzić sobie z dziewczyną z małego miasteczka. Przeszli do kuchni, gdzie mogli złożyć polana pod piecem. Hadley zaraz zabrała się do ich układania, tak że prezentowały się bardzo malowniczo przy ścianie z kafli, po czym umyła ręce i zdjęła kurtkę.

- Mogę zaproponować pani układ - rzucił.

- Jaki układ? - zaciekała się, patrząc na niego podejrzliwie. Jej bracia z pewnością mogliby być z niej teraz dumni.

- Cóż, wygląda na to, że muszę tu zostać na jakiś czas - zaczął. - Przedstawi mnie pani kilku osobom, a wtedy ten Wendell może uzna, że jest pani już zajęta.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Mam pana przedstawić jakimś kobietom? - Skrzywiła się lekko. - Facet, który tak wygląda, nie potrzebuje żadnej pomocy w tych sprawach.

Był zbyt wytrawnym graczem, by dać się zbić z tropu. Wpadł na świetny pomysł i nie zamierzał z niego rezygnować.

- Ale wówczas Wendell wciąż będzie myślał, że jest pani wolna - zauważył. - Poza tym wcale nie mówiłem o kobietach.

Strzepnęła kurtkę przy piecu, a następnie oplukał dłonie. Hadley zrobiła wielkie oczy.

- Mam pana przedstawić mężczyznom?

Dane westchnął głęboko, nie bardzo wiedząc, jak odebrać jej zdziwienie. Ludzie w takich miejscach jak Lucius byli jednak zdecydowanie zbyt podejrzliwi.

- Mówiłem o osobach - zauważył. - Wszystko mi jedno, czy są to mężczyźni, czy kobiety. I nie mam wobec nich żadnych romantycznych planów. Po prostu lubię wypić drinka w miłym towarzystwie. Skoro już się tu znalazłem, to nie zamierzam siedzieć sam w swoim pokoju.

To ją przekonało, ale on poczuł się wyjątkowo podle. Nie przyjechał tutaj dla rozrywki i zamierzał w podstępny sposób wykorzystać tę dziewczynę.

- Proszę pamiętać, że to przez panią - dodał wbrew sobie.

W jej oczach pojawił się żal.

- Pamiętam, pamiętam - rzekła z westchnieniem. - Sama nie wiem dlaczego, ale jakoś mi się to nie podoba... No dobrze, niech będzie.

Oczy mężczyzny rozjaśniły się i pogłaskał ją odruchowo po włosach. Były tak jedwabiste, jak mu się wydawało, i pomyślał z niechęcią o tym, że nie powinien był tego robić. Obiecywał jej przecież, że może się czuć przy nim bezpieczna.

- Świetnie. To co, idziemy?

- Teraz, zaraz? Nie jest pan zmęczony? Do licha, przecież miał pan wczoraj wypadek i spędził całą noc w więzieniu. Założę się, że nie było panu zbyt wygodnie na tej pryczy.

- Ujdzie - mruknął. - Lokalne władze dbają o swoich więźniów. Miałem całą noc, żeby się wyspać. - Urwał na chwilę. - Jednak, choćby ze względu na Wendella, powinniśmy chyba przejść na ty. Nie uwierzy, że się lubimy, jeśli ciągle będziemy mówić do siebie „pan” i „pani”. Co ty na to?

Wahała się przez chwilę, a potem wyciągnęła do niego dłoń. Była miękka i ciepła.

-Hadley.

Już chciał powiedzieć: Dane, ale ugryzł się w język.

- Wood. Chyba nam obojgu należy się chwila odprężenia.

- Potrafisz namówić ludzi, żeby tańczyli tak, jak im zagrasz, co?

Musiał przyznać, że to prawda. Chociaż najgorzej szło mu z ojcem, który był niezwykle uparty.

- Jaki lokal proponujesz?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli masz ochotę na drinka, to chodźmy do Tipped Barrel. Wielu mieszkańców bardzo lubi ten bar i zawsze jest tam pełno ludzi.

Skinął głową. Właśnie o to miejsce mu chodziło. Miał nawet zamiar pójść tam sam, ale stwierdził, że będzie znacznie lepiej, jeśli pojawi się w towarzystwie kogoś miejscowego.

- Świetnie. Podoba ci się to miejsce?

- Prawdę mówiąc, nigdy tam nie byłam. Wpadam gdzieś czasami, ale tylko na kawę. Jeśli zobaczą nas tam moi znajomi, uznają, że chcesz mnie sprowadzić na złą drogę.

- I będą mieli rację.

W jej oczach pojawiły się przekorne iskierki.

- Świetnie. To co, idziemy?

- A nie chcesz się przebrać? - Teraz on z kolei się zdziwił. Popatrzyła krytycznie na swój sweter i dzinsy. Widać było, że wcale nie przyszło jej to do głowy.

- No tak - mruknęła. - Zaraz... co by tu...?

Dane ujął ją pod brodę.

- Nie musisz się przebierać. - Z całą pewnością nie ucieszyłaby się, gdyby jej powiedział, że zwykle spotyka się z kobietami, które o wiele bardziej dbają o swój wygląd. - Tak jest dobrze.

Stwierdził, że jej skóra jest bardzo gładka i delikatna. Nie stosowała pudru i prawie się nie malowała. To było dla niego również coś nowego.

- Powinnaś tylko włożyć cieplejszą kurtkę - dodał.

Hadley pokiwała w zamyśleniu głową. Pomyślała, że jest to doskonała okazja, żeby pozbyć się Wendella. Inaczej będzie musiała znosić jego zaloty przez następne miesiące, jeśli nie lata. Ubrała się więc szybko i zeszła do holu.

- To dosyć daleko - powiedziała, widząc, że Dane jest już gotowy. - Jesteś pewny, że...

- Jasne, idziemy.

W tej chwili nie chciała już, żeby Wood nabrał rozumu i zrezygnował. Miała na sobie ciepłą kurtkę, którą dostała w zeszłym roku na gwiazdkę od braci, a także skropiła się perfumami otrzymanymi z tej samej okazji od siostry.

Popatrzyła jeszcze na skórzaną kurtkę swego towarzysza.

- Nie masz czegoś cieplejszego? - spytała, wiedząc, że temperatura spadła jeszcze o parę stopni.

- Nie, ale jest mi ciepło - zapewnił.

Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Możemy wstąpić do Shane'a i coś pożyczyć.

- Wykluczone. Jesteś pewna, że nie będzie chciał mnie zatrzymać na dłużej? - spytał ze śmiechem. - Zwłaszcza jeśli się dowie, gdzie idziemy.

Musiała przyznać, że miał rację. Stwierdziła, że lepiej nie drażnić brata. Sięgnęła jednak do wieszaka i wzięła z niego czarny szalik.

- Więc przynajmniej włóż to - powiedziała. - Miałabym wyrzuty sumienia, gdybyś zachorował.

Wziął długi szalik i owinał go sobie parę razy wokół szyi. Następnie zapiał kurtkę aż pod brodę.

- Zadowolona - spytał, otwierając drzwi.

- Byłabym baidziej, gdybyś miał rękawiczki.

Uśmiechnął się, a następnie włożył jej i swoją dłoń do obszernej kieszeni swojej kurtki. Hadley z trudem przełknęła ślinę, a następnie pospieszyła za nim po schodach.

Wieczorne niebo było pogodne i usiane gwiazdami. Szli w stronę centrum miasteczka w świetle ulicznych latarni. Dziewczyna na tyle doszła do siebie, że teraz objaśniała kolejne mijane miejsca.

- To ulica kościołów - powiedziała, wskazując boczną alejkę. - Oczywiście nazywa się inaczej, ale wszyscy tutaj tak mówią, gdyż znajdują się przy niej trzy najważniejsze kościoły w Lucius, w tym kościół mojego ojca. - Wzdrygnęła się. Nawet przez rękawiczkę czuła ciepło dłoni Wooda. To sprawiło, że znowu poczuła się niepewnie.

- Wczoraj mówiłaś, że jest tu nawet szpital - zauważył.

- Tak, ale bardzo mały. Władzom chodziło głównie o oddział ortopedyczny z powodu złamań podczas jazdy na nartach i górskich wycieczek. Mamy tu nawet kręgarza - dodała.

- Stu miał problemy z kręgosłupem po wypadku z krową, ale

kręgarz mu go nastawił. Teraz wszystko jest w porządku. Jak chcesz, to dam ci do niego numer.

- Nie, dzięki. Myślę, że mój kręgosłup nie ucierpiał w czasie wypadku.

- A czoło? Jak się czujesz?

- Brałem rano proszki od bólu głowy, ale teraz jest lepiej.

- Bardzo mi przykro.

Ścisnął jej dłoń.

- Nie ma o czym mówić.

Hadley czuła jednak, że jest. Wood utknął tutaj jedynie

z powodu wypadku, a ona czuła się winna. To, że zaoferował swą pomoc, jeśli chodziło o Wendella, nie mogło zmienić tej sytuacji. Dlatego chciała, żeby chociaż dobrze się bawił.

Minęli posterunek. Wewnątrz było ciemno. Shane zapewne pracował w swoim domu, który wybudował niedawno na obrzeżach miasteczka. Za to okna Tipped Barrel były rześcicie oświetlone, jak w czasie świąt. Na parkingu przed barem stało też sporo samochodów. Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie, kiedy rozpoznała jeden z nich.

- Co się stało? - spytał Dane.

- Jest tam mój szwagier, mąż Evie - wyjaśniła po chwili.

- Wygląda na to, że w środku jest pełno ludzi z okolicy - zauważył. - Tak jak mówiłaś.

- Tak, zawsze mają wielu klientów. - Wyjęła rękę z jego ciepłej kieszeni. - Charlie wdał się tu niedawno w bójkę i jeszcze płacą z moją siostrą za szkody. Nie powinien przyjeżdżać do tego baru.

- Więc zadzwoń do brata. Przecież jest szeryfem.

Wciąż patrzyła w stronę parkingu.

- Jeśli to zrobię, Shane będzie musiał go aresztować. Charlie straci pracę, a wtedy zapłacą za to jego żona i dzieci. Muszę tam pójść sama i załatwić tę sprawę. Zaczekaj na mnie w pensjonacie.

- Myślisz, że puszczę cię tam samą? Wykluczone. Przecież mówiłaś, że nigdy tam nie chodzisz. Dlaczego twój szwagier wdał się w bójkę? Czy to mu się często zdarza?

- Sama nie wiem. Pewnie po prostu za dużo wypił - odrzekła. - Dostaje małego rozumu po paru drinkach, a wtedy wszystko jest możliwe.



- A twoja siostra wciąż z nim jest, bo kiedy nie pije, jest grzeczny i sympatyczny?

Hadley westchnęła ciężko i ominęła kupkę śniegu.

- Naprawdę wolałabym, żebyś wrócił do pensjonatu.

- Dlaczego?

Zatrzymała się i położyła dłonie na biodrach.

- Bo czuję się zażenowana. To są rodzinne sprawy i nie chcę narażać cię na nieprzyjemności. Wcale się nie odprężę, a ty nie poznasz zapewne nikogo oprócz mojego szwagra. I nie będzie to miłe spotkanie. Nie mogę pozwolić, by tam został, a ty i tak miałeś przeze mnie już sporo kłopotów. Na miłość boską, nie dopuszczę, żebyś mieszał się jeszcze w sprawy mojej rodziny. Ani Wendell Pierce, ani Charlie Beckett nie będą do ciebie nastawieni przyjaźnie po czymś takim!

- Ile masz lat?

Zawahała się.

- Że co? Dwadzieścia siedem. I nie musisz mi mówić, że to żalosne, iż w moim wieku nie byłam jeszcze w barze, aby wypić drinka.

- Bardzo mi miło, że tak się o mnie troszczysz, ale nie musisz tego robić - rzekł twardo. - Jestem o dziesięć lat starszy i wiem, jak sobie radzić w różnych sytuacjach. Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci szarpać się z jakimś pijanym facetem, nawet jeśli jest to twój szwagier.

- Teraz żałuję, że tu przyszedłeś. Ale dobrze, rób, co chcesz.

Podeszła do drzwi, starając się nie myśleć o tym, co czeka ją w środku. Nie miała żadnych planów i nie wiedziała, jak poradzić sobie z Charliem.

W wejściu minęła ich jakaś nieznana para. Hadley czuła się pewniej, mając ze sobą Wooda, i przestała modlić się o to, by męża Evie nie było jednak w barze.

Weszli do środka. W głębi pomieszczenia znajdował się długi kontuar z ciemnego drewna, a zaraz obok niewielka scena, na której grał zespół country. W powietrzu unosił się papierosowy dym, wyraźnie widoczny w ostrym świetle stroboskopów. Część baru zajmowały stoły bilardowe, przy których cisnęli się gracze i obserwatorzy. Ludzie przy stolikach pili i rozmawiali podniesionymi głosami.

Dane pochylił się do ucha dziewczyny.

- Widzisz go? - spytał.

Zadrżała, gdy otarł się delikatnie policzkiem o jej policzek.

- Nie - odparła. - Nie przypuszczałam, że może tu być tylu ludzi.

- Przecież mamy piątek - zauważył. - Zjechali tu wszyscy z okolicy. Nie sędzę, żeby w pobliżu było dużo takich miejsc.

Ruszył pewnie do wnętrza, a ona poszła za nim. Minęli cztery stoły bilardowe i Wood wciąż się rozglądał.

- Jak wygląda? - spytał.

Czuła, że niemal dławi się dymem. Wcale jej się tu nie podobało.

- Niższy od ciebie i mocniej zbudowany. Szatyn z kręconymi włosami - odparła, a potem podskoczyła, kiedy obok rozległ się odgłos tłuczonego szkła.

Dane natychmiast zrobił krok do przodu i zasłonił ją swoim ciałem. Przerażona spojrzała przez jego ramię i odetchnęła z ulgą, widząc, że żaden z kłócących się mężczyzn nie jest Charliem.

- Co tutaj, do licha, robisz, Hadley?

Obróciła się i pociągnęła za sobą Wooda.

- Charlie! Mogłabym zadać ci to samo pytanie. Czy Evie wie, że tu jesteś?

Mężczyzna skrzywił się i uniósł szklaneczkę z whisky.

- Myślisz, że ją to obchodzi? Twoja siostra zapomniała już, co znaczy dobra zabawa.

Dziewczyna przysunęła się do niego, starając się nie zwracać uwagi na odór alkoholu. Sądząc po wyglądzie szwagra, nie był to jego pierwszy drink.

- Pamiętaj, że jest w domu i zajmuje się waszymi dziećmi - powiedziała, podnosząc głos, tak by mógł ją dobrze słyszeć. - Chodź, zawieziemy cię tam.

Zaśmiał się i popatrzył niezbyt przytomnie na Wooda.

- Niby czym? Evie mówiła, że znowu miałaś stłuczkę. I nie bądź taka wścibska.

- Pojedziemy twoim wozem - powiedziała twardo.

- A kto powiedział, że się gdzieś wybieram?

- Pamiętaj, że jesteś pijany i nie możesz prowadzić. Jak masz zamiar dostać się do domu? - Była zdeterminowana, by go stąd wyciągnąć. Wzięła go za rękę, ale odepchnął ją. Zatoczył się przy tym, wylewając whisky na jej kurtkę.

Dane chwycił go za ramię i pomógł utrzymać równowagę.

- Puszczaj - wybełkotał tamten.

Rutherford nie zwracał na niego uwagi. Popatrzył na Hadley.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Wycierała kurtkę chusteczką z wyraźnym obrzydzeniem.

- Wszystko w porządku, ale będę musiała dać kolejną kurtkę do prania - odparła.

- No, powiedziałem: puszczaj - wściekał się Charlie. - Hadley, co to za gość? Chyba nie twój chłopak, co? Przecież wszyscy wiedzą, że żyjesz jak mniszka. Wiesz, że ona nie potrafi się nawet całować, nie mówiąc o...

Mężczyzna wykręcił mu rękę, aż tamten jęknął.

- Nie powinieneś obrażać swojej szwagierki - syknął.

- Pilnuj swoich spraw - mruknął pijany mężczyzna i zaczął rozcierać uwolnioną z uścisku rękę. Patrzył na nich złym wzrokiem, a dziewczyna dostrzegła w jego oczach niebezpieczne błyski. Już chciała uprzedzić Wooda, żeby uważał, gdy Charlie rzucił się na niego.

Zaatakowany zrobił unik i napastnik wylądował na stoliku. Ludzie, którzy przy nim siedzieli, cofnęli się przerażeni. Szkło poleciało na podłogę. Pijak pozbierał się i znów zaczął się szykować do bójki.

- Przestań! - krzyknęła Hadley.

Jednak Dane tym razem sam przyskoczył do niego i znów błyskawicznie wykręcił mu rękę. Tak mocno, że zupełnie go unieruchomił.

- Wystarczy już - ostrzegł.

- Puszczaj! - krzyczał tamten.

- Nie tym razem - mruknął Rutherford i pchnął go do przodu. - Idziemy. Obraziłeś szwagierkę i próbowałaś mnie zaatakować. Najwyższy czas, żebyś się stąd wyniósł.

Przechodził śmiało między stolikami, prowadząc przed sobą Charliego. Zatrzymał się na chwilę, żeby porozmawiać z blond kelnerką, a potem ponownie ruszył do drzwi. Kiedy

się przy nich znalazł, obejrzał się za Hadley, która została na chwilę przy przewróconym stoliku i przeprosiła wszystkich za to, co się stało. Widząc jednak, że jej szuka, pospieszyła w jego stronę.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, jej szwagier spokojnie i oddał bez protestów kluczyki od samochodu. Czyżby Wood mu coś powiedział? - zastanawiała się. Usiadła za kierownicą, spodziewając się, że jakoś to skomentuje, ale on siedział cicho. W czasie jazdy odezwał się tylko raz, każąc się zamknąć Charliemu, kiedy ten zaczął narzekać, że ktoś taki jak Hadley prowadzi jego cenny wóz.

Jechała ostrożnie. Na szczęście służby miejskie poradziły sobie z odśnieżaniem i na drodze nie było ślisko. Kiedy dojechali na miejsce, z domu wyszła owinięta kocem Evie. Popatrzyła na męża i zacisnęła szczęki. Następnie zerknęła na siostrę tak, jakby to była jej wina.

- Jutro odbiorę samochód - rzuciła tylko i pociągnęła małżonka do domu.

Dane patrzył ze zdziwieniem, jak kobieta zamyka za sobą drzwi.

- No, nie było to szczególnie miłe powitanie - stwierdził. Hadley znów usiadła za kierownicą.

- Nie powinieneś być go wyprowadzać siłą, bo jeszcze poda cię do sądu - powiedziała. - To w jego stylu. Zawsze stara się zarobić bez wysiłku.

Popatrzył na swoje ręce, jakby żałował tylko tego, że nie dał Charliemu porządnie w kość.

- Zalecał się do ciebie wcześniej?

Poruszyła parę razy ustami ze zdziwienia.

- Dawno temu - przyznała w końcu. - Wtedy nie był jeszcze żonaty. A poza tym do niczego nie doszło...

- Kiedy konkretnie?

Zerknęła nerwowo na niewielki domek. Drzwi były zamknięte, a w oknach wisiały grube zasłony, które przepuszczały niewiele światła.

- Nie pamiętam dokładnie. Miałam wtedy pewnie szesnaście albo siedemnaście lat. - Zawahała się. - Sama nie wiem, dlaczego ci to mówię. Nikt o tym nie wie, więc wolałabym, żebyś tego nie rozgłaszał.

- Czy cię napastował?

- Nie, nie. I to się już nie powtórzyło. - Poczowała się upokorzona, gdy przypomniała sobie tamto wydarzenie. - Zresztą słyszałaś, że uważa mnie za mniszkę. Wcale mu się nie podobam. - Przeciągnęła dłonią po włosach. - Sam zresztą wiesz, że podobam się tylko jednemu facetowi w Lucius. I wynikają z tego same kłopoty. Najpierw ten wypadek, a teraz ta burda... - Uruchomiła silnik i zwiększyła ogrzewanie. Nie ruszyła jednak z miejsca. - Boże, jak mi zimno. Może ty wolałbyś prowadzić?

- Wolałbym, ale mogę też bez tego przeżyć.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

- Zupełnie cię nie rozumiem.

- Czy twoja siostra jest z nim szczęśliwa?

Z kim innym zapewne w ogóle nie chciałaby rozmawiać na ten temat. Ale Wood Tolliver pomógł jej w bardzo trudnej sytuacji. Poza tym z jakichś powodów wydawał jej się bliski.

- Sama nie wiem - przyznała. - Z całą pewnością była

w nim zakochana. Znają się jeszcze ze szkoły... Evie rzadko teraz ze mną rozmawia. Wiem tylko, że nie jest szczególnie zadowolona ze swego życia i trudno się jej dziwić. - Westchnęła ciężko. - Ma na głowie kredyt, dzieci i męża, na którego musi uważać. Trudno z nią pogadać, bo zawsze jest zajęta. A kiedy już się widzimy, mówi mi tylko, jak jej zdaniem powinnam prowadzić pensjonat. W przyszłym tygodniu ma urodziny, ale nawet nie urządza przyjęcia. Powiedziała, że jest zbyt zmęczona i zajęta.

- Więc możesz jej zrobić niespodziankę i nie zaprosić Charliego - zauważył.

- Ba, gdyby to było możliwe.

W końcu ruszyli do tyłu i po chwili wyjechali na asfalt. Pomyślała, że być może Wood ma rację. Mogłaby przygotować przyjęcie-niespodziankę dla siostry i „zapomnieć” o Charliem. Evie dobrze by zrobiło, gdyby pobyła trochę z rodziną i odprężyła się. Mogliby skorzystać z sali zebrań w kościele taty.

Na parkingu przed Tipped Barrel wciąż stało sporo samochodów. Minęli wolno bar i jechali dalej.

- Co powiedziałaś tej kelnerce? - spytała.

Zdziwił się, słysząc to pytanie.

- Dałem jej numer swojej komórki na wypadek, gdyby Beckett nie zapłacił za straty.

Zerknęła na niego znad kierownicy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Przewrócił ten stolik z mojego powodu - odparł.

W końcu dojechali do pensjonatu. Hadley skręciła zbyt gwałtownie i koła samochodu podskoczyły na krawężniku.

Już sobie wyobrażała, co powiedziała Charlie, gdyby był w tej chwili z nimi. Jednak Wood pozostawił to bez komentarza.

Pomyślała, że ten wieczór jest jedną wielką porażką.

Wyłączyła silnik i wysiedli. Mężczyzna wziął ją pod ramię.

Zapewne obawiał się, że się poślizgnie na ubitym śniegu.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Przekreśliła gałkę i weszli do środka.

- Coś się stało? - spytała, ponieważ Tolliver ciągle ją trzymał.

Popatrzył na jej włosy lśniące w świetle żarówki, a potem pocałował ją prosto w usta.

- Nie chodź do Tipped Barrel - powiedział. - Nie warto.

Spojrzała na niego wielkimi oczami i dotknęła swoich warg, a on ujął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

- I jeszcze jedno. Wendell Pierce nie jest jedynym facetem, któremu się podobasz - dodał swoim głębokim głosem.

Poczuła, że kolana się pod nią ugięły. Cofnęła się; bojąc się jego dotyku i tego, co mogło nastąpić.

Puścił ją gwałtownie.

- Dobranoc, Hadley.

Na szczęście miała za sobą ścianę, o którą się oparła.

- Dobranoc, Wood - szepnęła.

Zapewne jej nie usłyszał, ponieważ był już przy końcu holu.



## Rozdział 5

- Słyszałem, że wczoraj coś się działo w Tipped Barrel. Shane Golightly stał w słońcu w otwartych drzwiach do warsztatu. Dane zerknął na niego znad zderzaka, który usiłował zdjąć z wozu.

-Tak?

Szeryf zacisnął szczęki i spojrzał na brata, który zajmował się właśnie furgonetką Hadley. Podszedł bliżej do shelby'ego i popatrzył przeszywającym wzrokiem na właściciela samochodu.

- Dlaczego wciąż jest pan w miasteczku?

Dane ściągnął na szyję pożyczone od Stu okulary.

- Czy w ten sposób traktuje pan wszystkich, którzy przyjeżdżają do Lucius? - spytał. - Nic dziwnego, że jest ich tu tak niewielu. Mógłby pan przynajmniej pomóc siostrze w interesach. Właśnie tu jest i zastępuje Rivę.

- Niech się pan trzyma od niej z daleka.

- Od Rivy? - rzucił tamten niewinnie.

- Nie! - Shane nie wyglądał na rozbawionego. - Od mojej siostry.

- Nie lubię, jak mi się rozkazuje.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ale Hadley wcale nie potrzebuje kogoś takiego jak pan. Być może nie wypędzę pana od razu z miasteczka, ale radzę uważać. - W głosie szeryfa pojawiła się groźba.

- Może Hadley wołałaby, żeby jej bracia nie mieszały się tak bardzo w jej sprawę - rzucił Dane. - Lepiej by było, gdyby zwrócił pan większą uwagę na Evie. - Powiedział to zupełnie poważnie. Jego zdaniem to druga siostra bardziej potrzebowała w tej chwili pomocy.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Rutherford ponownie założył okulary i wziął łom do ręki.

- Niech pan zapyta Hadley. Ja wolę się zająć swoim wozem.

Wiedział, że Evie odebrała dziś rano samochód, gdyż słyszał, jak rozmawiała z siostrą w kuchni. Chciał się nawet włączyć do tej rozmowy, bo wydawało mu się, że przybyła atakuje Hadley, a ta nawet nie próbuje się bronić. W końcu jednak zdecydował, że nie będzie się mieszał w ich rodzinne sprawy.

- Myśli pan, że mi coś powie?

Dane wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa.

Znowu próbował odciągnąć zderzak, ale ten nie chciał się poddać. Szeryf pochylił się w jego stronę.

- Jeszcze jedno, Tolliver - wymówił z przekąsem jego nazwisko. - Obaj wiemy, że coś pan ukrywa. Jeśli skrzywdzi pan moją siostrę, to pożałuje pan tego.

Wyprostował się i ruszył w stronę niewielkiego biura. Szarpnięcie łomem poskutkowało - zderzak zazgrzytał

i w końcu oderwał się od samochodu. Był cały pogięty i Dane odłożył go na bok. Nagle poczuł się lepiej. Zostawił łom i zdjął rękawice robocze, a następnie okulary, i położył je na półce. Uniósł dłoń i pomachał Hadley, która patrzyła na niego przez okno. Powiedział Stu, że sprawdzi później, jak idzie praca przy jego wozie.

Mechanik skinął głową. Zgodził się już na to, że najpierw zajmie się furgonetką siostry, która wymagała mniejszych napraw, a dopiero potem shelbym. Poprosił też właściciela samochodu o pomoc przy ciężkich pracach, bo trudno mu było je wykonywać z ręką w gipsie. Podobnie jak brat nie chciał, by obcy zatrzymał się na dłużej w miasteczku, ale wyglądało na to, iż pogodził się już z faktem, że musi go tolerować jeszcze przez jakiś czas.

Dane wrócił do swego pokoju w pensjonacie i przez parę godzin konferował przez telefon ze swoją asystentką. To, że była akurat sobota, nie miało większego znaczenia. Rutherford Industries musiało pracować także w czasie weekendów i Laura doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Trudno mu było prowadzić interesy bez komputera z dostępem do internetu czy choćby faksu, ale mimo to udało mu się rozwiązać najważniejsze problemy, więc miał powód do zadowolenia. Podyktował też parę listów, do czego akurat wystarczał w zupełności telefon.

- Jeszcze jedno. - Opowiedział jej pokrótce o rozmowie z Mandy Manning w Tipped Barrel. - Gdybyś dostała stamtąd rachunek, to zapłać, dobrze?

Laura zanotowała polecenia i mógł nareszcie zakończyć rozmowę. Po chwili usłyszał ciche pukanie do drzwi.

- Proszę!

Do pokoju weszła Hadley, niosąc świeżą pościel.

- Cześć.

Pomachał jej tylko na pożegnanie w warsztacie i specjalnie poszedł na śniadanie do Luscious, żeby nie spotkać się z nią w pensjonacie. Nie zachował się szczególnie elegancko, ale wolał jej unikać. Robił sobie wyrzuty z powodu wczorajszego pocałunku. Nie było to najmądrzejsze posunięcie z jego strony. Przyjemne - tak, ale z pewnością niezbyt mądre.

- Cześć - przywitał się. - Co to takiego? - Wskazał pościel.

- Przyniosłam świece, bo mogą nam wyłączyć prąd - poinformowała. - Poza tym mam czyste poszewki i dodatkową kołdrę, ponieważ dziś rano zapowiadano jeszcze większe mrozy. - Nie patrzyła mu w oczy, bez przerwy odwracając wzrok. - Powlec ci poduszki?

Wiedział, że nie powinna widzieć jego rozłożonych na łóżku notatników ani tym bardziej kalendarza z logo Rutherford Industries. Chciał, żeby jak najprędzej wyszła z jego pokoju.

- Nie, nie będzie mi zimno - zapewnił. Zwłaszcza teraz, gdy poznałem smak twoich gorących ust, dodał w myślach.

- Zostaw mi tylko świece.

Nagle przypomniał sobie, że przez całą noc dziewczyna jest bardzo blisko, tuż za drzwiami, i poczuł, że robi mu się jeszcze cieplej. Słyszał nawet dziś rano, jak wstała, ale zachowywała się na tyle cicho, że znowu zasnął.

- Jesteś pewny? - spytała zaskoczona. - Mamy dosyć cienkie kołdry, bo w lecie jest tu bardzo ciepło. Wszyscy goście proszą o dodatkowe.

- A ty? - Zapraǳał nagle wiedzieć, jak sypia.

- Ja? - Zaskoczona, zamruǳała oczami. - Ja teų. I prawdę mówiąc, juų jutro ma być minus...

- Dobra, daj tę kołdrę - powiedział.

Wyciągnęła ręce z pościelą daleko przed siebie, nie chcąc go dotknąć. On teų wolał unikać bezpośredniego kontaktu, gdyų działała na niego elektryzująco. Efekt był taki, że poszwy upadły na dywan, a dwie grube świece potoczyły się po podłodze.

- Przepraszam - rzuciła.

Uklękli jednocześnিয়ে i zderzyli się głowami. Dane jęknął, czując przeszywający ból.

- O Boųe! Mam nadzieję, że nic ci się nie stało - powiedziała przerażona. - Usiądų i nic juų nie róó.

Nie miał wyboru. I tak kręciło mu się w głowie. Siedział zatem, opierając się ciężko o tył łóųka. Nigdy wcześnিয়ে nie widział gwiazd i wydawało mu się, że to tylko takie powiedzenie, ale teraz dostrzegł migające w ciemności jasne punkciki.

Hadley chyba wstała i ułożyła pościel na łóųku, a następnিয়ে przykucnęła przy nim i położyła mu dłoń na czole.

- Jak się czujesz? - spytała troskliwie.

- Tak sobie - odparł.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

Próbował pokręcić głową, ale poczuł jeszcze większy ból.

- Jasne.

Wstała i usłyszał, jak odkręca kurek z wodą. Po chwili ponownie znalazła się przy nim.

- Zdejmę ci teraz opatrunek, dobrze? - Ponieważ nie za-

protestował, zaczęła to robić bardzo delikatnie. Po chwili poczuł, jak obmywa mu ranę zamoczonym w zimnej wodzie ręcznikiem. - To nie wygląda najlepiej - stwierdziła. - Zaraz zawiozę cię do szpitala. Powinniśmy byli tam pojechać zaraz po wypadku, niezależnie od tego, czy sobie tego życzyłeś.

Odłożyła ręcznik i wzięła Dane'a za ramiona, jakby rzeczywiście zamierzała go podnieść, jeśli jej nie posłucha.

- Miałem gorsze rany - zapewnił.

Pociągnął ją ku sobie, a ona zachwiała się i usiadła mu wprost na kolanach. Natychmiast przestał myśleć o bólu i bezwiednie skierował myśli na coś znacznie bardziej przyjemnego. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że może to być tak doskonały środek przeciwbólowy.

Pełna nirwana.

- Naprawdę, jakie? - spytała, starając się wstać z jego kolan.

Otworzył oczy.

- To było dawno temu. Kiedy jeszcze brałem udział w wyścigach - wyjaśnił.

Zdziwiona, ponownie opadła na jego kolana.

- Biegałeś czy jeździłeś konno?

- Nie, jeździłem samochodem - odparł. - To były wyścigi NASCAR. Czuję się wtedy naprawdę szczęśliwy... Niestety, trwało to krótko, bo miałem inne obowiązki. Z każdym rokiem coraz więcej.

Popatrzyła na niego z niepokojem i zatknęła za ucho niesforny kosmyk, który i tak po chwili opadł jej na twarz.

-I miałeś jakiś poważny wypadek?

Znów zamknął oczy, pragnąc skupić się na jej ciele. Na pośladkach, które czuł na swoich udach.

- Ale jak widzisz, jestem cały i zdrowy.

Dotknęła delikatnie blizny koło jego oka, tuż obok nie-wielkiego rozcięcia skóry, które już zaczęło się goić.

- Stąd ta blizna.

-Tak.

Z przyjemnością myślał o dotyku jej chłodnych palców.

- Bałabym się ścigać samochodem - stwierdziła. - Jak dla mnie to zbyt niebezpieczne.

- Z tego, co widziałem, to mogłabyś być w tym dobra. Byłoby ci tylko trudno znaleźć innych kierowców, którzy chcieliby się z tobą ścigać - zażartował.

Cofnęła rękę.

- Tak, wiem, że jestem fatalnym kierowcą.

- Ale mogłabyś być lepszym - zauważył.

Nie obraziła się, jak zrobiłoby wiele innych kobiet, tylko zamyśliła się na chwilę.

- No tak. Gdybyś mógł udzielać mi lekcji. Oczywiście nie za darmo - dodała pośpiesznie.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Hadley. - Zaczął pragnąć czegoś więcej i wcale nie był z tego zadowolony. Właściwie nie powinien w ogóle o tym myśleć.

- Dobrze - znowu poruszyła się na jego kolanach, ale tym razem przytrzymał ją ramieniem. - Doskonale wiem, że chcesz stąd jak najszybciej wyjechać.

Nie zaprzeczył, więc uznała, że ma rację.

- A ty nie chciałaś stąd wyjechać?

- Pojechałam na studia, zaczęłam nawet pracę... Ale potem mama zachorowała i zdecydowałam się wrócić - wyjaśniła.

Oczywiście, gdy zaczęła prowadzić pensjonat, nie mogła

się już nigdzie ruszyć. Miała związane ręce, a jej rodzina mogła ją do woli wykorzystywać. Kiedy trzymał ją na kolanach, wydawała mu się bardzo szczupła, a jednak nie tak koścista jak kobiety, z którymi się zwykle umawiał.

Ale Hadley nie jest twoja, upomniał siebie w duchu. I powinieć na nią uważać.

- Co studiowałaś? - spytał.

- Hm... Rachunki i zarządzanie, także nawet przydało mi się to w pracy - rzekła z przekąsem. - Sama prowadzę swoje księgi rachunkowe i zarządzam Joanie, jeśli tylko na to pozwala.

- To pewnie bardzo trudne - zauważył.

- Ostatnio się pogorszyło, ale kiedyś było zupełnie fajnie.

- Te studia nie były chyba zbyt interesujące?

Dane nie znosił prowadzenia biznesu, chociaż zawsze wszystko mu się udawało. Zdecydowanie wołał czasy, kiedy uczestniczył w wyścigach i pracował z Woodem w warsztacie.

- No tak, skoro brałeś udział w wyścigach... - powiedziała z westchnieniem. - Ale chyba też skończyłeś jakieś studia?

- Biznesowe - odparł.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nigdy bym nie pomyślała. Wcale nie wyglądasz na biznesmena, nie masz garnituru i w ogóle... Ani też na kogoś, kogo zadowoliliby zwykła praca w biurze od dziewiątej do piątej.

- Jednak przeważnie noszę krawat.

Do licha, Darby mówiła o nim, że wygląda jak księżę ubrany przez Armaniego. Miał to być oczywiście komplement. Dużo też dałby za to, by móc kończyć pracę o piątej.



- Czym się zajmujesz?

- Mam własną firmę.

- W Indianie?

- Tak. - Nie było to do końca kłamstwem, gdyż właśnie w tym stanie znajdowała się siedziba RTM.

- Lubisz swoją pracę?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Jestem w niej dobry, ale trudno powiedzieć, żebym za nią przepadał - odparł szczerze.

- Wolałbyś wyścigi?

- Wyścigi, naprawę i projektowanie ulepszeń w samochodach. - Właśnie to planowali z Woodem dawno temu.

- Hm. - Wzięła ręcznik i jednocześnie się zaczerwieniła.

- Jesteś żonaty?

- A czy zachowuję się jak ktoś, kto ma żonę? - zapytał, myśląc o tym, jak dziwnie muszą wyglądać razem na podłodze.

- To nie jest odpowiedź.

- Pamiętaj, że cię pocałowałem. - Czyżby źle ją ocenił? Czyżby to nic dla niej nie znaczyło?

Jej policzki spąsowiały jeszcze bardziej.

- Ale potem szybko poszedłeś na górę - wymamrotała. - A dzisiaj mnie unikałeś. - Popatrzyła na niego krytycznie. Rzeczywiście, tak właśnie mógł się zachowywać żonaty mężczyzna, który pożałował tego, co zrobił.

- Ale wcale nie miałem na to ochoty - powiedział, przesuwając dłonią po jej plecach. Po chwili poczuł pod palcami jej jedwabiste włosy. - Najmniejszej.

Hadley potrząsnęła głową.

- Po prostu byłeś dla mnie miły. Pewnie z powodu tego, co powiedział Charlie.

- Wcale nie jestem miły - odrzekł w zamyśleniu. Gdyby był miły, nie mógłby prowadzić Rutherford Industries, a w każdym razie nie zaszedłby tak wysoko. Gdyby był miły, nie zatrzymałby się również w Lucius, by zrobić to, co zamierzał. - Potrafię manipulować ludźmi, panować nad nimi i zawsze umiem dopiąć swego.

Na tym właśnie zbudował potęgę Rutherfordów. To nazwisko wiele znaczyło, i to w całej Ameryce.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Nie ma nic złego w tym, że jest się miłym - zauważyła.

- W świecie mojego ojca jest inaczej - stwierdził. - Jego zdaniem, jeśli coś się nie opłaca, to jest niepotrzebne. Trzeba przede wszystkim dbać o firmę. O firmę i nic więcej.

Spuściła rzęsy i zagryzła wargi.

- To bardzo smutne - powiedziała po chwili namysłu.

Dane nie potrzebował jej współczucia. Pragnął zemsty.

I doskonale wiedział, że nie powinien do tego mieszać miłej,

niewinnej dziewczyny.

Znowu na niego popatrzyła.

- Więc co, jesteś żonaty czy nie?

Skoro pożyczyl tożsamość od Wooda Tollivera, mógł równie dobrze pożyczyć sobie jego żonę. Przynajmniej nominalnie. To by rozwiązało jeden z jego problemów. Hadley Golightly z pewnością więcej by na niego nie spojrziała. Byłaby w dalszym ciągu gościnną, ale trzymałaby się od niego z daleka. Wystarczyło powiedzieć „tak”, by oddalić od siebie wszelkie pokusy.

- Nie - odparł. - Nie jestem i nigdy nie byłem żonaty.

Jej twarz pozostała nieruchoma, ale oczy nabrały cieplejszego wyrazu. Dotknęła łagodnie jego dłoni, którą przytrzymał mokry ręcznik.

- To dobrze - bąknęła.

O tak, bardzo dobrze, pomyślał. Czuł na sobie jej ciało i był w tej chwili podniecony jak nastolatek. Od dawna się tak nie czuł.

- Co się tu dzieje? - usłyszeli nagle głos Shanea.

Hadley skoczyła na równe nogi. Drugi, suchy ręcznik, który trzymała na kolanach, upadł na podłogę. Popatrzyła na brata z taką miną, jakby biegła nago po głównej ulicy i zakłócała porządek publiczny.

Dane złapał ją za rękę, nie chcąc, by mu uciekła.

- Pańska siostra udzielała mi pierwszej pomocy - wyjaśnił.

Dziewczyna była czerwona jak piwonia. Zachowywała się tak, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku, co nie było do końca zgodne z prawdą.

- Powinien pan pojechać do szpitala. Zawiozę pana. - To nie była propozycja, lecz rozkaz.

Mężczyzna wstał i spojrział na szeryfa.

- Dziękuję, ale jest mi tu dobrze.

- Aż za dobrze - wycodził tamten przez zęby.

Hadley patrzyła to na jednego, to na drugiego. Brat wyglądał na spokojnego, ale wiedziała, że jest wściekły. A Wood jeszcze dolewał oliwy do ognia.

- Co tutaj robisz, Shane? - spytała.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie pamiętasz? Prosiłaś, żebym narąbał ci drewna.

Ależ tak! Poczula się jak idiotka. Przecież rozmawiali o tym jeszcze wczoraj. Zawsze dbał o to, żeby miała dużo drewna na wypadek, gdyby wyłączono im prąd, co niestety zdarzało się przy dużych opadach śniegu.

- Pan Tolliver mi pomoże - dodał.

Skrzywiła się na te słowa.

- Nie wygłupiaj się. Po pierwsze, jest tu gościem, a po drugie, powinien przede wszystkim odpoczywać. Powiedziałam już Stu, co myślę o tym, że oczekuje jego pomocy w warsztacie. - Poprawiła leżące na łóżku świece i pościel. - A teraz pozwolicie, że zajmę się swoją pracą.

Upewniła się jeszcze, że na szafce przy łóżku zostawiła zapalki, a następnie skierowała się do wyjścia. Dane w tym czasie zbierał papiery, a Shane wodził wzrokiem za siostrą, jakby nie chciał zostawić jej z nim sam na sam. To sprawiło, że wezbrał w niej bunt. Wzięła z łóżka kołdrę i zaczęła ją powlekać w czystą poszewkę, ciekawa, jak długo jej brat będzie tak stał w drzwiach i obserwował ją z pełną niezadowolenia miną. Poprawiła jeszcze poduszki, a potem, ponieważ nie miała nic więcej do zrobienia, skierowała się do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkodziłam ci w pracy - zwróciła się jeszcze do Wooda.

Podchodząc do brata, rzuciła:

- Mogę zadzwonić do taty, żeby porąbał drewno.

Shane drgnął.

- Przecież powiedziałem, że to zrobię.

- Wcale na to nie wygląda.

Ruszył niechętnie w stronę klatki schodowej. Po chwili usłyszeli, jak schodzi na dół.

- Zwykle jest miłszy.

- Nie musisz go usprawiedliwiać, Hadley - powiedział Dane, podchodząc do drzwi.

Być może miał rację. Być może powinna przede wszystkim pomyśleć o sobie, a nie o innych członkach rodziny. Nie wiedziała, co takiego było w tym człowieku, że zaczynała przy nim zmieniać swój punkt widzenia. Były to nowe, zupełnie nieznane jej doświadczenia i wołałaby ich unikać.

Wróciła do bezpiecznego tematu.

- Lunch będzie za godzinę. Jeszcze raz przepraszam, że ci przeszkodziłam.

- Nie ma sprawy.

Pomyślała, że powinna jednak pojechać z nim do szpitala. Ta rana rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Jednak on był uparty jak osioł. Skoro odmówił Shanebwi, to teraz nie zmieni zdania.

- Jesteś pewny, że nie potrzebujesz pomocy lekarza?

- Całkowicie - odrzekł zdecydowanym tonem.

Hadley westchnęła, a następnie ruszyła do swoich obowiązków. Pomyślała, że powinna jeszcze zajrzeć do pokoju w wieży i sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku. No i oczywiście zostawić świece oraz dodatkową kołdrę, która z pewnością się przyda. Chociaż starała się dokładnie uszczelnić okna przed zimą, były na tyle stare i wypaczone, że i tak pozostawały szczeliny, przez które wiało. Najwyższy czas je wymienić, ale przy obecnych dochodach nie było na to szans.

W końcu zeszła do kuchni. Kiedy skończyła przygotowania do lunchu, zadzwoniła na gości, a potem, jak zwykle, poszła do swego pokoju. Nie spędziła jednak tej godziny z pió-

rem w dłoni. Historie, które zwykle cisnęły się jej do głowy, gdzieś zniknęły. Miała teraz przed oczami tylko jeden obraz. Mocne, męskie rysy i błękitne oczy. Twarz Wooda Tollivera.

Prognozy się sprawdziły i po kolacji zaczęła się burza śnieżna. Gospodyni odradzała gościom wychodzenie z pensjonatu, zresztą nikt nie miał na to ochoty. Vince dorzucał dREW do ognia, a Hadley przygotowała dla wszystkich garnek kakao. Zaniosiła go do salonu, gdzie było ciepło i przytulnie, i gdzie zebrali się wszyscy jej goście.

Wszyscy poza Woodem.

Próbowała nie zwracać na to uwagi. Zadzwoiła do paru osób w związku z planowanymi urodzinami Evie, a potem sprawdziła, czy wszystko jest w porządku w pensjonacie. Oczywiście nie przyznałyby się do tego, że szuka Wooda. Wciąż jednak powracała do niego myślami. Wyglądało na to, że wyszedł mimo złej pogody, w dodatku w tej swojej lekkiej skórzanej kurtce. Miała nadzieję, że może jednak wrócił, więc ponownie zajrzała do salonu. Goście grali w karty, popijając kakao. Nikt nie zwrócił uwagi na jej zmartwioną minę. Nikt też nie kwapił się, by pójść do swego pokoju. Kiedy za oknem szalała burza, przyjemniej było spędzić ten czas w towarzystwie innych.

W końcu nie wytrzymała i poszła na piętro. Zapukała do pokoju Tollivera, ale nikt nie odpowiedział. Stała tak przed jego drzwiami dłużej, niż to było konieczne, i wiedziała, że jest żałosna. Może zasnął i nie słyszy pukania? Powinna jednak dać mu spokój.

Poszła z tacą do salonu i zebrała puste filiżanki, a następnie życzyła wszystkim dobrej nocy. Zauważyła, że nie ma tam Nikki Day, ale pani Ardelle twierdziła, że tamta jest już u siebie. Czyżby rzeczywiście tak długo jej się zeszło przed drzwiami Wooda?

Wróciła do kuchni i pozmywała szybko, a następnie stanęła przy stole, bębniąc palcami o blat. Nikki wydawała jej się dziwna. Hadley nie odniosła wrażenia, by ta kobieta dobrze się tu bawiła. Była w widocznej ciąży, a pani Ardelle zauważyła, że nie zjadła prawie nic na śniadanie, a na lunch tylko zupę. Była oczywiście bardzo miła, ale wydawało się, że coś ją gnębi.

Gospodyni poszła do jej pokoju, żeby tylko nie myśleć o Woodzie. Zapukała cicho, pewna, że Nikki nie zdążyła się jeszcze położyć.

- Proszę - usłyszała.

Weszła do środka i spojrzała na bladą, ściągniętą twarz.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy jest tu pani ciepło - powiedziała. - Ta dodatkowa kołdra z pewnością się przyda. Mogę też rozpałcić ogień w kominku, jeśli sobie pani życzy.

- Nie, nie, dziękuję - odrzekła pani Day.

Miała na sobie gruby zielony sweter i nie wyglądała na zmarzniętą.

- Jest mi ciepło, a poza tym... bardzo podoba mi się ten pokój - dodała.

Coś w jej głosie sprawiło, że właścicielka pensjonatu miała ochotę ją przytulić. Nie chciała jednak wtrącać się w jej sprawy. Zawsze dbała o to, by nie naruszać prywatności swoich gości.

- Jeśli śnieg nas nie zasypie, to jutro zorganizujemy kulig, tak jak pani prosiła.

Oczy Nikki nagle pociemniały.

- Pewnie dziwi panią to, że przyjechałam tu sama - rzekła przyciszonym głosem.

- Zapewne ma pani swoje powody - odparła po prostu Hadley. - A ja zrobię wszystko, żeby ten pobyt był dla pani miły. Tak jak tamten dla znajomych pani matki.

- To byli rodzice mojego narzeczonego - powiedziała dziewczyna. - Przyjechali tu po ślubie. Cody zawsze mówił, że też powinniśmy to zrobić. - Zaciśnęła na chwilę usta. - Nie sądziłam, że będę musiała przyjechać tu sama.

Hadley pomyślała, że nadszedł moment, kiedy powinna jednak wtrącić się w sprawy swoich gości. Wzięła więc zimne dłonie Nikki w swoje.

- Proszę powiedzieć, gdyby czegoś pani potrzebowała. Przechowuję stare książki meldunkowe. Na pewno udałoby nam się znaleźć ten wpis.

Pani Day skinęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dziękuję - powiedziała, ściskając jej dłonie. - A teraz chciałabym zostać sama.

- Dobranoc - rzekła gospodyni i podeszła cichutko do drzwi.

Kobieta nie odpowiedziała jej jednak, pogrążona w swoich myślach.

Hadley westchnęła cicho i poszła do siebie. W pokoju było zimno, więc natychmiast rzuciła drugą kołdrę na łóżko. Nasłuchiwała przez chwilę, czy łazienka nie jest zajęta, ale ponieważ nie dobiegały z niej żadne dźwięki, postano-



wiła wziąć długą, gorącą kąpiel. Z półki z kosmetykami zdjęła książkę, którą tam zawsze trzymała. Lektura była na tyle podniecająca, iż nie zauważyła, że woda, w której była zanurzona, wystygła. Ciało dziewczyny przebiegł dreszcz. Właśnie chciała odłożyć książkę, kiedy światło zamigotało i zgasło.

- Niech to licha! - jęknęła.

Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności. Nie chciała jednak dalej siedzieć w zimnej wodzie, czekając, aż jej oczy przywykną do mroku. Wiedziała, co prawda, że może się tego spodziewać, a mimo to nie wzięła świecy do łazienki. Cóż, sama jest sobie winna.

Wyciągnęła po omacku rękę z książką w nadziei, że trafiła na półkę, po czym wyciągnęła zatyczkę i wstała, żeby się wytrzeć. Na szczęście wiedziała, gdzie może znaleźć ręcznik. Po chwili, już sucha, pospieszyła do swojego pokoju. Zapaliła świecę, włożyła piżamę, a następnie wróciła do łazienki, żeby w niej posprzątać. Potem wyjrzała jeszcze na korytarz.

Wokół panowała cisza. Słyszała tykanie wielkiego zegara, który stał na półpiętrze, a także wycie wiatru za oknem. Odsunęła zasłonkę, by wyjrzieć przed dom.

Na ulicy było ciemno, co znaczyło, że prąd wyłączono nie tylko w pensjonacie. Prawdopodobnie nie było go w całym miasteczku. Przy świetle księżycy widziała tylko wielkie zaspę śniegu.

Nagle dostrzegła jakieś poruszające się cienie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że środkiem ulicy idą dwie osoby. Po jakimś czasie pożegnały się i jedna ruszyła w stronę centrum, a druga do pensjonatu.

Hadley wyprostowała się i opuściła zasłonkę. Miała za mało czasu, żeby wrócić do swego pokoju. Po chwili usłyszała kroki na zewnętrznych schodach, a potem skrzypienie frontowych drzwi.

Świetnie, po prostu świetnie, pomyślała.

Zabrakło jej nawet czasu, by zgasić stojącą nieco dalej świecę. Po prostu stała w holu, patrząc, jak Wood zdejmuje skórzaną kurtkę.

- A więc to ty rozświecisz mroki nocy - zażartował.

Podeszła do stolika i zawahała się, czy wziąć świecę. Bała się, że wypuści ją z rąk i podpali pensjonat. Szybko ściągnęła poły szlafroka.

- Wyłączyli nam prąd - poinformowała.

Był na tyle miły, że nie powiedział, iż zdążył to już dawno zauważyć.

- Czy wszystko w porządku?

Chciała go zapytać o osobę, z którą szedł. Czy to ktoś znajomy? Przyjaciółka? Musiała sobie uświadomić, że nie może tego zrobić. Przecież pan Tolliver był tu tylko gościem. Przyпадkową osobą, która zatrzymała się na parę dni w Lucius. Zresztą z jej winy.

- Jak najbardziej. Właśnie wszystko sprawdzałam. Czy zamknąłeś porządnie drzwi?

- Tak, oczywiście. Strasznie wieje. I ten śnieg...

Miała poczucie, że go szpiegowała, chociaż wcale nie zamierzała tego robić. Zrobiło jej się głupio z tego powodu.

- Weź świecę - powiedziała. - Będzie ci się łatwiej poruszać.

-A ty?

- Znam ten dom jak własną kieszeń. Z pewnością dotrę do swojego pokoju.

- Możemy pójść razem - zauważył i spojrział na zegarek.

- Już późno.

Wood nie wziął świecy. Przysunął się tylko bliżej w krąg światła. Zauważyła, że zapomniał zdjąć jej czarny szalik.

- Jesteś zmartwiona - zauważył.

- Jasne, że nie. Przecież nie mam ku temu żadnych powodów.

Zrobił krok w jej stronę. A potem jeszcze jeden.

- Przecież to tylko wyłączenie prądu...

Pomyślała, że mogłaby tego użyć jako wymówki, ale nie chciała kłamać.

- Tak, jasne. - Odniosła wrażenie, że czuje od niego zapach perfum. - Weź świecę. Nie chcę, żebyś się o coś potknął.

- Nie chcę świecy - mruknął i wziął ją za rękę. - Powiedz mi, dlaczego jesteś taka zmartwiona. Czy znowu chodzi o twój szwagra?

- O Charliego? Nie. To już problem mojej siostry. - Miał zimne palce, więc zadrżała.

Puścił jej dłoń, ale dotknął nagiego ramienia.

- Więc o co chodzi, Hadley?

Cofnęła się gwałtownie, aż płomień świecy zatańczył i dookoła obudziły się cienie. Patrzyła na jego twarz, zastanawiając się, czy będzie chciał ją oszukać. W końcu nie wytrzymała i spytała:

- Kim jest ta kobieta? Myślałam, że nie znasz nikogo w Lucius.

## Rozdział 6

Dane zaklął w duchu. Wcale nie chciał, by martwiła się z jego powodu.

- Byłem w Tipped Barrel - powiedział, ale nie była to odpowiedź na jej pytanie.

Oczy dziewczyny zaślniły w blasku świecy.

- Nie powinieneś pić w takim stanie. - Wskazała na jego głowę.

Cofnął dłoń, chociaż pragnął dotykać jej nagich ramion, przekonać się, czy są równie gładkie jak dłonie.

- Wcale nie piłem. Grałem w bilard. - Dzięki temu mógł wysłuchać najnowszych wiadomości Mandy na temat jej śledztwa.

Hadley popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tak, mam nadzieję, że nie zgubiłeś przy okazji koszuli czy czegoś w tym rodzaju. Mogłeś tam spotkać Vince'a, bo chodzi czasami do baru, żeby pograć. I Palmera Erame'a, tego ratownika - dodała tytułem wyjaśnienia.

- Vince'a nie było, ale rzeczywiście widziałem Palmera.

Powiedział, że masz zamiar wydać przyjęcie na cześć siostry. Wygląda na to, że zaprosiłaś nie tylko rodzinę, ale połowę miasteczka. Nie widziałem natomiast Charliego. Wypuściła nagromadzone w płucach powietrze.

- To przynajmniej coś - mruknęła.

Trochę się rozpozgodziła. Wzięła świecę, zamierzając odejść. Jednocześnie starała się pilnować paska swojego szlafroka, który lubił się rozwiązywać. Okrycie było bardzo miękkie, ciepłe i spowijało przytulnie całe jej ciało oprócz rąk - z powodu szerokich rękawów.

- W ogóle było mało ludzi - dodał Dane. - Pewnie z powodu burzy.

Skinęła głową. Zaciśnęła usta, a potem wzięła świecę do ręki.

-Cóż...

- Tak, oczywiście. - Dopiero teraz zauważył, że nie zdjął szalika i po chwili odwiesił go na miejsce. - Idź pierwsza.

Minęła go, a on stwierdził, że bardzo przyjemnie pachnie. Zauważył też, że ma mokre końce włosów. Zapewne wzięła kąpiel tuż przed jego przyjściem, co znaczyło, że będzie miał łazienkę do swojej dyspozycji.

Przeszli przez hol i zaczęli wchodzić po schodach. Mężczyzna obserwował Hadley z tyłu, podziwiając zgrabnie poruszające się pod szlafrokiem ciało. W końcu dotarli do jego drzwi. Dane otworzył je i wszedł do środka, a ona podążyła za nim. Zapaliła dwie świece, które zostawiła tu rano, a następnie skierowała się do wyjścia.

- Dobranoc, Wood.

- Dobranoc.

Zamknęła za sobą drzwi. Lokator stał przez chwilę na środku pokoju. Miał ochotę walić głową w ścianę, ale nie byłoby to rozsądne w jego sytuacji. Świece paliły się jasno, więc miał dosyć światła. Zdjął szybko sweter i koszulę, a następnie, wziąwszy jedną ze świec, poszedł do łazienki.

Gdy się w niej znalazł, rozpoznał zapach, który poczuł wcześniej od dziewczyny. Zapewne dosypała sobie czegoś do kąpeli. Postawił świecę przed lustrem przy umywalce i usiadł na brzegu staroświeckiej wanny, której dno wciąż było wilgotne. Zaczął sobie wyobrażać Hadley w kąpeli i stwierdził, że znowu jest podniecony. Do licha, ona za bardzo na niego działała. Nie miał pojęcia, jak to się dzieje, ale wszędzie ją widział i wciąż o niej myślał.

Wcale mu się to nie podobało.

Westchnął ciężko i podszedł do umywalki, żeby przemyć twarz zimną wodą. Zamoczył przy tym bandaż i poczuł znajomy ból. A niech to... Znowu będzie musiał zmienić opatrunek. Zaklął pod nosem i wrócił do swego pokoju.

Było w nim tak mało miejsca, że nie mógł nawet swobodnie się poruszać i w tym momencie pożałował, że nie został w Kentucky. Miałby tam wygodę i spokój ducha. A także parę kobiet, z którymi mógłby się umówić.

Szkoda tylko, że żadna nie przypominała Hadley. Żadna też tak pięknie nie pachniała, chociaż wszystkie używały drogich perfum. Nosiły również ubrania od najlepszych projektantów, włączając w to seksowną bieliznę. Wiedziały, jak manipulować mężczyznami, i bez skrupowania korzystały ze swoich wdzięków. Nigdy nie zapraszał ich do swego mieszkania ani nie obawiał się, że mógłby je zranić.

Teraz miał jednak do czynienia z niewinną, miłą dziewczyną.

Dlatego powinien dać jej spokój i zająć się swoimi sprawami. Powinien odzyskać panowanie nad sytuacją. Wiedział, że musi przede wszystkim odszukać Alana Michaela, skoro nie udało się to policji, i sprawić, by odpokutował za to, co kiedyś zrobił.

Niektórym wydawało się, że więzienie może zmazać jego winę. Jednak Dane wcale nie był tego zdania. Darby miała zaledwie dziewięć lat, kiedy Michael ją porwał, i była przeżona. Chociaż udało się ją uwolnić, cała rodzina do tej pory ponosiła konsekwencje tamtego zdarzenia. Zresztą zbrodniarz nie odsiedział pełnego wyroku; przeniesiono go do więziennego oddziału psychiatrycznego. Po latach strażnicy na tyle stracili czujność wobec niego, że zdołał im uciec.

Dlatego Rutherford musiał go odszukać i ukarać. Dopiero wtedy będzie mógł spać spokojnie.

Wiedział, że powinien przede wszystkim skupić się na tej sprawie. Nie było to jednak łatwe, kiedy miał obok Hadley.

- Coś jest nie w porządku z ostrością. - Spojrzała przez lornetkę, którą wcześniej podsunął jej Wendell.

Przyszedł dziś rano do kościoła, usiadł w ławce obok i od tego momentu nie mogła się od niego uwolnić. Po nabożeństwie uparł się, że odwiezie ją do pensjonatu, a potem przypomniał sobie o nowej lornetce i poszedł za nią do kuchni, chociaż ostrzegła go, że musi przygotować lunch dla gości. Ponownie wyciągnął ją na dwór, mimo iż mówiła, że jest jej zimno.

Zacząła znowu poprawiać ostrość, ale Pierce wyrwał jej lornetkę z dłoni i popatrzył w dal.

- Nie, wydaje mi się, że wszystko jest w porządku - zapewnił, przestępując z nogi na nogę, aż śnieg zaskrzypiał mu pod butami. Objął ją od tyłu i przyłożył okulary do jej oczu.

- Popatrz teraz.

Wcale nie miała na to ochoty i nie podobało jej się to, że ją obejmuje. Wciąż trzymał jednak lornetkę przed jej oczami. Nie chciała być dla niego nieuprzejma, więc patrzyła, choć widziała tylko swoje rzęsy i rozmazane gałęzie drzew.

- Widzisz tego ptaka, Hadley? To kardynał - entuzjazmował się.

Zamknęła na chwilę oczy i zagryzła wargi.

- Tak, rzeczywiście, świetnie go widać - rzuciła.

Wreszcie kucnęła i wyswobodziła się z jego objęć. Obróciła się i popatrzyła na niego groźnie. Znosiła go cały ranek i nie miała ochoty tego ciągnąć. Czekają na nią ważne zajęcia. Przede wszystkim lunch, a potem zaplanowane porządki w kredensie.

Nie chciała go jednak zranić.

- Więc Stu powiedział ci, że lubię obserwować ptaki, tak?

- Tak, wczoraj rano. - Pierce ponownie podniósł lornetkę do oczu i zaczął rozglądać się dookoła, uśmiechając się przy tym szeroko. - Właśnie dlatego ją kupiłem. Nigdy nie sądziłem, że znajdę kobietę, która tak bardzo będzie do mnie pasować. Teraz jednak wiem, że będzie nam dobrze. Pasujemy do siebie jak stare skarpetki.

Skrzywiła się, słysząc to niezbyt poetyckie porównanie.

- Wendell, wcale nie mówiłam, że za ciebie wyjdę. - Ro-



zejrzała się. Wokół było mnóstwo śniegu, ale nad ranem przestało padać i zza chmur wyjrzało słońce. Pomyślała, że byłoby bardzo miło, gdyby nie ten natręt.

Pociągnął ją lekko za ucho.

- Wiem, że tylko tak się ze mną droczysz.

Prawdę mówiąc, nie obiecywała mu nawet, że będzie z nim chodzić. To jej bracia uznali, że jest dla niej odpowiednią partią.

- Rozumiem, że chcesz sobie wszystko przemyśleć, kochanie. Nie musimy się spieszyć. - Jego ton wskazywał, iż nie wątpił, że dziewczyna w końcu ulegnie jego wdziękom.

- Nie lubię starych skarpetek - wymknęło jej się.

- Mówiłaś coś, kochanie?

Potrząsnęła głową. Jeśli jeszcze raz powie do niej „kochanie”, ucieknie od niego z krzykiem.

- Muszę teraz zająć się lunchem - powiedziała z nadzieją, że on nie uzna tego za zaproszenie.

- Hmm - zamruczał i znowu zajął się obserwacją ptaków.

Był tym tak pochłonięty, że zdecydowała się uciec bez pożegnania. Zaczęła się cichutko wycofywać i po chwili znalazła się na schodach do pensjonatu. Wbiegła po nich, po czym szybko zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na wieszak.

- Chyba go uduszę - mruknęła.

Popatrzyła jeszcze na swoje buty i stwierdziła, że zapomniała je ostukać ze śniegu. Nie chciała jednak wychodzić na dwór, więc poszła do kuchni i strząsnęła śnieg do zlewu. Zajrzała do garnka z rosółem, który właśnie gotowała, i pomieszała go nieco zbyt energicznie.

- Uduszę go własnymi rękami.

Nic dziwnego, że Stu nie przyszedł dziś na nabożeństwo. Z pewnością nie pracował w warsztacie, jak twierdził Wendell, tylko ukrył się gdzieś na swojej farmie, bojąc się jej gniewu. Wiedział, że siostra wpadnie w furję, kiedy dowie się o tym, co o niej naopowiadał.

- Najlepiej będzie, jeśli zdzielisz go po głowie tą drewnianą łyżką. To byłaby odpowiednia kara za to, co zrobił.

Odwróciła się i popatrzyła ze zdziwieniem na przybysza. Kawałki selera i marchewki spadły jej z łyżki na podłogę.

- Wood? - zdziwiła się. - Wcale cię nie słyszałam. Podniósł do góry gazetę, którą trzymał w dłoni.

- Zajrzałem po kawę - wyjaśnił. - Kogo chcesz zamordować?

Popatrzyła na jego długie palce i przypomniała sobie, jak gładził jej dłoń.

-Wendela - odparła. - I Stu. A właściwie to przede wszystkim brata - poprawiła się. - To on znowu napuścił na mnie tego natręta. Tym razem z lornetką.

- Co? Podglądał cię? - zdziwił się Dane.

Hadley popatrzyła na niego ponuro. To nie był wcale temat do żartów.

- Nie, Stu powiedział mu wczoraj, że lubię obserwować ptaki, więc Pierce kupił jakąś wyjątkowo dobrą lornetkę. Nie ukrywał, że musiał pojechać po nią specjalnie do Billings. I że zrobił to tylko dla mnie. Pomijam już to, że zupełnie nic nie widzę przez tę cholerną lornetkę.

- A lubisz obserwować ptaki?

- Ja? To on uwielbia to robić. Wypatrzył jakiegoś bisku-

pa czy innego kardynała i nawet nie zauważył, że odeszłam. Ciągłe mi powtarza, że doskonale do siebie pasujemy. Jak stare skarpetki! Nie chcę być starą skarpetką!

Dane nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Wolalabyś być nową? - zapytał przekornie.

Pogroziła mu drewnianą łyżką.

- Może rzeczywiście dam mu nią po łbie, ale najpierw wypróbuję ją na tobie - powiedziała z przewrotnym uśmiechem. - Nie lubię, jak się ze mnie nabijasz. To nie jest temat do żartów. Ten facet chce się ze mną żenić!

- Więc może powiesz jemu i swoim braciom, że nie masz na to ochoty - rzucił lekkim tonem.

- Myślisz, że to do nich dotrze? Mówiłam to już setki razy, ale ich zdaniem kobiety nie wiedzą, czego chcą. I muszą się przez jakiś czas opierać, zanim powiedzą sakramentalne „tak”. Stu doradził Wendellowi cierpliwość, więc ten jest cierpliwy. Aż za bardzo, jak na mój gust. Oczywiście, wszyscy wiedzą lepiej, co jest dla mnie dobre.

Hadley skończyła swoją tyradę i wciągnęła głęboko powietrze. Poczula się głupio, stojąc tak z łyżką na środku kuchni.

- A tak, chciałeś kawy - rzuciła i sięgnęła po stojący w ekspresie dzbanek. Widziała się z Woodem wcześniej, przed wyjściem do kościoła, i wmawiała sobie, że za nim nie tęskni. - Proszę. - Podała mu parujący kubek. Wiedziała już, że jej nie słodzi i nie dodaje mleka. - Obawiam się, że za chwilę przyjdzie tu mój adorator. I będzie do mnie mówił „kochanie”, przekonany, że któregoś dnia zdobędzie swoją starą skarpetkę. No bo czemu nie? Przecież nie chodzę z nikim innym. - Z przerażeniem stwierdziła, że znowu się rozgadała, choć wydawało się jej, że zdołała powstrzymać potok słów.

- Zresztą w miasteczku prawie nie ma niezonatych, normalnych facetów. Ci, co zostali, są naprawdę beznadziejni. Mógłbyś mnie przynajmniej pocałować albo coś w tym rodzaju, gdyby się tu pojawił... – Urwała nagle, zaskoczona swoją propozycją.

Była tak zażenowana nierozważną wypowiedzią, że nie odważyła się nawet spojrzeć na niego.

- Wiem, że nie powinnam cię o nic prosić, Wood - dodała po chwili, kiedy udało jej się przełknąć ślinę. - Ale na pewno mnie za niego wydadzą, jeśli nic nie zrobię. I nawet pastor nie będzie chciał słuchać moich protestów. - Przycisnęła dłoń do piersi. - Zresztą ojciec też jest przekonany, że powinnam wyjść za mąż. I tak się właśnie skończy moje życie. Utknę tu na dobre - zakończyła ze smutkiem.

- Usiądź i chwilę odpocznij - powiedział Dane, a następnie pchnął ją delikatnie w stronę krzesła. - Mówiłaś, że ten pensjonat prowadziła twoja matka. Myślałem, że chciałaś się nim zająć.

Hadley zacisnęła dłonie tak mocno, że aż zbiały jej knykcie. Mężczyzna przykucnął przy niej i spojrzał jej w twarz, kładąc przy tym dłonie na jej kolanach. Powinna się poczuć osaczona, tak jak przy Wendellu, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Tak, tak, oczywiście - rzuciła. Jak mogłaby temu zaprzeczyć? Przecież ten pensjonat był marzeniem jej matki. To i ślub z Beau Golightlym, który był jedynym ojcem, jakiego dziewczyna знаła. - Chodzi o to... Sama nie wiem, co mówię. Jestem zdesperowana. Sam widzisz... Może wybierzemy się jednak do Tipped Barrel - dodała po chwili. - Wiem, że ostatnio nam nie wyszło, ale może tym razem pójdzie lepiej.

Wcale nie będziesz musiał udawać, że się mną interesujesz.

- Poczula się nagle bardzo upokorzona. Wiedziała, że nie powinna tego wszystkiego mówić. - Będziesz mógł zagrać w bilard tak jak wczoraj, więc nie będziesz się nudził!

Dane odetchnął głęboko.

- Wcale się z tobą nie nudzę, Hadley.

Zaśmiała się, chociaż tak naprawdę chciało jej się płakać.

- Wiem, że jestem nudna - szepnęła i pociągnęła nosem.

- Właśnie dlatego Pierce uważa, że do siebie pasujemy. Bo on też jest nudny. Jak flaki z olejem. Stara skarpetka - rzucała bez związku.

Nagle zrobiło jej się potwornie głupio. Pomyślała, że przed chwilą poprosiła go, żeby ją pocałował. Faceta, który był dla niej tak miły, że nie chciał pieniędzy z jej ubezpieczenia. Niestety, wyglądało na to, że zainteresował się już jakąś inną kobietą. Prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwiła.

Jednak najbardziej wstydziła się tego, iż po prostu pragnęła go pocałować. Nie miało to wcale związku z Wendellem, chociaż udawała, że jest inaczej.

- Po pierwsze, musisz się trzymać z daleka od Tipped Barrel - stwierdził stanowczo. - To nie jest miejsce dla ciebie. Żałuję, że w ogóle zaproponowałem, żebyśmy się tam wybrali. A po drugie, przestań się przejmować. Przecież nikt cię nie zmusi do małżeństwa.

Odepchnęła jego rękę i wstała. Obciągnęła jeszcze beżowy sweter, który założyła do beżowej spódnicy, i popatrzyła gdzieś w bok.

- Łatwo ci mówić. Pewnie przez całe życie robiłeś to, co chciałeś.

Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Zapewniam cię, że się mylisz - odrzekł cicho.

Mina Wooda wskazywała, że mówi prawdę. Przypomniała sobie jego słowa dotyczące wyścigów i zrobiło jej się przykro, że skupiła się na swoich problemach. No tak, przecież wszyscy mieli jakieś obowiązki. Trudno było od nich uciec.

Postanowiła zmienić temat.

- A jak dzisiaj twoja głowa?

- Nareszcie ból trochę odpuścił - powiedział i wyciągnął rękę w obronnym geście. - Tylko nie zacznij mnie znowu przepraszać.

Popatrzyła raz jeszcze na jego dłoń i pomyślała, że w niczym nie przypomina ręki Wendella. Pierce miał krótkie palce i duże dłonie, mówił, że od ciężkiej pracy, a jednak widziała w warsztacie, że Wood też potrafi pracować. Mimo to jego dłonie były smukłe, o długich palcach. Prawdziwe marzenie każdej kobiety...

Chyba jednak powinnam przestać marzyć - pomyślała nagle. - Mam przecież do czynienia z twardą rzeczywistością.

- Bardzo się cieszę - rzuciła. - Zostaniesz na lunch?

Drzwi od ogrodu otworzyły się i do kuchni wpakował się bezceremonialnie jej „narzeczony” z lornetką wiszącą na chudej szyi. Miał na sobie ciepłą puchową kurtkę i szalik w kratę. Hadley poczuła, że ma nerwy napięte jak postronki, kiedy spojrział na jej gościa, jakby chciał zapytać: a ten co tutaj robi?

Zresztą obecność nieznanego w jej domu nie powinna go dziwić. Prowadziła pensjonat i wszyscy wiedzieli, że u niej w kuchni zawsze jest świeża kawa.

Pierce podszedł do niej i pocałował ją głośno w policzek.

- To na razie, kochanie - rzucił.

Zazgrzytała zębami, ale nie ruszyła się z miejsca. Wciąż trzymała łyżkę, choć nie zrobiła z niej użytku, tak jak zalecał jej Wood. Nawet kiedy dobiegł do niej odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi frontowych, nie zareagowała, obawiając się, że zaraz zaczną krzyczeć.

-Hadley?

Zamknęła na chwilę oczy, modląc się o cierpliwość. Nie miała zamiaru być niczyją starą skarpetką.

- Tak, Wood?

- Chyba wygotowuje ci się zupa.

Otworzyła oczy i skoczyła do kuchenki. Szybko wyłączyła palnik. Rzeczywiście, część rosółu zdołała już wyparować. Zupełnie o nim zapomniała. Zajrzała do garnka. Czy starczy teraz dla wszystkich gości? W razie czego mogła dolać trochę wody, chociaż nie było to najlepsze rozwiązanie. Wszyscy chwalili jej zupy i nie chciała, by to się zmieniło.

- Do licha - mruknęła i jeszcze raz zajrzała do garnka. - Chyba nie zabraknie.

Wlała rosół do wazy i z ulgą stwierdziła, że naczynie jest prawie pełne. Odstawiła garnek do zlewu i przetarła kuchenkę. Dopiero potem chciała wziąć zupę, ale Wood ją uprzedził.

- Ja ją zaniosę - powiedział.

Uprzejmy. Jak zwykle uprzejmy. Wcale jednak nie nastawiło jej do niego pozytywnie. Wręcz przeciwnie, była poirytowana i chętnie by w niego czymś rzuciła. Wzięła inne rzeczy, które przygotowała, i zaniosiła do jadalni. Ustawiła je na stole i zadzwoniła na lunch.

Spełniwszy obowiązek wobec gości, założyła kurtkę oraz ciepłe buty i wyszła tylnym wyjściem. Złość wcale jej nie miała. Kiedy dotarła do warsztatu brata, była wprost wściekła.

Jej furgonetka stała na parkingu z zamkniętą maską. Hadley skierowała się do biura, gdy nagle zobaczyła trójkę dzieci Evie bawiących się w śniegu przy warsztacie. W jednej chwili zapomniała o tym, że jest zła na Stu, i ruszyła do siostrzeńców. Nie widziała ich dziś rano w kościele, ale wcale jej to nie zdziwiło. Ku rozczarowaniu ojca, Charlie nie należał do szczególnie religijnych osób.

- Cześć, dzieciaki - rzuciła. - Co słyhać? Jak twoja ręka?  
- zwróciła się do najstarszego, dziesięcioletniego Alana.

Chłopak pokręcił głową i zrobił pełną żalu minę. Złamał rękę tuż przed świętami, kiedy grał ze starszymi chłopcami w piłkę.

- Strasznie mnie swędzi pod gipsem - poskarżył się.  
Skinęła ze współczuciem głową.

- Możesz spróbować wsunąć tam jakiś cienki patyczek, żeby się nim podrapać.

Alan się rozpromienił. Najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy. Pozostała dwójka, ośmioletnia Julie i sześcioletni Trevor, bawiła się, kopiąc w śniegu plastikowymi kubkami.

- Mama jest w domu? - spytała.

- Tak - odparł najstarszy, grzebiąc butem w śniegu. - Chce nas zostawić u wujka i pojechać do Billings.

- Ja też chcę jechać do Billings - jęknęła Julie.

- A ja chcę do cioci Hadley - powiedział Trevor i uśmiechnął się do niej rozbrajająco. Stracił ostatnio dwa zęby, co tylko dodawało mu uroku.



- Ostatnio, jak tam byliśmy, rozbiłeś okno - zauważyła Julie. - Nie pamiętasz?

- To jeszcze nic - dodał Alan. - Kiedyś rozwaliliśmy tam krzesło. W drobny mak.

Zdażyła już zapomnieć o psotach dzieci.

- A co takiego wyjątkowego jest w Billings? - spytała małą.

- Chciałabym nową sukienkę.

Julie zawsze chciała nową sukienkę. Z całą pewnością była bardzo dziewczęca i dbała o swój wygląd. Nie tak jak niektóre z jej koleżanek, które wołały grać w piłkę i łączyć z chłopakami po drzewach.

- A w Lucius nie ma żadnych sukienek?

Dziewczynka westchnęła.

- Już wszystkie widziałam - wyznała.

- Aa, to rzeczywiście problem. - Hadley odwróciła się, słysząc skrzypienie drzwi do biura i zobaczyła w nich swoją siostrę. - Cześć - przywitała się.

Evie zatrzymała się i spojrzała na nią. Nie spodziewała się tego spotkania. Skinęła tylko głową i zwróciła się do dzieci:

- Wujek Stu nie może się wami zająć.

- Więc pojedziemy z tobą! - zawołała uradowana Julie, ale jej matka nie wyglądała na uszczęśliwioną tym pomysłem.

- Mogą zostać u mnie, jeśli chcesz - zadeklarowała Hadley.

Wcześniej zdarzało się, że Evie prosiła ją, by zaopiekowała się dziećmi, kiedy sama musiała pojechać do Billings.

- Niech będzie - odrzekła i zaczęła żegnać się ze swymi pociechami. - Charlie pojechał do pracy do Miles City. Muszę odebrać jego ojca z lotniska, co zajmie mi tro-

chę czasu. Dlatego to on musi odebrać dzieci i dać im kolację - wyjaśniła, po czym podeszła pospiesznie do swego wozu stojącego obok furgonetki.

- Jedź ostrożnie - powiedziała na pożegnanie jej siostra.

Evie machnęła ręką, ale się nie obejrzała. Ciotka spojrzała na malców. Przynajmniej wiedziała, dlaczego ich matka musiała pojechać do miasta.

- Dobrze. Do kolacji jeszcze daleko, ale powiedzcie, czy jedliście lunch?

Pokręcili głowami.

- Mama powiedziała, że wujek Stu zabierze nas do Luscious - rzucił prowokacyjnie Alan.

Uśmiechnęła się lekko.

- Niestety, nie mam na to czasu. Dostaniecie lunch w pensjonacie, a potem pomożecie mi przy pieczeniu ciasteczek, dobrze? Poza tym Ivan ma zabrać na kulig jedną panią z pensjonatu, więc będziecie mogli pójść popatrzeć.

Julie rozchmurzyła się trochę, słysząc te słowa. Trev zawsze lubił przychodzić do Tiffa, chociaż było z nim mnóstwo kłopotów. Nawet Alan wyglądał na zainteresowanego, mimo że ostatnio często udawał obojętność.

Hadley zajrzała jeszcze na chwilę do biura.

- Zabieram dzieciaki do siebie - rzuciła, zapominając już, po co tak naprawdę tu przyszła. - Dlaczego ojciec Charliego przyjeżdża z wizytą?

Stu wzruszył ramionami, nie przerywając rozpakowywania przesyłek z częściami samochodowymi, które miał przed sobą.

- Licho wie - mruknął. - Mam teraz trochę roboty, a po-

tern umówiłem się z facetem, od którego chcę kupić auto. Nie mogłem zająć się dziećmi. Mogła mnie wcześniej uprzedzić, że będzie potrzebowała pomocy.

- A jak tam samochód Wooda?

Brat wreszcie raczył na nią spojrzeć.

- Wszystko idzie bardzo powoli. Trudno mi znaleźć oryginalne części, a Tolliver nalegał, żeby kupować tylko takie. Mam z nim kłopot, ale muszę przyznać, że zna się na samochodach. Słyszałem, że byliście z Wendellem razem w kościele...

- Tylko nie zaczynaj, Stu. - Poczula, że znowu wzbiera w niej gniew. - Pamiętaj, że nie robisz nic r a z e m z nim.

- Daj spokój. Świetnie do siebie pasujecie. Na pewno potrafi się tobą zaopiekować. To dobry facet i nie będziesz miała z nim problemów, takich jak ma Evie.

Zapewne miał rację, ale nie o to jej w tej chwili chodziło. Pierce po prostu jej nie interesował. Nie wyobrażała sobie, by mogła z nim spędzić resztę życia.

- Dlaczego tak bardzo zależy wam, żeby mnie za niego wydać? - spytała.

Stu ułożył kilka kolejnych części na półkach, z trudem znajdując dla nich miejsce wśród innych rzeczy.

- Może po prostu chcemy, żebyś była szczęśliwa, Hadley. I nie uciekała stąd, jak w zeszłym roku latem.

- Nie uciekałam z Lucius. Po prostu pojechałam na kurs!

- Kurs! - powtórzył z niechęcią. - Kurs twórczego pisania. Jakbyś miała zostać pisarką albo kimś takim. Szukać gdzieś daleko pieniędzy i sławy.

- Nie planuję ucieczki z Lucius, Stu - powiedziała, po-

wstrzymując rosnącą irytację. - Na pewno nie zrobię tego, co wasza matka. - Evelyn, pierwsza żona Beau, uciekła z miasteczka, zostawiając go z trójką dzieci. I właśnie wtedy przyjechała tu Holly. - Nawet jeśli będę musiała bez przerwy opędzać się przed Wendellem.

- Powinnaś wyjść za mąż i urodzić dzieci - orzekł.

- Przecież ty masz już trzydzieści pięć lat, a wcale nie jesteś żonaty - stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy. - Prze stań się mieszać do moich spraw, bo pożałujesz.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- No wiesz, już się przestraszyłem.

Obróciła się na pięcie i wyszła z biura. Na koniec trzasnęła jeszcze drzwiami tak mocno, że zadzwoniły wszystkie okna. Znowu była wściekła na brata.

- No chodźcie - zawołała do dzieci. - Ruszamy.

- Hadley, zaczekaj! - Stu pospieszył za nią. - Twoja furgonetka jest już gotowa. Przynajmniej do następnego razu.

Rzucił jej kluczyki, które złapała w powietrzu.

- Dzięki.

Powiedziała dzieciom Evie, żeby usiadły z tyłu. Pomyślała, że nareszcie odzyskała środek transportu i nie będzie musiała nosić ciężkich zakupów.

Po chwili znaleźli się przed pensjonatem. Gospodyni sprawdziła w jadalni, czy coś zostało z lunchu, a potem przyniosła to do kuchni dzieciakom, które wszystko zjadły. Skinęła tylko głową z aprobatą i zabrała się do przygotowywania ciasteczek. Chciała upiec więcej niż zwykle, wiedząc, że na pewno znajdą się na nie amatorzy.

Przed przystąpieniem do pracy poszła przebrać się

w dzinsy i koszulkę. Kiedy wróciła do kuchni, usłyszała telefon. Odebrała go jak zwykle. Kobięcy głos, jakby wprost z sekstelefonu, zapytał o pana Wooda Tollivera.

Oczywiście nie wiedziała nic o sekstelefonie. Tak to sobie tylko wyobrażała.

- Czy może pani chwilę zaczekać? - spytała. - Sprawdzę, czy jest u siebie.

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

Hadley wzięła telefon bezprzewodowy ze sobą i po chwili zapukała do drzwi Wooda. Gdy otworzył, wyglądał na bardzo zajętego. Zauważyła też papiery rozłożone zarówno na łóżku, jak i na podłodze. Znowu zaczęła się zastanawiać, czym tak naprawdę się zajmuje. Powiedział jej tylko, że prowadzi firmę, ale nie miała przecież pojęcia, co tak naprawdę robi.

- Telefon do ciebie - oznajmiła.

Popatrzył na słuchawkę tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Kto dzwoni?

- Nie wiem, nie przedstawiła się - odparła. - Wiem tylko, że to kobieta. Może ta, z którą widziałeś się wczoraj wieczorem.

Wepchnęła mu słuchawkę do ręki. Niestety, nie odeszła dostatecznie szybko, by nie usłyszeć pierwszych wypowiedzianych przez niego słów.

- Ach, to ty. Cześć, kochanie.

- No jasne - mruknęła do siebie.

Faceci tacy jak Tolliver mieli dziewczyn na pęczki. Oszukiwała się tylko, myśląc, że jest inaczej. To prawda, że ją pocałował, ale przecież należała do tych kobiet, którymi interesują się wyłącznie mężczyźni pokroju Wendella Piercea.

## Rozdział 7

- Przyjechały sanie - oznajmiła Hadley, wskazując zaprzęg, który czekał przed pensjonatem.

Niki Day popatrzyła na niego wielkimi oczami.

- Nie sądziłam, że będzie aż taki... - Urwała i wykonała zamaszysty gest ręką.

Alan, Trev i Julie uwijali się wokół sań, a ich ciotka pomyślała, że w przyszłości będzie musiała im też zorganizować kulig.

- Prawda, że są wspaniałe? - zapytała, oczekując potwierdzenia. - Za każdym razem, kiedy je widzę, dreszcz przebiega mi po plecach. - Bogato zdobione, niebieskie sanie miały lśniące płozy i wygodne, pluszowe siedzenia, na których leżały narzuty ze złotymi frędzlami, żeby można się było przykryć w czasie jazdy. - A Ivan zadba o to, żeby konie nie biegly zbyt szybko, prawda? - zwróciła się do woźnicy.

Starszy mężczyzna, stojący obok pary pięknych kasztanków, uderzył palcami w rondo swojego kapelusza i szeroko się uśmiechnął.

- Na pewno o panią zadbam - zapewnił swą pasażerkę. -  
Od dziecka zajmuję się zarządzaniem kuligów i letnich prze-  
jażdżek.

Nikki uśmiechnęła się, ale Hadley odniosła wrażenie,  
że zrobiła to przez uprzejmość. Wyglądała też dosyć blado,  
choć może wynikało to z faktu, że miała na sobie ciemno-  
brązowy strój.

- Dziękuję - odrzekła.

Oparła się na ramieniu Ivana i wsiadła do sań, po czym  
przykryła sobie nogi narzutą. Dzieci, przywołane przez ciot-  
kę, niechętnie oddaliły się od zaprzęgu. Woźnica zaś usiadł  
na koźle, chwycił lejce i strzelił z bata. Konie ruszyły przed  
siebie, dzwoniąc dzwoneczkami. Jechali w stronę pól i oka-  
lających je drzew.

- Jak ładnie - zachwyciła się mała Julie, która miała ma-  
rzycielską naturę.

Hadley rozpostarła ramiona i zgarnęła gromadkę do cie-  
płego wnętrza pensjonatu.

- Umyjcie ręce, zanim zajmiecie się ciasteczkami - powie-  
działa, gdy znaleźli się w kuchni.

- Po co ci ich aż tyle? - zapytał po raz kolejny Alan. Nie  
wystarczyła mu udzielona już przedtem przez ciotkę odpo-  
wiedź, że po prostu ma ochotę je upiec. Nie mogła mu prze-  
cież powiedzieć, że przygotowuje ciasteczka na przyjęcie  
urodzinowe jego matki. Wtedy nie byłoby niespodzianki.

- Upiekę je dla waszego dziadka - skłamała z nadzieją, że  
nie popełnia aż tak wielkiego grzechu. Doskonale wiedziała,  
że Evie uwielbia jej wypieki.

Na szczęście to wyjaśnienie zadowoliło Alana, który wraz

z rodzeństwem siedział przy stole i ozdabiał nieupieczone jeszcze ciasteczka spożywczymi farbami.

- Ta dziewczyna jakoś marnie wygląda - powiedziała pani Ardelle, wskazując za okno na jadące sanie. - Moim zdaniem ma jakieś problemy.

- Wydaje się bardzo samotna - dodała siedząca z nimi przy stole Joanie. - I wiem, że nie jest mężatką, bo ją o to zapytałam. - Wzięła kolejne ciasteczko i ugryzła połowę.

- Miałś je lukrować, a nie zjadać - zauważyła ze śmiechem starsza pani.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Przecież dzieci też jadły.

Hadley zdołała ciastka kokardkami z niebieskiego lukru, by wyglądały jak urodzinowe prezenty.

- Idę dzisiaj do Tipped Barrel - powiedziała.

Jej oświadczenie zostało przyjęte w ciszy. Pani Ardelle odezwała się dopiero po chwili.

- Wydawało mi się, że w niedzielę bar jest nieczynny.

- Co? A tak. Więc jutro... - zająknęła się gospodyni.

- Tylko po co? - spytała Joanie, patrząc na nią z bezbrzeżnym zdziwieniem. - Szeryf dostanie zawału, jak się dowie.

- Wszystko mi jedno - odrzekła Hadley. I rzeczywiście, nie dbała o to, co powiedzą Shane, Stu, Evie, Beau czy Wood. Próbowwała pisać książki o kobietach, które radzą sobie w życiu, a przecież sama była zupełnie niedoświadczona i kompletnie bezbronna w miejscach takich jak Tipped Barrel. - Nic się nie zmieni w moim życiu, jeśli wszyscy uznają mnie za starą nudziarę. Muszę coś zrobić, udowodnić, że stać mnie na odrobinę szaleństwa.



Popatrzyła na siedzące z nią przy stole kobiety i stwierdziła, że obie mają podobne miny.

- No cóż, może mogłabym ci w tym pomóc - odezwała się po chwili młodsza z nich. - Pracowałam kiedyś w salonie fryzjerskim. Chyba umiałabym cię trochę inaczej uczesać. Wiesz, bardziej seksownie.

- Co jest nie w porządku z moją fryzurą? - spytała Hadley. Wiedziała, że Joanie była tam recepcjonistką, a nie fryzjerką.

- Nic, nic. - Starsza pani machnęła ręką. - Ale czy nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś się inaczej uczesać? Masz bardzo ładną fryzurę, ale... cóż...

- Nudną?

- Nie, miłą - rzekła tamta z przekonaniem. - I w ogóle miła z ciebie dziewczyna. Nie jestem jednak pewna, czy bywanie w Tipped Barrel wystarczająco zniechęci pana Piercea.

- Wiedziałam, że muszę coś zrobić. Moi bracia ciągle mi pomagają, więc Wendell musi sam się przekonać, że nie jestem najlepszą kandydatką na żonę.

Nagle kobiety usłyszały, że ktoś głośno otworzył drzwi wejściowe, a po chwili w kuchni pojawił się przestraszony Ivan.

- Dzwoncie po karetkę! - rzucił.

Hadley spojrzała na niego z przerażeniem. Na chwilę dosłownie ją zamurowało. Za to pani Ardelle była bardziej przytomna i chwyciła za słuchawkę.

Gospodyni ruszyła za woźnicą do wyjścia.

- Co się stało? - spytała.

Zaczęli schodzić po schodach.

- Ta kobieta... po prostu zemdląa. Podwiozłem ją nad strumień, bo widziałem tam wcześniej jelenie i myślałem, że jej się spodobają. A kiedy spojrziałem do tyłu, ona po prostu leżała tam bez czucia. - Wskazał stojące obok pensjonatu sanie. Nawet konie podrzucały głowami i wyglądały na zdenerwowane.

Dziewczyna podbiegła do sań i zajrzała do wnętrza. Nikki miała zimną twarz i zamknięte oczy. Oddychała, ale rzeczywiście była nieprzytomna.

- Może powinniśmy ją przenieść do domu - podpowiedział Ivan.

- Sama nie wiem. Jeśli coś stało się dziecku, może dostać krwotoku.

Chociaż trochę się tego bała, Hadley uniosła przykrycie. Wyglądało jednak na to, że wszystko jest w porządku. To mogły być tylko pozory. Znowu przykryła zemdloną i odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała sygnał karetki. Po chwili ją zobaczyli. Nadjechała szybko i natychmiast wyskoczył z niej Palmer ze swoją torbą. Podeszedł do sań i zaczął badać panią Day. W tym czasie Ivan starał się uspokoić swoje kasztanki.

- Hadley, podaj mi nosze! - krzyknął ratownik. Dopiero teraz poczuła, że jest jej zimno, i zaczęła drzeć jak liść. Mimo to otworzyła tylne drzwi karetki i pociągnęła za nosze. Nie poruszyły się jednak, więc spróbowała mocniej.

- Zaczekaj. - Zobaczyła obok siebie Wooda, który sięgnął do wnętrza i odpiął pasek mocujący nosze. No jasne, dlaczego o tym nie pomyślała?

Mężczyzna wyjął nosze z karetki i po samoczynnym wy-

sunięciu się kółek, pchnął je w kierunku sań z nieprzytomną kobietą.

- Dziękuję - powiedział Palmer. - Noah musiał pojechać do wypadku, więc zostałem sam. - Umieścili obaj Nikki na noszach. - W szpitalu będą potrzebowali jej danych personalnych.

- Tak, oczywiście. - Hadley pobiegła do pensjonatu i już po chwili była w pokoju mieszczącym się w wieży. Rozejrzała się i dostrzegła torebkę pani Day. Sprawdziła - portfel znajdował się w środku. Chwyciła ją zatem i zbiegła na dół. Ratownik siedział już za kierownicą i czekał na nią. Rzuciła mu torebkę przez okno. Po chwili karetka odjechała na sygnale.

- O Boże, nie powinnam była pozwolić, żeby jechała na ten kulig - powiedziała z westchnieniem Hadley. - Miałam wrażenie, że jest błada i... i... taka niepewna. Powinnam ją była zatrzymać.

- Przestań i chodź do środka - rzekł Wood - bo zaraz trzeba będzie wzywać karetkę do ciebie. Odmrożenia to pa-skudna sprawa.

Nawet się nie uśmiechnęła. Pozwoliła się zaprowadzić do domu, wciąż przeżywając to, co się stało.

- Nigdy nie mieliśmy tu takiego wypadku. Ludzie nie jeżdżą na wakacje, żeby nagle mdleć.

- Cii. Odpocznij trochę. - Posadził ją na stojącym w holu krześle.

- Co ci się stało, ciociu? - Trevor wyjrzał zza pleców mężczyzny. - I dlaczego była tutaj karetka?

Wyprostowała się nieco, odzyskując równowagę.

- Nic mi nie jest, karetka zabrała panią, która tu mieszka. To na pewno nic poważnego.

- A to kto? - Chłopiec wskazał na Dane'a.

- Mówi się „ten pan”, Trev - pouczyła go. - Nazywa się Wood Tolliver i też jest jednym z gości pensjonatu. Wood, to jest Trevor , a tam dalej... - Spojrzała w stronę drzwi do kuchni. - Tam stoją Julie i Alan.

Obejrzał się i skinął głową.

- Miłe dzieciaki.

- Tak. No, wracajcie do kuchni - zwróciła się do siostrzeńców. - Pomóżcie pani Ardelle przy ciasteczkach. To już ostatnia porcja.

Starsza pani wyjrzała przez otwarte drzwi, skinęła dyskretnie głową i zaprosiła dzieci do środka. Jak tylko zniknęły, Hadley pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Powinnam pojechać do szpitala - powiedziała. - Trzeba zadzwonić do jej rodziny, przyjaciół...

- Przecież musiała ci zostawić jakiś telefon i adres, kiedy rezerwowała pokój - zauważył Wood.

- A tak. Oczywiście. - Znowu się wyprostowała i odgarnęła włosy z twarzy. - Mam telefon do jej domu i do pracy.

Poszła na górę do niewielkiego biura i zaczęła przesuwać segregator z papierami. Znalazła dwa numery telefonów podane przez panią Day. A ponieważ nie wiedziała, kogo Nikki chciałaby zawiadomić o całym zdarzeniu, zapisała oba, żeby wziąć je ze sobą do szpitala. Zresztą pacjentka sama mogła poprosić pracowników szpitala, by zadzwonili do kogoś w jej imieniu.

Dane czekał przy drzwiach i trzymał w dłoniach ciepłą kurtkę Hadley. Włożyła ją i nie patrząc na niego, ruszyła do drzwi. Kiedy poszedł za nią, zerknęła na niego ze zdziwieniem.

-Jadę z tobą - wyjaśnił.

Zacisnęła dłoń na kluczykach.

- Dlaczego? - spytała niepewnie.

Patrzył na dziewczynę przez chwilę. Właśnie: dlaczego chciał z nią jechać? Nie przepadał za szpitalami, zwłaszcza że spędził w nich ostatnio sporo czasu.

- Nie dlatego, żebym uważał, że nie potrafisz zająć się tą sprawą - odparł ostrożnie. - I co? Chcesz odbyć na ten temat dłuższą rozmowę czy możemy jechać?

Zawahała się, a potem skinęła głową. Wsiedli do jej furgonetki, którą prowadziła nadzwyczaj ostrożnie. Szpital znajdował się na wschodnich obrzeżach miasteczka i wyglądał bardziej nowocześnie niż reszta zabudowań Lucius.

Weszli do izby przyjęć, gdzie Hadley wyjaśniła dyspozytorce, o co im chodzi.

A potem czekali.

I czekali.

W końcu Dane nie mógł już wysiedzieć na plastikowym krześle w malutkiej poczekalni i wstał.

- Nic ci nie jest? - spytała. Powinna się wydawać blada w świetle jarzeniówek, a jednak jej cera miała naturalny kremowy odcień, a oczy nabrały jeszcze bardziej intensywnej brązowej barwy. - Wood?

- Mój ojciec jest w szpitalu - odparł gwałtownie.

Ściągnęła brwi, a nad jej noskiem pojawiła się pojedyn-  
cza zmarszczka.

- Och, bardzo mi przykro. Rozumiem, co musisz przeży-  
wać. Czy to poważne?

- Dosyć. Miał kilka zawałów w ciągu tygodnia.

- Dobry Boże! - Zakryła usta dłonią. - Bardzo cię prze-  
praszam za samochód. Na pewno chciałbyś być przy nim.

- Prawie cały czas jest nieprzytomny. - Wolał, żeby nie py-  
tała, dlaczego zostawił ojca w tak trudnej sytuacji. - Ale sio-  
stra mówiła, że trochę mu się polepszyło.

- To ona dzwoniła dziś do pensjonatu?

Skinął głową. Darby nie mogła dodzwonić się na jego ko-  
mórkę, ponieważ konferował z Laurą i dyrektorem, który za-  
rządzał częścią przedsiębiorstwa na zachodnim wybrzeżu.

- Darby - użył imienia, którego używali w rodzinie. Jed-  
nak wiele osób znało ją jako Debrę White Rutherford, ma-  
łą dziewczynkę, którą uprowadzono z zatłoczonej windy. To  
wydarzenie wstrząsnęło wówczas całym krajem.

Nikt nie pamiętał, że była wtedy ze starszym bratem. Da-  
ne odepchnął od siebie te ponure myśli. Doskonale wiedział,  
że naszły go z powodu wizyty w szpitalu. W takich miejscach  
najczęściej wpadał w zły nastrój.

- Cóż, więc powinieneś być zadowolony.

Skinął głową, chociaż wcale nie był tego pewny. Jeśli oj-  
ciec odzyska przytomność, zacznie się kłócić z lekarzami.

I z pewnością nie zgodzi się na operację.

- Tak, tak - powiedział mało przytomnie.

Dotknął palcami jej bluzki. Jak do tej pory była to naj-  
ładniejsza rzecz, w jakiej ją widział, ale też była o numer za

duża. Nie ulegało wątpliwości, że Hadley wyglądałaby najlepiej bez ubrania.

- Pewnie wolałbyś być przy ojcu - zauważyła, nieświadoma tego, co chodzi mu po głowie. - Wiesz, mógłbyś po prostu zostawić samochód Stu. Jemu naprawdę można zaufać.

- Trudno mi się dogadać z ojcem. - Roth powiedział, że nie chce go widzieć po tym, jak syn usiłował go namówić na by-passy. - Lepiej opowiedz o swoich siostrzeńcach. Ta trójka to już wszyscy?

Zdziwiła ją ta nagła zmiana tematu.

- Chyba wystarczy? Evie musiała pojechać dziś do Billings i potrzebowała kogoś, kto się nimi zajmie.

Chciał zapytać, dlaczego najstarszy chłopiec ma na imię Alan, ale właśnie w tym momencie wyszła do nich pielęgniarka. Panna Golightly skinęła głową, słysząc swoje nazwisko, a potem ruszyła za kobietą w białym fartuchu na oddział szpitalny.

Dane zamknął na chwilę oczy. Evie i Charlie mieli na nazwisko Beckett, nie Michaels. Trudno więc było podejrzewać; że mały Alan Beckett był jakoś związany z Alanem Michaelsem. Przecież to tylko imię.

Mimo to wyjął komórkę i wyszedł na parking, żeby zadzwonić. Pomyślał, że Mandy Manning mogłaby ustalić, czy jest między nimi jakiś związek. Pracowała dla jego firmy od ładnych paru lat i była naprawdę dobra w swoim fachu.

Kiedy wrócił do poczekalni, Hadley właśnie tam wchodziła. Była blada i zmartwiona.

- No i co?

- Coś się dzieje z jej ciążą - odparła nieswoim głosem. -

Doktor nie chciał mi za dużo powiedzieć. Wiem, że parę razy traciła przytomność, ale stan dziecka jest stabilny, jak się wyraził. - Włożyła kurtkę. - Nie chciałabym po prostu nagrywać się na jej sekretarkę. Jeśli ktoś z bliskich to odsłucha, bardzo się zaniepokoi. Odniosłam wrażenie, że jej narzeczonemu nie żyje. Zostawiłam tylko informację w miejscu jej pracy, żeby do mnie oddzwonili. Jutro poniedziałek, więc ktoś powinien to zrobić. A ja może jeszcze spróbuję dodzwonić się do niej do domu.

Wyszli ze szpitala i dziewczyna zatrzymała się gwałtownie.

- Do licha, spójrz na słońce! Nie wiedziałam, że jest tak późno. - Popatrzyła na niego z niepokojem. - Spóźnię się z kolacją.

- Jestem pewny, że w tej sytuacji nikt z gości nie będzie miał do ciebie o to pretensji - powiedział. Jego zdaniem mogliby sami przygotować sobie kolację albo też wybrać się do jakiegoś baru i dać jej spokój. - Jesteś dla nas zbyt uprzejma.

Zacisnęła usta i przewróciła oczami.

- Przecież jesteście moimi klientami.

-I dobrze na nas zarabiasz? - spytał drwiąco, doskonale pamiętając, że nie upomniała się jeszcze u niego o zapłatę. Zapewne mógłby sobie mieszkać w pensjonacie, a potem wyjechać, a ona nawet nie próbowałaby odzyskać swojej należności.

- No dobrze, może trochę przesadzam.

Dane rozejrzał się dookoła. W pobliżu stał duży supermarket, a dalej ciągnęła się już tylko pusta przestrzeń.



- Musisz wracać do pensjonatu? - zwrócił się do niej.

- Co? Dlaczego pytasz?

Wskazał na pole.

- Moglibyśmy poćwiczyć jazdę.

Oczy jej zalśniły, a na ustach pojawił się uśmiech.

- Naprawdę?

- Jasne.

Nagle jej radość wyparowała.

- Ale dzieci. Muszę.

- Zadzwoń i sprawdź, czy wszystko z nimi w porządku - poradził.

Wahała się przez chwilę, ale potem zaczęła szukać w torbie swojej komórki. Odbiła krótką rozmowę i schowała telefon.

- Pani Ardelle powiedziała, że siostra odebrała już dzieci.

A w dodatku, kiedy dowiedziała się, co się stało, przygotowała kolację dla gości.

- No widzisz.

Hadley pokręciła ze zdziwieniem głową.

- Evie ani razu dotąd nie pomogła mi w pensjonacie.

- A więc pora na zmiany - stwierdził. - Masz zatem trochę czasu. Wiem z doświadczenia, że trzeba go jak najlepiej wykorzystać.

- A ty zwykle nie masz czasu? - zdziwiła się.

To było śmieszne pytanie, lecz Danebwi wcale nie było do śmiechu.

- To co, chcesz się uczyć jeździć czy nie?

Uruchomiła samochód.

- Gdzie mam jechać? Na to pole?

- Nie, nie, pokażę ci drogę. Nawet najrówniejsze pole nie nadaje się do jazdy. Jedź przed siebie.

Skinęła głową i ruszyła za supermarket, do drogi wylotowej z Lucius.

- Tutaj skręcamy. - Dane wskazał jej wyboistą, gruntową drogę.

Skręciła posłusznie, ale pokręciła głową z dezaprobatą.

- Ciekawa jestem, jak mam się tutaj uczyć - mruknęła.

- O wy, małej wiary! - rzucił.

- A skąd mam wiedzieć, że nie wyprowadzasz mnie na manowce? - Rozejrzała się dookoła. - Moim zdaniem to są manowce.

- Tak ci się wydaje? - Wyciągnął rękę przed siebie.

Po chwili zobaczyła niewielkie wzniesienie terenu, do którego zdążali.

- No tak, stare lodowisko! - Przypomniała sobie. - Skąd wiedziałeś, że tu jest?

Mandy dobrze opisała mu drogę, kiedy zapytał, gdzie można by się pouczyć jazdy po śliskim terenie. Nie zamierzał wtedy jednak z tego skorzystać.

- Powiedział mi ktoś w barze - odparł. - No, szybciej. Za pół godziny będzie zupełnie ciemno.

Podjechała do opuszczonego lodowiska, a Dane wysiadł z samochodu i otworzył zardzewiałą bramę. Nawet gdyby była zamknięta na kłódkę, i tak by sobie z nią poradził, gdyż jedno skrzydło wisiało smętnie na pękniętym zawiasie. Natomiast samo lodowisko było gładkie, a drewniany dach chronił je przed nadmiarem śniegu.

Kiedy mężczyzna wrócił, zaproponował, żeby Hadley się

przesiadła i sam usiadł za kierownicą. Zapięli pasy, po czym wjechał na śliską powierzchnię i zrobił kółko po obwodzie lodowiska.

- Muszę przyznać, że Stu jest dobry w tym, co robi - stwierdził. - Ta stara furgonetka jeździ lepiej, niż się spodziewałem. W porządku, teraz ty. Spróbuj przejechać tę drogę co ja i zatrzymać się dokładnie na tej samej linii. Staraj się jechać po wewnętrznej stronie moich śladów.

Wzięła głęboki oddech.

- Ale chyba nie z taką prędkością. Nie żartowałeś z tymi wyścigami.

- To było wolna rundka - powiedział rozbawiony. - Jechałem tylko osiemdziesiątką. Nie ma się co podniecać.

- Tak, ale po lodowisku!

- Dawnym lodowisku - zauważył.

- Wciąż jest tu lód - odparła. - Jadę wolniej.

Dane skinął głową i spojrzał przed siebie.

- Widzisz ślady opon, prawda? Trzymaj się ich wewnętrznej strony. Możesz jechać tak szybko, jak ci się podoba.

Spróbowała to zrobić, ale nie było to wcale takie łatwe. Co rusz wjeżdżała na poprzedni tor, zwłaszcza przy zakrętach. Pokazał jej, jak powinna prowadzić i jak lepiej oceniać odległości.

- Jak długo jeździsz tym wozem? - spytał, kiedy wreszcie zatrzymała się na wskazanej linii.

Siedziała spięta na swoim miejscu i wciąż patrzyła przed siebie, jakby nadal znajdowali się w ruchu.

- Całą wieczność - odparła.

Okrążyli lodowisko powtórnie.

- No dobrze, jeszcze raz. Ale przestań się teraz tak bardzo skupiać na tym, co robisz, bo widzę, że strasznie cię to męczy. Zaufaj swojemu instynktowi.

Rozsiadła się więc w swoim fotelu i pilnowała, by nie ścisnąć zbyt mocno kierownicy.

- Czuję się zażenowana - bąknęła. - Powinnam umieć tak jeździć bez większego wysiłku.

Dane przykrył na moment jej dłoń swoją.

- Nie myśl o tym - powiedział spokojnie. - Nie myśl o niczym. Po prostu jeźdź.

- Nie wiem, czy potrafię...

Kiedy nie odpowiedział, rozluźniła palce i przejechała bez większych problemów całe kółko, a potem nacisnęła gaz i przyspieszyła. Po chwili pędzili po lodowisku, a jej taka jazda coraz bardziej się podobała. Przestała bać się każdego zakrętu i każdego ruchu kierownicą.

Potem Dane pokazał jej, jak hamować pulsacyjnie i jak zachowywać się w czasie poślizgu. Na koniec przejechała dookoła na wstecznym biegu, czego się zawsze bała, i mimo że było ciemno, doskonale sobie poradziła.

- Możemy kończyć - stwierdził wreszcie. - Zupełnie nieźle jak na początek.

- Uff, czuję się wyczerpana. - Westchnęła. - Która godzina? Ile czasu jeździłam?

Nie spojrzął na zegarek. Nie mógł oderwać oczu od jej zarumienionej twarzy.

- Wystarczająco długo - odparł. - W zasadzie wiesz, jak trzeba jeździć, i potrzebujesz tylko trochę więcej pewności siebie.

- Stu zawsze mi powtarza, że mam za dużą wyobraźnię i że powinnam skupić się na tym, co robię.

- Nie widzę nic złego w tym, że ktoś ma wyobraźnię. -  
Prawdę mówiąc, jego własna wyobraźnia płatała mu teraz figle. Siedział przecież w nocy w samochodzie z atrakcyjną kobietą, więc zaczął myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć.

- Hm, kto ci powiedział o tym lodowisku? Ja zupełnie o nim zapomniałam.

Wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci już, ktoś w Tipped Barrel. Po prostu spytałem o miejsce do nauki jazdy.

Hadley skinęła głową, a następnie zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w policzek.

- To była świetna lekcja. Dziękuję.

Nagle poczuła jego dłonie na talii i coś jakby prąd przebiegło przez jej ciało. Dane przez chwilę walczył ze sobą i wreszcie się cofnął.

Popatrzyła na niego z żalem.

- Wood - szepnęła i dotknęła jego policzka.

- Nie mów tak do mnie!

Czuł się jak najgorszy oszust.

- Dlaczego?

Do licha, powinien uważać na to, co mówi.

- Nieważne - odrzekł cicho.

Chciał, żeby używała jego prawdziwego imienia, ale w tej sytuacji było to niemożliwe. Jednocześnie wiedział, że dziewczyna nie znosi kłamców. Gdyby jednak powiedział jej, jak się nazywa, Alan Michaels, który prawdopodobnie ukrywał

się w Lucius, mógł się o tym dowiedzieć i uciec. Bóg jeden wie gdzie.

- Nie marszcz brwi - powiedziała. - Dlaczego jesteś taki zły? Martwisz się o ojca? Jeśli chodzi o pieniądze, to mogę...

- Nie, dzięki. - Do licha, chciała zaproponować mu pożyczkę. Była to wyjątkowa ironia losu, ale on nawet się nie uśmiechnął. - Nie potrzebuję pieniędzy i nie pojedę do ojca.

- Nie powinienes się na niego obrażać. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Przecież to twój ojciec.

- Woli umrzeć, niż zgodzić się na operację - mruknął. Dotknęła delikatnie jego dłoni.

- Może się boi - zasugerowała.

- Raczej lubi nad wszystkim panować i jest uparty jak osioł. - Naprawdę nie chciał rozmawiać o ojcu. Wolałby tulić ją mocno i trzymać długo, długo w objęciach. - Masz pewnie fajniejszego ojca. Jest pastorem, prawda?

- Beau jest naprawdę świetny - potwierdziła. - Kocham go jak rodzzonego ojca - dodała cicho.

- Tak? - Przysunął się bliżej. Ich usta znajdowały się teraz zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie.

Mężczyzna przybliżył jeszcze swoją twarz. Jej wargi były miękkie i słodkie.

Hadley objęła go i poczuł wyraźnie jej kobiece kształty. Usłyszał, jak szepnęła jego imię.

Imię Tollivera.

W tej chwili było mu już jednak wszystko jedno. Przyciągnął ją do siebie i pocałował mocniej. Jego dłonie błędziły w jej puszystych włosach. Jęknęła lekko, co dodatkowo go

podnieciło. Rozpiął szybko pasy bezpieczeństwa i przylgnął do niej. Pragnął, by ta chwila trwała jak najdłużej. Miał ją tuż przy sobie i to było wspaniałe uczucie. Przesunął dłoń niżej i włożył pod jej bluzkę.

Westchnęła. Obejmując go, czuła pod palcami jego grubego sweter.

- Dawno nie kochałem się w samochodzie - szepnął. - Mam przy sobie prezerwatywę, ale jest bardzo stara. Nie wiem, czy bylibyśmy zabezpieczeni.

- Ja też nie... - urwała i zarumieniła się.

Dotknął jej gładkiej piersi, ale mimo to natychmiast się odsunął.

- Wood?

Opadł na swoje siedzenie.

- Jesteś dziewczcą, prawda? - Nagle stało się to dla niego jasne. Mimo swoich dwudziestu siedmiu lat nigdy nie uprawiała seksu, ani w samochodzie, ani nigdzie indziej.

- To nie jest zaraźliwe - powiedziała, kiedy zmełł w ustach przekleństwo.

- Nie o to chodzi. - Poglaskał ją po głowie, chcąc trochę ochłonać.

- A o co? - zapytała żałośnie.

- Nie chcę cię wykorzystać, Hadley.

Dane powoli dochodził do siebie. O mały włos, a zrobiłby jedno z największych głupstw w swoim życiu.

- To bardzo ładnie z twojej strony - rzekła zduszonym głosem.

- Do licha, posłuchaj. - Nabrał powietrza w płuca. - Jesteś naprawdę miłą osobą. A ja... nie jestem taki, jak ci się wyda-

je. Rozumiesz? - zapytał, chociaż wiedział, że nie ma szans, by go zrozumiała.

Położyła dłonie na kierownicy.

- Nie usprawiedliwiał się. Wcale się nie obrażę, jeśli powiesz mi prawdę. - Urwała na chwilę. - Po prostu ci się nie podobam.

- Nie podobasz? - powtórzył, nie mogąc uwierzyć, że jest tak naiwna. Przecież musiała widzieć, jak on na nią patrzy. Nie mogła nie poczuć, jak bardzo jest przy niej podniecony. Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Zapewniam, że mi się podobasz i to bardziej, niż bym sobie tego życzył. Nie chcę jednak cię skrzywdzić.

Popatrzyła na niego z urazą, jakby właśnie to zrobił. Wcale mu nie wierzyła. Przez chwilę siedziała na swoim miejscu, a potem ruszyła w stronę miasteczka.

Gdyby wiedział, co jej w tej chwili powiedzieć, na pewno by to zrobił.

On jednak milczał.



## Rozdział 8

- Michaels od dwóch tygodni nie korzystał ze swojej karty kredytowej - powiedziała Mandy Manning, stawiając przed nim drinka. Musiała jeszcze obsłużyć innych klientów, a potem do niego wróciła. - Nie znalazłam też żadnych powiązań między nim a Evie i Charliem Beckettami. Ciągle szukam. Może Michaels wcale nie chciał przyjechać do Lucius?

Dane obracał szklaneczkę w dłoniach, patrząc na podniszczony kontuar. Po tym, co stało się wczoraj wieczorem, chciał jak najszybciej odszukać Alana. Dopiero wtedy będzie mógł zdobyć się na szczerłość wobec Hadley, a później... Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, co potem nastąpi, i stanowiło to nowość w jego uporządkowanym świecie.

Tak, tak, przede wszystkim Michaels. Przecież to z jego powodu przyjechał do Lucius. I był pewny, że porywacz tu jest albo że wkrótce tu dotrze.

- Jak to się stało, że ten świr w ogóle dostał kartę kredytową? - spytał.

Mandy wzruszyła ramionami. Rutherford pytał o to nie po raz pierwszy.

- W Lucius jest niewielu obcych - powiedziała cicho, sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje. - Jeśli lubi pić, pojawiłby się w Tipped Barrel, a z pewnością go tutaj nie było. Musiałby też zrobić jakieś zakupy, czy ja wiem... Moim zdaniem gdzieś się przyczaił. Licho wie, dlaczego tak bardzo interesował się tym miasteczkiem, kiedy był w domu wariatów. Pamiętaj, że to psychol, Dane.

- Ale na tyle sprytny, żeby wydostać się z więziennego szpitala - zauważył.

- Racja. Wariaci potrafią być bardzo przebiegli. Zwłaszcza ci, którzy łamią prawo. Powinieneś się cieszyć, że nie mógł sprawdzić, gdzie jest teraz Darby.

Oparła się o bar i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie mam nic przeciwko zarabianiu w ten sposób na życie - dodała, rozglądając się dookoła. - Ale powinieneś pomyśleć o rosnących kosztach.

- Nieważne. - Machnął ręką.

Nie martwił się ani o pieniądze, ani o siostrę. W tej chwili była pod opieką ochroniarzy ojca i nic nie mogło jej się stać. Poza tym Garrett, jej mąż, starał się jej wszędzie towarzyszyć.

Dane doskonale wiedział, że jego szwagier potrafi obronić swoją żonę. To on, jej brat, ponosił winę za to, co się kiedyś stało. Dlatego musiał teraz wyrównać rachunki z Michaelsem.

Mandy położyła dłoń na jego ręce.

- Są też inne koszty - przypomniała mu, a potem się wy-

prostowała i ponownie wzięła tacę. - Ostatnio kiepsko tutaj z napiwkami. - Uśmiechnęła się i poszła zebrać puste szklaneczki i przyjąć nowe zamówienia.

Rutherford poruszył się na swoim stołku i spojrzął na drinka, o którym zdążył już zapomnieć. Po chwili zaczął się rozglądać po wnętrzu baru. Przeważnie siedzieli w nim miejscowi, zwykle stali klienci, chociaż co rusz pojawiali się też jacyś nieznajomi. Był poniedziałek, a jednak tylko przy paru stolikach były wolne miejsca i to dlatego, że wiele osób tłoczyło się przy stołach bilardowych.

Alan Michaels często zaglądał na stronę internetową Tipped Barrel przed ucieczką z domu wariatów, jak mówiła o tym miejscu Mandy, chociaż tak naprawdę był to szpitalny oddział więzienia.

Dane wciąż liczył na to, że znajdzie coś, co łączyłoby Alana Michaela i Charliego Becketta. Dzięki pocście pantoflowej, która tak dobrze działała w Lucius, wiedział, że ojciec tego drugiego właśnie przyjechał do miasteczka. Nigdzie nie znalazł co prawda wiadomości, by Alan miał dzieci, ale dotarł do informacji, że był przez krótki czas żonaty, i to tuż przed porwaniem Darby. Mandy próbowała odnaleźć jego byłą żonę, Hannah, ale niestety bez powodzenia. Oczywiście był to strzał w ciemno, ale miał nadzieję, że być może ojciec Becketta to właśnie Alan Michaels.

Uniósł do ust szklaneczkę whisky i wypił dwa łyki.

Niemal się zakrztusił, kiedy zobaczył w drzwiach szczupłą brunetkę. Zaraz też zapomniał o Michaelsie i związanych z nim sprawach.

Zatrzymała się zaraz za drzwiami, jakby potrzebowała chwili, by się zebrać na odwagę, a potem odrzuciła głowę do tyłu i ruszyła przed siebie tak lekko, jakby przez całe życie chodziła w butach na wysokim obcasie. Miała na sobie skórzaną kurtkę. Zauważył też, że jest inaczej uczesana.

Odstawił szklaneczkę na kontuar i skierował się w jej stronę.

- Hadley! - Po chwili udało mu się chwycić ją za łokieć.

Zatrzymała się, jakby dopiero teraz go zobaczyła, i zaczęła rozpinąć swoją kurtkę. Zauważył, że ma na sobie czarną bluzkę, która zakrywała ją aż po szyję. Mogłaby uchodzić za bardzo przyzwoitą, gdyby nie półprzezroczysty materiał, z którego ją uszyto. Dane patrzył z niedowierzaniem na prześwitujący przez nią czarny biustonosz.

Teraz widział, jakie ma piękne ciało.

Inni klienci baru też mogli to dostrzec...

Dziewczyna potrząsnęła głową. Jej włosy były upięte seksownie na czubku głowy i ta fryzura sprawiała, że myślał tylko o tym, jak pięknie wyglądałyby rozrzucone na poduszce.

- Przyszłam na drinka - powiedziała wesołym tonem.

Zbyt wesołym, jak na jego gust. - A ty co tu robisz? Czy właśnie w tym barze przesiadujesz całymi dniami?

- Mówiłem ci już, że Tipped Barrel to nie miejsce dla ciebie. - Próbował odciągnąć ją w stronę drzwi, ale mu się wyrwała. - Hadley!

Obróciła się i podeszła do kontuaru. Kiedy włożyła dłoń do tylnej kieszeni džinsów, żeby wyjąć z niej pieniądze, Dane miał wrażenie, że wszyscy obecni w barze mężczyźni wstrzymali oddech.

Skąd wzięła to ubranie? Nigdy nie widział jej w tak seksownej bluzce, nie mówiąc o džinsach, które doskonale pasowały do figury, opinając ciasno jej krągłe pośladki. Sam nie wiedział, co bardziej go rozgniewało: to, że sam patrzył na nią tak pożądliwie, czy to, że robili to też inni mężczyźni.

W końcu udało jej się wyjąć pieniądze i położyła kilka banknotów na ladzie. Dane wśliznął się między nią a faceta, który się nagle ocknął.

- Chciałem ci przypomnieć, że nie pijesz - powiedział.

- Nie robiłam wielu rzeczy i popatrz, do czego to doprowadziło. - Barman zajmował się właśnie innymi klientami, więc skinęła ręką w jego stronę. - Hej, Billy, chyba nie każesz mi czekać. - Spojrzała na zdziwioną minę swego gościa z pensjonatu i dodała: - Znamy się z Billym jeszcze ze szkoły. Pomagałam mu pisać wypracowania z angielskiego.

Dopiero teraz zauważył, że zrobiła sobie też dyskretny makijaż. Pomyślał, że on sam nie potrzebuje w tej chwili drinka. Powinien raczej wytarzać się nago w śniegu. Facet obok mamrotał coś, starając się przysunąć do Hadley. Dane dźgnął go znacząco w żebra i spojrzał groźnie. Tamten skrzywił się, ale odsunął się wraz ze swoim piwem.

- Jeśli chodzi ci o to, co stało się wczoraj wieczorem...

- Chciałeś powiedzieć: o to, co się nie stało - przerwała mu, a potem machnęła ręką. - Już o tym zapomniałam.

Wcale jej nie wierzył.

-Hadley...

- Cześć, Hadley. - Stał przed nimi Billy. - Świetnie, ee... wyglądasz. Co dla ciebie?

- Nic - mruknął jej towarzysz.

Popatrzyła na niego z rozbawieniem, a potem spojrzała na barmana.

- Seks na plaży.

Billy zrobił wielkie oczy, ale po chwili zabrał się do przygotowywania drinka. Wziął najpierw wódkę, a potem sok brzoskwinowy, które wlał sprawnie do wysokiej szklanki.

- Sprawdzalas drinki w internecie? - spytał szyderczo Dane.

- Nie, mam książkę na temat drinków - .odparła. - Masz coś przeciwko?

- Tak. I to wiele. Przede wszystkim chodzi mi o to, co tutaj robisz. Chcesz odstraszyć Wendella? Moja droga, jak zobaczy cię w tych dzinsach i nieistniejącej bluzce, to już się od niego nie odczepisz.

Zatrzepotała rzęsami i wyduła wargi.

- Chcesz powiedzieć, że coś jest nie w porządku z moim wyglądem?

Chrząknął z dezaprobatą.

- Ćwiczyłaś to przed lustrem?

Uniosła do góry głowę i uśmiechnęła się, kiedy Billy postawił przed nią drinka. Podziękowała mu i zapłaciła. Dane zauważył, że się zawahała, ale potem wypila spory łyk, którym omal się nie udławiła.

- Masz za swoje - powiedział. - I jak, dobrze się bawisz?

- Jeszcze nie zaczęłam - odparła i znowu wypila łyk, ale tym razem ostrożniej. - Możesz zagrać w bilard, jeśli chcesz. Nie potrzebuję niańki.

- W tym stroju przydałby ci się raczej ochroniarz - stwierdził. - Ciekaw jestem, co powiedzą twoi bracia, kiedy zobaczą cię w tej bluzce..

- Mam nadzieję, że ładnie wyglądam. Jestem już dorosła i mogę się ubierać, jak chcę. Prowadzę własną firmę i jeśli mam ochotę wypić drinka, to po prostu idę do baru! - dodała podniesionym głosem.

- Dobrze powiedziane. - Facet stojący obok uniósł w górę kufel.

- Właśnie. - Hadley stuknęła szklanką w jego kufel, a potem wypila prawie do dna. - Och, to smakuje coraz lepiej. Billy, proszę jeszcze jednego - zwróciła się do barmana.

- Będziesz tego żałować - ostrzegł ją Dane.

Oparła się jedną ręką o kontuar i pochyliła się w jego stronę.

- Ale to już będzie mój problem. Poza tym do tej pory żałowałam tego, czego nie robiłam, więc czeka mnie miła odmiana. - Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Jeszcze trochę i będziesz zupełnie pijana.

- Nie bądź taki nadęty. - Poglądziła go po ramieniu, a potem wypila do końca pierwszego drinka. Rozejrzała się po barze, a tymczasem barman postawił przed nią drugiego. - Mam ochotę zatańczyć - powiedziała.

- Będą ci się plątały nogi - zauważył, ale jeśli myślał, że ją to zniechęci, to był w błędzie.

Wypiła jeszcze trochę, a następnie ruszyła w stronę sceny, na której zespół grał country. Zaraz też pojawiło się koło niej kilku facetów, gotowych z nią zatańczyć.

Dane odstawił swoją szklaneczkę na kontuar.

- Następnym razem podaj jej coś bez alkoholu. Jasne? - zwrócił się do Billyego.

- Nie wydaje ci się, że to ona powinna decydować? - spytał tamten i spojrział na niego ostro. - Zresztą, może i racja - przyznał i zajął się swoją robotą.

Mandy miała coraz więcej pracy. Przeszła obok i spojrzała ze zdziwieniem na Rutherforda. Hadley tańczyła tak, jakby teraz miała jedyną okazję, żeby się wyszaleć. Mężczyzna zastanawiał się, gdzie się tego nauczyła, bo chyba nie z książek... Być może taniec był jednym z jej ukrytych talentów.

Westchnął głęboko. No tak, przecież jest dorosła, pomyślał. Spróbował jej drinka i skrzywił się. Ta mieszanka alkoholu i soku w ogóle mu nie smakowała.

Wokół tańczących uformowało się koło. Ludzie zaczęli klaskać i przytupywać do taktu. Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze i było widać, że muzycy dają z siebie wszystko.

Dane pomyślał, że powinien być pocałować Hadley w kuchni, kiedy o to prosiła. W ten sposób pozbyłaby się Wendella i nie musiałaby przychodzić do Tipped Barrel. Przeciągnął ręką po włosach. Ileż to razy słyszał, jak Darby skarżyła się, że ojciec za bardzo stara się ją chronić, a teraz on gotów był robić to wobec zupełnie obcej kobiety. No, prawie obcej...

Chociaż starał się myśleć, że ona nie powinna go obchodzić, nie mógł zostawić jej samej w tym barze. Być może nie miała nic przeciwko temu, by faceci dookoła patrzyli na nią tak pożądliwie, ale on wcale nie był z tego zadowolony.

Zaczął się przepychać przez gęsty tłum. Było tak tłoczno,



iż można by pomyśleć, że dają tu piwo za darmo. Wreszcie udało mu się dotrzeć do parkietu.

- Dobrze, wystarczy tego, jak na pierwszy raz - powiedział stanowczo do Hadley i objął ją tak mocno, że musiała się zatrzymać.

Popatrzyła na niego mało przytomnie. Oddychała ciężko. Poczuł jej piersi przyciśnięte do swego torsu.

- Chcesz mnie poprosić do tańca? - Zarzuciła mu rękę na ramiona.

I właśnie wtedy muzycy skończyli grać.

Połowa tancerzy zeszła z parkietu, ale zastąpili ich inni, głośno domagając się muzyki. Członkowie zespołu chcieli się jednak czegoś napić i odpocząć, więc szybko włączono jakąś płytę.

Dane skorzystał z zamieszania i wywlekł dziewczynę z parkietu. Ona zaś sięgnęła po kolejnego drinka, który na nią czekał. Kiedy odstawiła pustą szklaneczkę, powąchał ją. Tym razem były w nim rum i cola. Z całą pewnością będzie miała jutro straszego kaca, pomyślał.

- Musimy się zbierać - rzekł do niej tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Daj spokój, stary - odezwał się ktoś z boku. - Jeśli chcesz tu zostać, to nie twoja sprawa.

Rutherford zacisnął szczęki i popatrzył na faceta, który blokował mu przejście. Był naprawdę wielki i wyglądał na kierowcę ciężarówki. Widać było, że miał ochotę na bójkę. Wyglądał na niezłego rozrabiakę, podobnie jak paru innych facetów w Tipped Barrel.

- Ja za nią odpowiadam - warknął Dane.

Hadley schowała się za jego plecami. Nie wiedział, czy chciała odwrócić jego uwagę, czy też miała już dosyć manifestowania niezależności.

- Nie ma obrączki, więc odpowiada sama za siebie - stwierdził tamten.

Ktoś szarpnął dziewczynę, a ona wydała krótki okrzyk. Jej towarzysz obejrzał się, żeby sprawdzić, co się dzieje, gdy kierowca ciężarówki położył wielkie łapsko na jego barku.

- Nie odwracaj się ode mnie, stary. Moim zdaniem, właśnie rozmawiamy.

Dane rzucił jego dłoń ze swego ramienia.

- Rozmowa jest już skończona - powiedział i pociągnął za sobą Hadley.

Tamten jednak chwycił ją za rękę.

- Moim zdaniem, ona chce tu zostać.

Rutherford zatrzymał się i spojrzał na niego groźnie.

- Puść ją!

- Wydaje mi się, że ona wcale nie chce wychodzić. - Mężczyzna przyciągnął kobietę do siebie, patrząc łakomie na jej piersi. - Co ty na to, laleczko?

- Mój brat jest szeryfem - syknęła ostrzegawczo.

Olbrzym zaśmiał się i spróbował objąć ją w tali. Dane, niewiele myśląc, odwinął się i uderzył go pięścią prosto w szczękę. Głowa intruza odskoczyła do tyłu, a potem runął jak długi na podłogę.

Hadley pisnęła i uskokczyła. Przez chwilę stała nad nieprzytomnym facetem.

- Nic mu nie jest? - spytała.

Jej opiekun miał nadzieję, że pozbawił go przytomności

na ładnych parę minut. Wziął dziewczynę za rękę i skierował się do drzwi.

- Wychodzimy - powiedział.

Tym razem nie protestowała. Może dlatego, że zobaczyła jeszcze, jak powalony ciosem mężczyzna poruszył się na podłodze. Przy wyjściu czekała na nich Mandy, która podała im zostawioną na wieszaku skórzaną kurtkę.

- Niezły sierpowy - powiedziała z rozbawieniem.

Dane szybko założył Hadley kurtkę i wyciągnął ją na dwór.

Świeże powietrze chyba ją trochę otrzeźwiło. Przynajmniej miał taką nadzieję. Nagle otoczyła ich cisza, która wydawała się czymś niezwykle po gwarze panującym w środku.

Kobieta przycisnęła dłoń do głowy i ruszyła chwiejnie. Jej towarzysz nie sądził, że to z powodu wysokich obcasów. Zapiął jej kurtkę na zamek, a następnie wziął pod ramię, żeby nie upadła.

- Czyja to kurtka? - spytał.

- Joanie.

Mógł się tego domyślić. Joanie była nieco niższa niż Hadley, ale podobnie zbudowana. Oczywiście, nie biorąc pod uwagę ciąży.

- Bluzkę też od niej pożyczyłam. I to ona mnie uczesała.

- Jasne. - Rozejrzał się po parkingu. Od razu zauważył furgonetkę i wyjął kluczyki z kieszeni jej kurtki.

- Pani Ardelle też nam pomagała - dodała.

- Powiedziałaś jej, gdzie się wybierasz?

Hadley poślizgnęła się i omal nie upadła.

- Do licha, uważaj, bo połamiesz nogi. Te buty są chyba bardzo śliskie.

- Jakoś sobie radzę - powiedziała, a za chwilę wykonała piruet w powietrzu, który zakończyłby się zapewne upadkiem na wydeptany śnieg, gdyby mężczyzna nie chwycił jej w pól. Zarzucił ją sobie na ramię.

- Hej, co robisz? - krzyknęła, bijąc go pięściami po plecach.

- Chce cię bezpiecznie odstawić do domu. A teraz bądź grzeczna, bo zawołam tego mięśniaka.

- Mięśniaka? - powtórzyła. - A tak, trzeba przyznać, że był naprawdę wielki i dobrze umięśniony. Ale go załatwiłeś. Shane byłby z ciebie dumny.

Chwyciła go za pasek. Czuł, jak chwieje się na jego ramieniu, ale nic sobie z tego nie robił. Chciał jak najszybciej dotrzeć do furgonetki w obawie, że zwalisty facet oprzytomnieje i będzie chciał wyrównać z nim rachunki.

- Bardzo mi miło z tego powodu - rzucił.

- Wood?

Otworzył drzwiczki furgonetki od strony kierowcy.

- Tak?

- Chy... chyba jest mi trochę niedobrze.

Posadził ją w środku, nie zważając na to, co mówi. Opadła bez siły na fotel i odgarnęła włosy z twarzy.

- Wiesz, żałuję, że wczoraj do niczego między nami nie doszło - wyznała.

Do licha, najwyraźniej za dużo wypiła. Inaczej nigdy by mu tego nie powiedziała.

- Jeszcze mi za to podziękujesz - stwierdził.

Zamknął drzwiczki po jej stronie i zerknąwszy w kierunku baru, zajął miejsce kierowcy. Dotarli szybko do pensjona-

tu, a Hadley cały czas trzymała się za usta, praktycznie leżąc na desce rozdzielczej samochodu.

Zatrzymali się na parkingu przed domem.

- Sama pójde - powiedziała, kiedy dotknął jej ramienia.

- Już mi lepiej - dodała, a potem znowu zasłoniła usta.

- Dobrze, pomogę ci - powiedział, podając jej ramię.

Wysiadła z trudem i oczywiście zaraz się poślizgnęła. Da-  
ne niemal zawlókł ją do schodów, ale przynajmniej nie mu-  
siał jej nieść.

Bała się, że zobaczy ją w tym stanie któryś z gości pen-  
sjonatu.

- Jak tu ciemno. - Spojrzała w okna. - Która godzina?

- Późna. Zdecydowanie późna - odparł, wprowadzając ją  
do środka. - Mów ciszej, wszyscy już śpią.

- Ach, ciszej - zniżyła głos do szeptu, kiedy wchodzili na  
górze. - Czy pocałujesz mnie na dobranoc?

Skreślił w stronę ich pokoiów.

-Nie.

- Ale ja lubię, jak mnie całujesz - upierała się.

- Szkoda. Staram się nie zadawać z kobietami, które są na  
tyle pijane, że nie wiedzą, co robią.

Wyrwała mu się i próbowała iść samodzielnie, podpie-  
rając się co jakiś czas o jedną albo drugą ścianę. Kiedy uderzy-  
ła w jedną z nich, powiedziała:

- Tak, ciszej. Żeby nikogo nie zbudzić.

- Właśnie - mruknął i zatrzymał się przed drzwiami do  
jej pokoju. Okazało się jednak, że są zamknięte. - Masz  
klucz? - spytał.

Popatrzyła na niego mało przytomnie.

- Jaki klucz?

Przez chwilę się wahał, ale potem wpuścił ją do swego pokoju.

- Ty też kiedyś byłeś dziewczicą - zauważyła nagle.

Zignorował tę uwagę i wszedł do łazienki. Odkręcił na chwilę zdmną wodę, która wydała mu się wręcz lodowata, i włożył pod nią głowę.

- Byłeś, byłeś, przyznaj się - powtarzała.

Wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, wydawało mu się nierealne. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że Hadley trafiła do Tipped Barrel. Teraz na pewno będzie się tego wstydzić. Oczywiście, jeśli zapamięta cokolwiek z wydarzeń dzisiejszego wieczoru.

Kiedy wrócił do pokoju, siedziała na podłodze, opierając się plecami o jego łóżko.

- Byłeś, byłeś - powtarzała jak dziecko.

- To chyba jasne, nie? - przyznał w końcu.

Sam nie wiedział, dlaczego nie zaprowadził dziewczyny przez łazienkę do jej pokoju. Wiedział, że powinna teraz zasnąć, żeby czuć się przynajmniej odrobinę lepiej następnego dnia.

- Jej szef ma przyjechać.

- Kto? - zdziwił się.

- Szef Nikki Day - wyjaśniła. - Ma przyjechać. - Ziewnęła. - Przynajmniej wydaje mi się, że jest jej szefem. Powiedział, żebym się niczym nie przejmowała i że się wszystkim zajmie. - Zamknęła oczy.

- Widzisz, niepotrzebnie się przejmowałaś.

- Pielęgniarka nic mi nie chciała powiedzieć, bo nie je-

stem rodziną. - Znowu ziewnęła i położyła się na dywaniku przy łóżku. - Nie udało mi się nawet dodzwonić do... do jej rodziny.

- A co na to twój brat?

- Nic. Skoro przyjeżdża jej szef...

Spojrzał na nią.

- Nie chcesz chyba spać na podłodze?

Machnęła ręką.

- Czemu nie?

Pochylił się i wziął ją za ramię.

- Hadley!

- Zawsze tak miło pachniesz - wymamrotała.

- Hadley?

Nie słyszała go, gdyż pogрузzyła się w głębokim śnie. Po namyśle wziął ją na ręce i ruszył przez łazienkę do jej pokoju. Okazało się jednak, że te drzwi też są zamknięte, zapewne od wewnątrz. Zaklął pod nosem i wrócił. Przez chwilę rozglądał się dookoła, ale zdecydował, że dywanik zdecydowanie nie jest dla niej odpowiedni. Jego łóżko było dosyć szerokie, więc położył ją tam i przykrył kołdrą.

Przez chwilę patrzył na nią z góry, aż w końcu rozebrał się i położył po drugiej stronie. Na szczęście miał dodatkową kołdrę, którą przyniosła.

Nie sądził jednak, by udało mu się zmrużyć oko przy śpiącej obok Hadley Golightly.

## Rozdział 9

Miała wrażenie, że coś rośnie jej w ustach. Nie czuła się najlepiej.

Mimo to ukryła twarz w poduszce, próbując zasnąć, ale światło dnia wydawało się wdierać do jej mózgu przez powieki. Hadley jęknęła cicho i poczuła potworny ból głowy.

Poruszyła się ostrożnie na łóżku i wyprostowała nogi. Dopiero po chwili dotarło do niej, że wciąż jest w dzinsach, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Jeszcze więcej czasu zajęło jej dojście do przekonania, że nie znajduje się w swoim pokoju. W końcu musiała otworzyć ciężkie jak ołów powieki.

Wood spał tuż obok.

Pomyślała, że powinna natychmiast opuścić to łóżko. Ale chociaż duch był chętny, to ciało niezbyt posłuszne. Przez moment wydawało jej się, że to tylko coś w rodzaju złudzenia czy fatamorgany, ale mężczyzna nie chciał zniknąć.

Spał na plecach, oddychając równo. Widziała jego twarz i unoszącą się klatkę piersiową. Poza tym okrywała go niebieska kołdra, którą sama tu przyniosła. Hadley musiała się



powstrzymywać, żeby go nie dotknąć. Wyglądał naprawdę jak żywy...

Przecież jest żywy, ty idiotko, upomniała siebie w duchu. Tylko jak to się stało, że znalazła się w jego łóżku? Powoli zaczęła sobie przypominać plan wyprawy do Tipped Barrel i przygotowania, w których uczestniczyły Joanie i pani Ardelle. Ale co działo się potem? Miała pustkę w mózgu. Nie miała pojęcia, co się stało w tym barze. Z pewnością nic dobrego, skoro leży w łóżku obok Wooda i boli ją głowa.

Czyżby za dużo wypila?

Nie, to niemożliwe. Przecież prawie nie pije alkoholu.

Nagle poczuła, że Wood się obudził. Cofnęła się gwałtownie i omal nie spadła z łóżka. Chciała uciec stąd jak najszybciej.

- Przestań się wiercić - powiedział.

Zobaczyła, jak unosi się nad nią na łokciu, i zadrżała ze strachu.

- W końcu udało mi się zasnąć, a ty zaczynasz urządzać tu jakąś gimnastykę - dodał. - To nieludzkie.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że jest późno. Muszę wstać - rzuciła.

Przysunął się jeszcze bliżej.

- Twoi goście mogliby się sami nauczyć robić sobie śniadanie - mruknął. - To nic trudnego.

- Ale... - usiłowała zaprotestować.

Położył dłoń na jej ustach.

- Żadne ale. Leż spokojnie.

Zamrugnęła nerwowo oczami, ale zgodnie z poleceniem leżała cicho.

- Tak jest zdecydowanie lepiej - stwierdził i odgarnął włosy z jej twarzy. Hadley zastygła, czekając na to, co się wydarzy. Gdy usłyszała dzwonek telefonu i odgłos otwieranych drzwi, wrócił niepokój o to, co się dzieje w pensjonacie.

Cóż, jej goście nie dostaną dzisiaj śniadania, ale nie wygląda na to, by komukolwiek to przeszkadzało. Może więc chyba jeszcze trochę poleżeć? Wood był obok i znów zaczął równo oddychać. Zerknęła w jego stronę, podziwiając jego męskie rysy, ale potem poczucie obowiązku wzięło w niej górę.

Wyślizgnęła się z łóżka i przeszła na palcach do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i przeraziła się, kiedy spojrzała do lustra. Miała podkrążone oczy i zielonkawą cerę. Poza tym rozmazał jej się makijaż, zrobiony wczoraj przez panią Ardelle, i wyglądała dosyć żałośnie. A jej włosy? Cóż, wyglądały w tej chwili jak szczotka, w którą uderzył piorun.

Zaczęła od umycia zębów, a potem wskoczyła do wanny i wzięła kąpiel włącznie z głową. Z ulgą też powróciła do poprzedniej fryzury. Gdy spróbowała otworzyć drzwi do swego pokoju, okazało się, że są zamknięte.

Czerwona jak burak weszła do pokoju Wooda, mamrocząc coś przepraszająco, a następnie wyjrzała na korytarz. Przed jej drzwiami stał Shane i najwyraźniej miał zamiar zapukać. Wycofała się pospiesznie, ale nie zdążyła.

Jej brat miał słuch niczym nietoperz i błyskawicznie się odwrócił. Gdy ją zobaczył, twarz mu pociemniała. Hadley zdecydowała się wyjść na korytarz, uznając, że w tej sytuacji to najlepsze rozwiązanie.

- Co tutaj robisz, Shane?

Spojrzał na nią twardo.

- Powiedz raczej, co ty tam robiłaś. - Wskazał drzwi do pokoju lokatora.

Założyła ręce na piersi, postanawiając, że nie będzie się usprawiedliwiać.

- Przecież prowadzę pensjonat, nie?

- Mam wrażenie, że ostatnio znacznie poszerzyłaś zakres usług - powiedział bardzo uprzejmie, co, jak wiedziała, nie wróżyło nic dobrego.

- Nie jesteś dla mnie zbyt miły.

- A ty jesteś głupia. Myślisz, że zostanie w Lucius, kiedy naprawią mu samochód?

Nic podobnego nie przyszło jej do głowy. Rzeczywiście, bardzo się tego bała, ale nie miała zamiaru pokazywać bratu, jak bardzo ją to obchodzi.

- Nie powiedziałaś, po co przyszedłeś - zauważyła.

- Nie byłaś dziś rano w kościele, więc tata pomyślał, że coś ci się stało. Dlatego do mnie zadzwonił.

Ponownie opanowały ją wyrzuty sumienia.

- Zupełnie zapomniałam!

- Więc może zadzwonisz do ojca i mu to powiesz - zaproponował.

- Jasne, że to zrobię.

- Przy okazji może też wyjaśnisz, co do licha robiłaś wczoraj w Tipped Barrel - dodał. - Zdaje się, że to z powodu tego faceta. - Wskazał drzwi do pokoju Wooda. - Uważaj na niego, Hadley. On coś ukrywa. Poza tym naprawę powinnaś się trzymać z daleka od baru. Wczoraj znowu mnie tam wzywano.

Nagle usłyszała za sobą odgłos otwieranych drzwi i serce w niej zamarło. Wcale nie miała ochoty na konfrontację Shane'a z Woodem. Obejrzała się przerażona. Ten ostatni położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Przecież jest dorosła, szeryfie - powiedział. - To jej sprawa, gdzie chodzi.

Zrobiła wielkie oczy. Nagle przypomniała sobie, że wczoraj był zupełnie innego zdania.

- Włączając w to pański pokój?

- Shane, to nie to, co myślisz - wtrąciła pospiesznie.

- Skoro sama tak zdecydowała - odrzekł Wood, a jego słowa podziały na szeryfa jak czerwona płachta na byka.

- Ostrzegam cię! - Zacisnął dłonie w pięści. - Jeśli coś się stanie mojej siostrze...

- Przestańcie! - krzyknęła i popatrzyła na obu mężczyzn, którzy mierzyli się niechętnym wzrokiem. - Przecież wiesz, że nic między nami nie zaszło - zwróciła się do Wooda. - A ty - popatrzyła na Shane'a - nie powinieneś mieszać się w moje sprawy. Wiem, że jesteś moim bratem i że bardzo mnie kochasz, ale to jest moje życie. Mogę spędzać czas tak, jak chcę i z kim chcę! Mam już dosyć tego, że wszyscy uważają, iż jestem miła. To dlatego nasyłacie na mnie Wendella. Powinna przeprosić tylko tatę, bo obiecałam mu, że pomogę w kościele.

Poirytowana podeszła do drzwi swego pokoju i spróbowała je otworzyć. Były jednak zamknięte, więc po chwili namysłu ruszyła do biura, zostawiając obu mężczyzn na korytarzu. Zapasowe klucze do wszystkich pomieszczeń znajdowały się w szufladzie jej rzadko używanego biurka. Przez chwilę szu-

kała, aż w końcu znalazła ten, który pasował do jej pokoju. Już miała wyjść, kiedy zadzwonił telefon, rozbrzmiewając głośnym echem w jej głowie. Jęknęła i podniosła słuchawkę.

Dzwonił Pierce, który zapytał spokojnie, czy to prawda, że poprzedniej nocy brała udział w bójce w barze.

Niemal usiadła na starym, wygodnym krześle, ale powstrzymała ją to, że prawdopodobnie trudno by jej było się z niego podnieść.

- To nie była bójka, Wendell - powiedziała i nagle pożałowała swoich słów. Może byłoby lepiej, gdyby jej nieszczęsny adorator myślał, iż było inaczej.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało, kochanie - rzucił. - To nie jest odpowiednie miejsce dla kogoś takiego jak ty. Wyjeżdżam na weekend do Kolorado i chciałbym, żebyś ze mną pojechała. Mamy tam spotkanie ornitologów-amatorów. Na pewno ci się spodoba.

Patrzyła z niedowierzaniem na blat biurka.

- Chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Tak, jasne.

Nagle poczuła, że jej plan spalił na panewce. A tak się stała! Przycisnęła dłoń do bolącej głowy i pomyślała, że już nigdy nie weźmie kropli alkoholu do ust.

- Nie, chyba nie pojedę - rzuciła do słuchawki - To na razie, Wendell. Muszę już kończyć.

Zakończyła rozmowę, zanim zdołał wyrazić swoje rozczarowanie. Potem zadzwoniła do ojca i przeprosiła za swoją nieobecność rano. Przynajmniej on nie dawał jej dobrych rad, za co była mu głęboko wdzięczna. Wzięła klucz i poszła do swego pokoju.

Wood i Shane wciąż stali na korytarzu i mierzyli się wzrokiem. Dobrze, jeśli chcą się zachowywać jak idioci, to ich sprawa. Hadley ominęła ich i otworzyła drzwi. Weszła do siebie, też czując się trochę jak idiotka.

Dlaczego musi być dla wszystkich miła?

Dlaczego nie może po prostu powiedzieć Piercebwi, żeby się od niej odczepił?

Ból głowy narastał, wzięła więc proszek i opadła na łóżko. Nie przeszkadzało jej to, że leżały na nim jeszcze ubrania, które wyjęła z szafy wczoraj wieczorem. Chciała tylko odpocząć i zapomnieć o łomotaniu w skroniach oraz suchości w gardle.

Kiedy zniknęła w swoim pokoju, szeryf spojrzał na Wooda.

- Możliwe, że ten samochód nie jest kradziony, ale i tak cię sprawdzę - syknął. - To moje miasto i moja rodzina. Jeśli masz tu jakieś sprawy, radzę, żebyś je szybko załatwił.

- Jeśli będziecie tak bardzo naciskać na Hadley, to jestem pewny, że ją stracie.

- Grozisz mi?

Dane wzruszył ramionami.

- Tylko uprzedzam - odrzekł. - Doskonale rozumiem, że chce pan chronić najbliższą sobie osobę, ale to chyba jasne, że ona jest zmęczona taką opieką. Nie możecie jej układać życia i mówić, co ma robić. Prędzej czy później się zbuntuje.

Szeryf milczał przez dłuższą chwilę.

- Po co tu przyjechałeś, Tolliver? I nie myśl, że uważam, iż naprawdę tak się nazywasz.

- Może pan sobie myśleć, co się panu żywnie podoba - odparł Dane, doskonale wiedząc, że tamten nic mu nie może zrobić, dopóki mu nie udowodni, że złamał prawo. - Ale niech pan da trochę luzu Hadley.

Shane spojrział na zamknięte drzwi.

- Jest straszną marzycielką. Ciągłe coś pisze... Stara się widzieć w ludziach to, co najlepsze. - Przeniósł wzrok na stojącego przed nim mężczyznę. - Niezależnie od tego, czy na to zasługują - dodał.

Rutherford zdziwił się, ale nagle poczuł sympatię do tego faceta. Zwykle nie przepadał za policjantami. Zwłaszcza po tym, jak pozwolili uciec Alanowi Michaelsowi.

- Świat byłby bardzo ubogi, gdyby zabrakło w nim marzycieli - powiedział sentencjonalnie.

- Ale też nie traktuje ich zbyt dobrze - zauważył już spokojniej szeryf. - A ja nie pozwolę, by coś się stało mojej siostrze.

Włożył kapelusz i ruszył w stronę schodów. Dane odprowadził go wzrokiem, a potem westchnął. Cała sytuacja za bardzo się komplikowała, a przecież przyjechał tu tylko po to, by odnaleźć Michaela. On sam też nie chciał dopuścić do tego, by ktoś skrzywdził siostrę Shane'a.

Wrócił do pokoju. Wziął prysznic i zmienił sobie opatrunek. Rana nie wyglądała najlepiej, ale przynajmniej zaczęła się goić. To dobrze. Kończyły mu się już bandaże, które dostał od Palmera. Ubrał się i szedł do kuchni.

Zajrzał do lodówki i dziesięć minut później miał już lekarstwo na kaca, z którym pospieszył do pokoju Hadley. Na szczęście nie zamknęła drzwi i mógł wejść do środka.

Leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce. Widział gładką skórę na jej plecach. Wyglądała tak bezbrinnie, że przez chwilę tylko stał i patrzył.

Pokój prezentował się zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażał. Nie było tu żadnych koronek czy falbanek. Był urządzone w stylu retro, ale z nowoczesnymi detalami, a całość tonęła w brązach, które ożywiały różne odcienie czerwieni. Poza tym wszędzie było pełno książek. Stały na półkach, leżały na stole i biurku. Zauważył też otwarty notatnik.

Usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po oprawione w ramki zdjęcie, które stało na szafce. Przedstawiało całą rodzinę Golightlych. Stali blisko siebie i uśmiechali się do obiektywu. Bez trudu rozpoznał Holly Golightly, gdyż córka była do niej bardzo podobna.

Odstawił zdjęcie i sięgnął po notatnik. Spojrzał na to, co w nim napisała i uśmiechnął się lekko. Zaczął go przeglądać, starając się uciszyć wyrzuty sumienia. Kiedy tak czytał kolejne strony, stwierdził ze zdziwieniem, że Hadley ma dobry styl. Nigdy nie mówiła mu o tym, że pisze. Wspominała tylko, że pomagała Billyemu przy wypracowaniach szkolnych.

Z całą pewnością była prymuską.

Odłożył notatnik i poklepał ją delikatnie po ramieniu.

- Hej, pisarko, prześpisz cały dzień!

Jęknęła i poruszyła się nieco.

- Daj mi spokój.

Odsunął włosy z jej ramion.

- Przyniosłem coś, co powinno ci pomóc. - Podsunął jej pod nos szklaneczkę. Zerknęła na nią podejrzliwie. - To le-



karstwo na kaca ze starego rodzinnego przepisu - wyjaśnił.

- Nie mogę zdradzić, co w nim jest.

- A już miałam nadzieję, że to trucizna. - Westchnęła. -  
Przynajmniej efekt byłby znacznie trwalszy. Po prostu nic by  
mnie już nie bolało.

- Spróbuj tego - zachęcał. - Zaraz zechce ci się żyć.

- Nie sądzę - mruknęła, ale sięgnęła po płyn. - Czy nie  
ma w tym...

- Alkoholu? Nie, nawet grama.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Czy zawsze zgadujesz, o czym myślę?

- W tym wypadku nie było to takie trudne. No pij, a zaraz  
poczujesz się lepiej - ponaglał. - I od razu odzyskasz chęć  
do pisania.

Spojrzała na otwarty notatnik i zarumieniła się.

- Proszę, kpij sobie. Wszyscy to robią.

- Wcale z ciebie nie kpię. Jeśli chcesz być pisarką, to pisz.

Jestem pewny, że ci się powiedzie.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Wypij to w końcu. - Podsunął jej szklaneczkę do ust.

Na moment zacisnęła je, ale potem wypła. Spodziewała się  
chyba czegoś gorszego, bo wyglądała na wyraźnie  
zaskoczoną.

- O, słodkie - powiedziała. - Dzięki.

Dotknął delikatnie jej ust. Były lekko nabrzmiałe. Naj-  
piękniejsze usta, jakich kiedykolwiek dotykał. A potem nagle  
poczuł pod palcami koniuszek jej języka i natychmiast cof-  
nął dłoń.

- Coś się stało? - Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zadzwoń do ojca - polecił. Pomyślał, że jeśli ta dziew-

czyna odkryje siłę swych kobiecych wdzięków, stanie się prawdziwym zagrożeniem.

Usiadła na łóżku i opuściła stopy na podłogę.

- Już to zrobiłam. To wy z Shane'em rozdmuchaliście całą sprawę. Jak rozumiem, chodzi wam głównie o Tipped Barrel. Ale nawet to nie zniechęciło Wendella. Zadzwoił do mnie, jak gdyby nigdy nic, i poprosił, żebym wyjechała z nim na weekend.

- I co, wybierasz się?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Jesteście do siebie podobni z moim bratem - stwierdziła.

- Chcielibyście mieć wszystko pod kontrolą. - Hadley wstała.

- Sama nie wiem, może pojedę. Może nie będzie robił tyłu trudności tylko dlatego, że jestem dziewczyną. - Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

Dane naburmuszył się, słysząc te słowa.

- Ten facet chce cię po prostu zwabić do łóżka - stwierdził.

- I na pewno nie będzie tracił czasu na obserwację ptaków.

Zacisnęła usta, a on pomyślał, że bardzo chciałby ją teraz pocałować.

- Pierce bardzo lubi obserwować ptaki - stwierdziła.

- Ale ty nie! Macie ze sobą tylko tyle wspólnego, że oboje mieszkacie w Lucius. - Sam nie wiedział, dlaczego nawiązał do tego tematu.

- A ciebie i mnie nie łączy nawet tyle - wypaliła. - Ty jesteś obcy. Nie powinno cię to obchodzić.

Dotknął jej ramienia i poczuł, że zadrżała. Przysunął się do niej jeszcze bliżej.

- Czy drżysz przy Wendellu? - spytał szeptem. - Czy czujesz się przy nim tak jak przy mnie?

Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała mu prosto w oczy.

- On przynajmniej nie myśli jednego, mówiąc coś zupełnie innego - rzuciła.

Doskonale wiedział, że to prawda. Hadley powoli stawiała się jego obsesją. Pragnął jej, a jednak nie chciał się do tego przyznać.

- Bardzo łatwo pozbyć się dziewictwa - dodała jeszcze. - Czy to z Wendellem, czy z kimś innym...

Poczuł gniew i potrzebował trochę czasu, by przywołać się do porządku.

- To wcale nie jest takie proste - powiedział. - Inaczej nie byłabyś wciąż dziewicą...

- Więc co, ma tak już zostać? Tylko dlatego, że ci się tak podoba? Nie chcesz mnie, bo z nikim nie spałam, ale jak chcę to zmienić, też jesteś przeciwny? I to tylko dlatego, że pragnę ciebie, a nie Pierce'a?

Dane spuścił głowę, słysząc te słowa.

- To dlatego, że nie chcę cię skrzywdzić. - Wbił ręce w kieszenie, żeby jej więcej nie dotykać.

- Może nie zauważyłeś, ale jestem już duża i potrafię sama zdecydować o własnym losie - oznajmiła.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie chcę wchodzić w taki układ z kimś, na kim mi zależy - odrzekł. - Z tego naprawdę nie może wyniknąć nic dobrego.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami i skrzyżowała ręce na piersi. Wciąż miała na sobie półprzezroczystą bluzkę, która budziła w nim najdziksze żądze.

- Nie chcę być sama - oznajmiła.

Pomyślał, że tak jednak jest lepiej. Gdyby wiedziała, że ją oszukiwał, z pewnością nie chciałaby z nim nawet rozmawiać.

Postanowił zmienić temat.

- A jak twój kac? - spytał.

- Chyba powoli przechodzi mi ból głowy - stwierdziła ze zdziwieniem. - Miałeś rację, to prawdziwe lekarstwo.

- Bardzo mnie to cieszy.

Podniosła rękę i pociągnęła się za ucho, co wskazywało na to, że jest zdenerwowana.

- Powinam cię też przeprosić - dodała.

- Dlaczego? — spytał.

- Bo postawiłam cię w niezręcznej sytuacji. Nie będę ci się już ee... narzucać. - Podeszła do drzwi i uśmiechnęła się zdawkowo. - Jesteś bezpieczny.

-Hadley...

- Nie, nie. - Uniosła dłoń. - Nic już nie mów. Dostyc tych upokorzeń jak na jeden dzień, chociaż wiem, że sobie na nie zasłużyłam.

- Bardzo mi przykro, Hadley. Poszukam sobie jakiegoś innego miejsca i tam zaczekam na samochód.

- Nie musisz się nigdzie przeprowadzać - zapewniła. - Nie musisz też przychodzić na przyjęcie na cześć Evie. Pamiętaj, sam podsunąłeś mi ten pomysł. Zapewniam jednak, że będzie niezłe jedzenie i sporo picia. Poza tym zjeździe się na nie chyba całe miasteczko.

- Więc wynajmij kogoś do pomocy - podsunął. Tak właśnie radziła sobie Marlenę z przyjęciami w ich domu.

- Cóż, pomyślę o tym. W każdym razie pamiętaj, że mo-

żesz tu mieszkać, ile ci się żywnie podoba. - Nacisnęła klamkę i otworzyła przed nim drzwi. - Oczywiście, bez żadnych opłat. Przecież to przeze mnie utknąłeś w Lucius.

Dane westchnął i wyszedł, zostawiając za sobą ten przytulny pokój. Od razu też zrobiło mu się chłodniej.

- Wcale tu nie utknąłem - rzucił za siebie, myśląc, że przyjęcie na cześć Evie to dobra okazja, by poznać wszystkich tujejszych mieszkańców. Nie tylko tych, którzy regularnie chodzą do baru.

RS

## Rozdział 10

- Cieszę się, że cię posłuchałam - powiedziała Hadley do Wooda, który przyglądał się długiemu stołowi pełnemu przeróżnych smakołyków. - Wiesz, w kwestii tej pomocy.

Były to pierwsze od paru dni jej słowa skierowane bezpośrednio do niego. Od czasu nieszczęsnych wydarzeń, które miały miejsce w Tipped Barrel i w jej pokoju, wstydziła się z nim rozmawiać. Teraz czuła się pewniej, gdyż w pomieszczeniu było sporo ludzi.

Dane spojrzął na wynajęte kelnerki, które roznosiły przystawki. Mandy Manning z Tipped Barrel wyróżniała się wśród nich urodą, ale była tu także Bethany Seavers z Lucious. Obie chętnie zgodziły się pomóc za odpowiednią zapłatę, na czym skorzystali wszyscy obecni.

- Świetnie, ale pamiętaj, że w związku z tym sama powinnaś mniej pracować - odrzekł.

Trzymał w rękach talerzyk, ale zauważyła, że mało je i zajmuje się raczej podziwianiem kolejnych dań. W ciągu ostatnich dni nie przychodził też na posiłki do jadalni.

Hadley wrzuciła lód do beczki, w której znajdowało się mnóstwo puszek z piwem i colą oraz innymi napojami.

W kościelnej sali było około pięćdziesięciu dorosłych gości i mniej więcej tyle samo dzieci, które przyszły z nimi.

- Czuję się lepiej, kiedy mogę coś robić - odparła. - Ale muszę przyznać, że nie dałabym sobie rady z takim tłumem. Evie jest bardzo zadowolona. To była dla niej prawdziwa niespodzianka.

Dane, który najwyraźniej stracił zainteresowanie jedzeniem, sięgnął po piwo.

- A gdzie Charlie? - spytał.

Wzruszyła ramionami. Szwagier miał przywieźć swoją żonę na przyjęcie, ale w końcu zrobił to Beau.

- Evie mówiła, że znowu pojechał do pracy. - Oczywiście nie uwierzyła jej, podobnie jak Shane i Stu. Jednak bohaterka przyjęcia nie sprawiała wrażenia, jakby tęskniła za mężem. Przynajmniej raz miała okazję się zabawić.

- Ale zdaje się, że jest tutaj jego ojciec - zauważył.

- Tak - Hadley zerknęła na mężczyznę, który siedział przy okrągłym stole. Miał przed sobą drinka i talerz z jedzeniem i na tym głównie się koncentrował. Prawie nie rozmawiał z innymi gośćmi, którzy co jakiś czas zagadywali go uprzejmie.

- Ciekawe, co on o tym myśli. W końcu chodzi o jego syna... Zresztą jutro i tak wyjeżdża. Evie ma go odwiedzić na lotnisko. Wiem, bo prosiła mnie, żebym zajęła się dziećmi.

Nałożyła sobie sałatki. Miała nadzieję, że Wood trochę z nią porozmawia. Był bardzo towarzyski i gawędził swobodnie z gośćmi, jakby od dawna mieszkał w Lucius. Ba, nawet z Shane'em się dogadywał.

- A jak twój ojciec? - zapytała.

- Bez zmian. Odzyskał przytomność tylko po to, żeby powiedzieć, że nie zgadza się na operację. - Zacisnął usta.

- Czy masz jeszcze jakieś rodzeństwo poza Darby?

-Nie.

- Jesteście ze sobą blisko?

- Czy to przesłuchanie? - Wypił parę łyków piwa.

Zmarszczyła brwi, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

Czyżby chciał w ten sposób udowodnić, że wcale nie jest taki miły?

- Kiedyś byliśmy - wyznał w końcu. - Jeszcze w dzieciństwie. .. Ale teraz Darby ma swoje życie, męża, dzieci. - Rozjeźrał się dookoła. - Niewiele tu nowych osób.

- Cóż, zawsze zwracamy uwagę na obcych. Dzięki temu w miasteczku jest tak bezpiecznie. Dzieci mogą bawić się, gdzie chcą, a ich rodzice nie muszą się martwić, że ktoś je zgarnie.

- Dziwne słowo - mruknął.

- Słucham?

- Zgarnie.

Spojrzała na niego zaskoczona. Wpatrywał się w nią intensywnie, a ona żałowała, że nie może przeniknąć jego myśli.

- Wiesz, o co mi chodzi. Tutaj jest po prostu bezpieczniej niż w wielkich miastach.

- Hm, gdybym nie wiedział, że twój ojciec jest pastorem, nigdy bym się tego nie domyślił. Chyba niewielu duchownych nosi kowbojskie kapelusze i pije piwo z puszki.

Hadley uśmiechnęła się szeroko.



- Fajny z niego facet, nie? - Beau stał w gronie przyjaciół i śmiał się głośno z jakiegoś dowcipu. - Shane jest trochę do niego podobny. Nic dziwnego, że moja mama od razu się w nim zakochała. Mówiła mi kiedyś, że byli sobie przeznaczeni.

- Mówiłaś, że jest twoim ojczymem. Byłaś chyba bardzo mała, kiedy się pobrali?

Skinęła głową.

- Mama rozstała się z pierwszym mężem jeszcze przed moim urodzeniem. Tak naprawdę to Beau jest moim prawdziwym ojcem. I mimo że czasami narzekam na braci i Evie, naprawdę bardzo ich kocham.

- Miałas szczęście. Ja dokładnie pamiętam rozwód swoich rodziców.

Zamarła na chwilę. Zauważyła, że oczy Wooda nagle pociemniały.

- Wiem, że dzieci cierpią z powodu rozwodów, ale czasami cierpiałyby bardziej, gdyby rodzice ze sobą zostali - powiedziała. - Zresztą to oni ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało.

- Nie w moim wypadku - odparł i natychmiast pociągnął łyk piwa.

Miał tak poważną minę, że serce jej się ścisnęło.

Popatrzyła na stojące na stole jedzenie. Mogłaby się teraz nim zająć i uniknąć dalszej rozmowy.

Wciąż się wahała.

Kiedy zobaczyła, że zbliża się do nich Wendell, poszła jednak za oddalającym się Woodem i dogoniła go koło schodów prowadzących do wyjścia.

- Wood!

Zatrzymał się i obejrzał za siebie.

-Tak?

Miał na sobie czarny sweter i spodnie khaki. Wyglądał w tym stroju naprawdę świetnie i musiała sobie przypomnieć, że ten mężczyzna wcale się nią nie interesuje.

-Może, ee... chciałbyś zatańczyć? - Sama nie wiedziała, dlaczego to zaproponowała. - Wynajęłam zespół, ale nikt ja-  
koś nie kwapi się do tańca. Może damy przykład?

Wiedziała, czego może się spodziewać. Czuła się dziwnie, bo nigdy nie uważała siebie za masochistkę.

- Naprawdę świetnie przygotowałaś to przyjęcie, Hadley. Idź się zabawić. - Spojrzał w stronę schodów.

- Stu mówił, że mają mu za parę dni zdjąć gips. A wtedy na pewno szybko skończy naprawiać twój samochód.

Wiedziała, że Wood spędza sporo czasu w warsztacie i sam zajmuje się swoim wozem. Słyszając jej słowa, skinął głową.

- Jasne. Zwłaszcza że dziś rano przyszły ostatnie brakujące części.

Brat jej tego nie powiedział i poczuła, jak rzednie jej mina.

- To bardzo dobrze - powiedziała wbrew sobie. - Już niedługo będziesz mógł oglądać Lucius we wstecznym lusterku swojego samochodu.

- Gdzie zniknęłaś, Hadley? - usłyszała za sobą głos Stu.

- Tata ma za chwilę występ.

Spojrzała w tamtą stronę. Rzeczywiście, Beau wspiął się już na scenę i zmierzał właśnie ku gitarzyście.

Popatrzyła z kolei na Wooda.

- Wracasz do pensjonatu?

- Tak, muszę trochę podzwonić.

Czuła, że kłamie. Uśmiechnęła się jednak i pozwoliła, by Stu poprowadził ją w stronę sceny. Po chwili salę wypełnił ciepły baryton ojca. Kiedy znowu spojrzała ku schodom, Wooda już nie było.

Shane pochylił się do jej ucha.

- Uśmiechnij się, bo inaczej tata pomyśli, że stało się coś złego.

Nie bez wysiłku przywołała uśmiech na twarz.

- Mam cię dość - powiedziała.

- Ja ciebie też. - Pochylił się i pocałował ją w czoło.

Beau po paru minutach skończył piosenkę, a potem wszyscy zaśpiewali Evie „Sto lat”. Hadley poczuła się raźniej, mając wokół siebie rodzinę i tylu przyjaciół. Pomyślała, że wszystko jakoś dojdzie do normy.

Musi się tylko oswoić z tym, że jej gość niedługo stąd wyjedzie.

I że zostanie sama.

Nie powinno jej być ciężko z tego powodu. Przecież znają się dopiero od tygodnia...

Dane stał przed kościołem z rękami wbitymi w kieszenie kurtki. Przez oświetlone okno widział wszystko, co działo się w sali, w której odbywało się przyjęcie. Widział rodzinę Golightlych tworzącą zwartą grupkę. I chociaż to Evie znajdowała się w centrum zainteresowania, on patrzył na Hadley. Miała na sobie jasnoróżową sukienkę, przy której jej włosy

nabrały jeszcze intensywniejszego koloru, a skóra wydawała się bardziej niż zwykle kremowa.

To prawda, że członkowie tej rodziny wtrącali się w nie swoje sprawy, ale dzięki temu stanowili jedność. Potrafili się razem śmiać i bawić. Trzymali się razem na dobre i na złe.

Nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo będzie im tego zażdrościł.

Westchnął i zaczął oddalać się od kościoła. Nagle się zatrzymał, słysząc wypowiedziane szeptem swoje imię. Prawdziwe imię.

Spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł drżącą na mrozie Mandy.

- Co tu robisz? - spytał.

- Od godziny staram się zwrócić twoją uwagę - rzekła z pretensją w głosie i chwyciła go za ramię. - Mam dobrą wiadomość. Michaels dostał dziś po południu mandat za szybką jazdę koło Billings.

Rutherford poczuł gwałtowny dreszcz. Tego się nie spodziewał. Oczekiwał raczej, że ojciec Charliego okaże się Alanem Michaelsem, dlatego przeżył dzisiaj duże rozczarowanie.

- Koło Billings? Jechał w tę stronę?

Mandy uśmiechnęła się triumfalnie.

- Właśnie. Mam też numer i markę jego samochodu. - Pochyliła się podniecona w jego stronę. - Teraz naprawdę go dorwiemy, Dane!

Wiedział, że strasznie się tu nudziła. Potrzebowała adrenaliny, by móc dobrze funkcjonować.

- Przepraszam...

Zrobił wielkie oczy, gdyż dostrzegł w otwartych drzwiach Hadley, otoczoną światłem niczym aureolą. Mandy natychmiast puściła jego ramię. Ale tamta i tak ich widziała i zapewne wyciągnęła mylne wnioski.

Dane natychmiast podszedł do schodów.

- O co chodzi? - spytał.

Ponieważ światło padało z tyłu, nie widział wyrazu jej twarzy.

- Właśnie zaczynamy kroić tort - zwróciła się do kelnerki.

- Może jednak poproszę Bethany, żeby nam pomogła - powiedziała chłodnym tonem.

- Nie, nie, już idę - rzuciła Mandy i ruszyła w stronę wejścia. Spojrzała jeszcze ze zdziwieniem na swego szefa, jakby chciała zapytać: Co ją ugryzło?

Dziewczyna zniknęła we wnętrzu kościoła, ale Hadley nie poszła za nią. Stała na schodach i patrzyła na niego, jak mu się wydawało, z wyrzutem.

- To z nią byłeś w sobotę - odezwała się w końcu. - I właśnie z jej powodu chodzisz do Tipped Barrel. Mogłeś mi powiedzieć. Zaoszczędziłbyś nam obojgu... - szukała odpowiedniego słowa - .. .kłopotu.

- Hadley!

- Przepraszam, ale czekają na mnie w środku. - Odwróciła się i weszła do kościoła.

Czerwone, nawet przy świetle księżycy, drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Wbiegł po schodach, chcąc ją zatrzymać, chociaż wiedział, że jest już za późno. Chciał jej powiedzieć prawdę. Wolał to, niż przypuszczenie, że wybrał Mandy.

Nagle odezwała się jego komórka.

- Cholera! - zaklął pod nosem.

Wyjął telefon z kieszeni i spojrzał na ekran. Dzwoniła Darby. Nie kontaktowała się z nim od paru dni i poczuł, że to może być coś ważnego. Przesunął się dalej, w miejsce, z którego mógł obserwować wnętrze sali, i odebrał połączenie.

- Tylko nie mów, że jesteś zajęty - usłyszał głos siostry.

- Już po jedenastej.

- Dobra, o co chodzi?

- Tata miał dzisiaj... kolejny atak. Chirurg powiedział, że trzeba się szybko zdecydować na operację, bo inaczej będzie za późno.

Mężczyzna potarł dłonią czoło.

- Czy odzyskał przytomność? - zapytał.

- Nie, nie, ostatnio nie. Dane, musisz podjąć decyzję - powiedziała błagalnie. - Wiem, że tata nie chce operacji, ale przekazał ci przecież swoje pełnomocnictwo.

- Jeśli idzie o prowadzenie firmy, a nie kwestie medyczne - odrzekł ponuro.

- Może nie miał takiego zamiaru, ale kontaktowałam się z prawnikami i to się da zrobić - nalegała siostra. - Wiem, że możesz udzielić zgody na operację. Nawet mama tu przyjechała. Była w szpitalu i uważa, że to jedyne wyjście. Wysłałam ci faksem odpowiednie formularze.

- A jeśli umrze? - To pytanie dręczyło go od dłuższego czasu. Nie mógłby się wówczas otrząsnąć z poczucia winy. Patrzył na zgromadzonych w sali Golightlych i myślał o tym, ile by dał, by mieć tak wspaniałą rodzinę.

- Ale z całą pewnością umrze, jeśli nie podejmiesz tej decyzji - stwierdziła twardo Darby, a potem uderzyła w błagalny ton: - Bardzo cię proszę! To jedyne wyjście! Wiem, że jest ci ciężko, wiem, że nie życzył sobie tej operacji, ale czy naprawdę uważasz, że chciałby umrzeć?

Dane poczuł, że ma mętlik w głowie. Westchnął ciężko i rzucił do telefonu:

- Zaczekaj chwilę, muszę znaleźć jakiś faks, z którego mógłbym skorzystać.

Wrócił do kościoła i mijając szatnię, od razu skierował się do sali, w której odbywało się przyjęcie. Zespół grał Moją rodziną Alabamę, a Hadley częstowała wszystkich tortem.

Nie zauważyła go. Tym lepiej.

Podszedł do Shane'a.

- Czy w kościele jest faks? - zapytał. - Siostra musi mi przesłać dokumenty.

Szeryf potrząsnął głową.

- O ile wiem, nie. Nikt go tutaj nie potrzebuje.

- A w pańskim biurze?

- Co ci się tak spieszy, Tolliver?

- Mam ważną sprawę. Jest czy nie?

Shane podał mu numer, który Dane następnie przedyktował Darby.

- Pielęgniarka zaraz wyśle wszystkie dokumenty. Podpiszesz je teraz? - zapytała.

Spojrzał na szeryfa.

- Nie mogę - odparł, świadomy tego, że ojciec wolałby, aby jego syn zajął się sprawą Alana Michaela. - Możecie poczekać do rana?

- Nie! - niemal krzyknęła.

- Jak ci tak zależy, Tolliver, możemy teraz pojechać do mojego biura. - Shane popatrzył na niego podejrzliwie.

- Czy ja dobrze słyszę? - odezwała się Darby.

- Będę panu bardzo wdzięczny, szeryfie - powiedział Dane. - Moja siostra bardzo się niepokoi. Sprawa jest naprawdę poważna.

Shane spojrział jeszcze na wciąż krzątającą się Hadley, a potem odstawił talerzyk z niedojedzonym tortem.

- Więc chodźmy.

Wyszli przed kościół. Terenówka szeryfa stała tuż przed wejściem. Dotarcie na posterunek zajęło im zaledwie parę minut. Golightly zapalił światła, a następnie skierował się do włączonego faksu. Leżały na nim dwie świeżo wydrukowane strony. Wziął je do ręki i zaczął czytać, po czym wręczył je Danebwi.

- No tak - burknął. - Wiedziałem, że nie nazywasz się Tolliver, ale nie przypuszczałem, że sprawy tak się mają.

Mógłbyś

pewnie wykupić wszystkie stare samochody w całym kraju.

Dane podpisał papiery, a następnie włożył je do faksu i wybrał numer siostry.

- Wysyłam ci dokumenty - powiedział do słuchawki. - Daj znać, jak będzie po wszystkim.

Szeryf pokiwał głową.

- Chodzi o twojego ojca. Czytałem dziś rano w gazecie, że Roth Rutherford wciąż jest w szpitalu.

- A gdyby ktoś dowiedział się, że jestem w Lucius, też napisaliby o tym w gazecie - odrzekł Dane. - Po prostu brakuje im tematów, a mnie się to wcale nie podoba.



Ku jego zdziwieniu Shane skinął głową ze zrozumieniem.

- Niech i tak będzie. Moja siostra się w tobie zakochała, a w każdym razie jest tego bliska. I też wcale mi się to nie podoba. Dlatego lepiej by było, gdyby wrócił pan do siebie, panie Rutherford.

Dane poruszył ustami, ale nie mógł zaprotestować.

- Wcale nie chciałem jej skrzywdzić. Jest najlepszą... -  
Urwał.

Nie miał zamiaru mówić szeryfowi o tym, co działo się w jego głowie. - A wyjadę wtedy, kiedy uznam to za stosowne.

- Posłuchaj, Rutherford, gdybyś dał mi tylko pretekst, zapudłowałbym cię od razu i to na tak długo, żeby Hadley mogła o tobie zapomnieć.

A wtedy moi prawnicy postaraliby się, żeby Shane Go lightly nie dostał nigdzie pracy w promieniu kilku tysięcy kilometrów w czasie najbliższych paru lat świetlnych, pomyślał Dane.

- Dziękuję za pomoc - powiedział, nie komentując głośno słów szeryfa. Wziął dokumenty z podajnika i złożony je, schował do kieszeni.

Po chwili wyszedł z posterunku i ruszył w stronę pensjonatu. Kiedy tam dotarł, w środku było ciemno, ponieważ wszyscy wciąż bawili się na przyjęciu. Skierował się do salonu, gdzie, jak wiedział, znajdował się barek. Otworzył go, wyjął butelkę whisky, a potem poszedł do swego pokoju, gdzie czekał na telefon od Darby.

Hadley związała ostatnią torbę ze śmieciami i podała ją Stu, żeby wyniósł do pojemników na odpadki. Włożyła kurtkę i owinęła się ciepłym szalikiem.

- Gdzie się podział Shane? - spytała brata.

Wzruszył tylko ramionami. Zaczekał chwilę, aż dziewczyna wyjdzie, a potem zgasił światła. Byli ostatni. Beau odwiózł wcześniej Evie wraz z dziećmi do domu.

- Widziałem, że tańczyłaś z Wendellem - zauważył Stu, gdy wyszli na dwór.

- Nie ciesz się za bardzo. Powiedziałam mu, żeby poszukał sobie innej kandydatki na żonę.

- Ale dlaczego?

- Bo go nie kocham - odparła po prostu. I wiem już, jak wygląda miłość, dodała w duchu.

Otworzyła główne wejście do kościoła i czekała, aż brat wyjdzie z ostatnią torbą śmieci. Pomyślała, że nawet gdyby Wood nie pojawił się w jej życiu, to i tak nie wyszłaby za Wendella. Spojrzała w górę. Znowu zaczął sypać śnieg. Białe płatki opadały wolno na ziemię.

- A ty co? Chodziłbyś z kobietą, która by ci się nie podobala? Jasne, że nie! To byłoby zbyt okrutne.

Stu tylko chrząknął i podreptał ze śmieciami w stronę pojemników, które stały na tyłach kościoła. Czekala w swojej furgonetce, żeby się z nim pożegnać. Kiedy znowu się pojawił, pomachała mu ręką, ale on podszedł do jej wozu.

- Zapomniałeś czegoś? - spytała.

- Podziękować ci za przyjęcie - odparł. - To był świetny pomysł.

- Ale nie mój. Wood mi go podsunął. - Poczula ukłucie w sercu. - To na razie, Stu. Trzymaj się.

Włączyła silnik i zamknęła okno. Mężczyzna odsunął się trochę i patrzył za nią, jak odjeżdżała.

W pensjonacie było cicho i spokojnie. Hadley przyniosła naczynia do kuchni i ustawiła je na stole. Umyła je już w kuchni kościelnej, a teraz pożałowała, że to zrobiła. Mogłaby się przynajmniej czymś zająć. Wiedziała, że nie zaśnie, zastanawiając się, czy Wood jest u siebie w pokoju, czy może u boku pięknej Mandy Manning.

Zacząła ustawiać naczynia w kredensie z nieco większą energią, niż to było konieczne. Wreszcie skończyła i powlokła się do swego pokoju na piętrze. Aż się zjeżyła, kiedy doszła do końca korytarza. Pod drzwiami Wooda dostrzegła cienką smugę światła.

Weszła do siebie i zatrzasnęła drzwi. Oparła się o nie plecami. Serce biło jej coraz mocniej. Teraz przyszło jej do głowy, że Mandy mogła po prostu tu przyjść.

Dość tego! - powiedziała sobie w duchu. Rozejrzała się po pokoju. Tak naprawdę tylko tutaj czuła się naprawdę jak w swoim domu. Urządziła go tak, jak chciała. Resztę pensjonatu pozostawiła nietkniętą po śmierci matki.

Popatrzyła na cienie książek na półkach. Tylko tutaj mogła marzyć o tym, że któregoś dnia zobaczy swoje nazwisko na jednej z okładek.

- No, dość tego - powiedziała i szybko zaczęła się przebierać.

Wrzuciła sukienkę, która miała na sobie, do pojemnika z rzeczami do prania. Wciąż jeszcze była tam różowa kurtka z plamami krwi Wooda. Ostatnio była tak zajęta, że nie miała czasu, by zawieźć ją do pralni. Pomyślała, że plama może już nigdy nie zejść.

Weszła do łazienki i stanęła jak wryta. Drzwi do pokoju

lokatora były otwarte. Podkraǳła się do nich, chcąc je jedynie cicho zamknąć. Wcale nie miała zamiaru tam zagląǳać.

Ciekawość jednak zwyciężyła. Zerknęła do środka i dostrzegła go siedzącego przy łóżku. W jednej dłoni trzymał butelkę whisky, a w drugiej szklaneczkę.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka i chociaż wiedziała, że robi głupio, weszła do jego pokoju.

- Nic ci nie jest? - spytała.

Drgnął, słysząc jej głos. A kiedy na nią spojrział, dostrzegła ból w jego oczach. Poczuła, że bardzo chciałaby mu ulżyć, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Zapomniała, że ma na sobie tylko starą piżamę. I że Wood wcale się nią nie interesuje.

- Co się stało? - rzuciła, posuwając się ku niemu niczym zjawą.

Uniósł głowę.

- Wierzysz w przebaczenie, Hadley?

Przelknęła z trudem ślinę i podeszła do niego. Zauważyła, że w butelce jest jeszcze sporo whisky. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle o niej zapomniał.

- Tak, oczywiście - odparła.

- A ja nie - odrzekł, kręcąc przecząco głową.

- Więc chyba trudno ci żyć - zauważyła. - Komu nie chcesz wybaczyć?

- Nie chcę? Nie mogę! Zresztą, co za różnica... - mruknął.

- I wcale nie sypiam z Mandy Manning.

Poczuła dziwną ulgę.

- Ale coś was łączy - powiedziała ostrożnie.

- Po prostu się przyjaźnimy. I to od dawna.

-I w dodatku spotkałeś ją przypadkowo w Lucius? - zapytała z przekąsem. - Nie jestem aż tak głupia.

Postawił butelkę i szklaneczkę na szafce nocnej.

- Wcale nie jesteś głupia - stwierdził. - Jesteś dobra, piękna i aż do bólu uczciwa. W dodatku troszczysz się o wszystkich, tylko nie o siebie.

Zaczęła mu się uważnie przyglądać.

- Czy coś się stało? - spytała. - Chodzi o twojego ojca? Zmrużył oczy i przeciągnął dłonią po włosach.

- Właśnie go operują. Wyraziłem na to zgodę, chociaż wcale tego nie chciałem.

Oparła mu dłoń na ramieniu, chcąc go jakoś pocieszyć.

- To nic złego - powiedziała. - Po prostu ci na nim zależy. Czy właśnie na tym polegały nieporozumienia między wami?

- Między innymi - odparł. - Ale tak naprawdę chodzi o coś ważniejszego, znacznie ważniejszego.

Pogładziła go po swetrze. Czuli się w tej chwili bardzo dziwnie i sama nie wiedziała, co to może znaczyć.

- Członkowie rodziny często się kłócą. To normalne. Popatrz na nas...

- Patrzyłem! - przerwał jej. - Jesteście wspianą, kochającą się rodziną. Moja nigdy taka nie była... A może kiedyś, jeszcze zanim wszystko popsulem...

Hadley zakręciły się łzy w oczach.

- Na pewno nie jest tak, jak ci się wydaje - rzekła z westchnieniem i przyklękła przy nim.

Spojrzał na nią i dotknął jej policzka. Poczuli, że serce bije jej coraz mocniej.

- Jesteś pewna, że wierzysz w przebaczenie?

-Tak.

- Więc czy mi to wybaczysz? - powiedział i pochylił się, by dotknąć ją wargami.

Rozchyliła usta. Świat wokół niej zawirował. Po chwili połączyli się w namiętnym pocałunku.

RS

## Rozdział 11

Hadley przyciągnęła go do siebie. Czowała w nozdrzach jego zapach.

- Wood.

- Cii, nic nie mów.

Po chwili poczuła jego język w uchu. Zaczęło jej się robić coraz cieplej. Wsunął dłoń pod pizamę i poczuł jej nagą skórę. Zadrzała i przyłgnęła do niego. Ich ciała się zetknęły, a potem Dane przesunął dłoń wyżej, w stronę jej piersi. Jęknęła cicho. Mężczyzna jednym ruchem zdjął sweter. Miał pod nim koszulę i Hadley zaczęła ją nerwowo rozpinać drżącymi palcami, ale nie bardzo jej to szło.

W końcu zdjął koszulę przez głowę.

- Dotknij mnie - poprosił.

Pogładziła jego nagie ciało. Poczuła pod palcami twarde mięśnie, a on westchnął głęboko. Po chwili zaczął rozpinać guziki jej pizamy, patrząc z fascynacją na to, co odsłaniało się przed jego oczami.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Zawstydzila się, ale tylko na chwilę. Kiedy dotknął jej piersi, wygięła ciało, a z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk. Wciąż przed nim klęczała, drżąc z pożądania. Dane pochylił się, całując jej włosy, twarz, ramiona i w końcu piersi. Wziął ją na ręce i ułożył ją przy sobie na łóżku. Czula jego mocne ciało i żalowała, że oboje wciąż mają na sobie spodnie.

Ponownie zaczął ją całować, coraz niżej i niżej, zsuwając powoli spodnie od piżamy. Po chwili leżała przed nim naga.

- Teraz ty - szepnęła.

Popatrzył na nią z góry.

- Jesteś pewna?

Przełknęła z trudem ślinę i skinęła głową. Dane zaczął rozpinąć pasek, oddychając ciężko. Zdjął spodnie, lecz kiedy został w samych slipach, ponownie się zawahał.

- Pragnę cię - powiedziała, patrząc na niego ponagląco. Już się nie wahał. Zrzucił szybko slipy i przyłgnął do niej nagim ciałem. Było to dla niej niezwykle doznanie. Jakby nagle nauczyła się latać. Zadrżała dziko, przyciągając go do siebie nogami.

- Jeszcze nie - szepnął.

Zaczął delikatnie ją pieścić, a ona myślała, że spali się w żarze pożądania. Poddawała się pieszczotom, pragnąc, by już w nią wszedł, by mogli być jednym. On jakby wyczuł jej myśli, gdyż szepnął jej do ucha:

- Nie musimy się spieszyć.

Teraz pieścił ją językiem, a Hadley odchodziła od zmysłów. Położyła dłonie na jego głowie, kiedy całował jej brzuch, przesuwając się niżej. A potem nagle położył się na plecach obok niej.



- Nie chcę cię skrzywdzić - szepnął.

Doskonale wiedziała, że nie chodzi mu w tej chwili o uczucia. Popatrzyła na niego, nie wiedząc, czy wciąż jej pragnie, i dotknęła dłonią jego klatki piersiowej. Serce biło, mu mocno. Poczowała, że drży, co natychmiast kazało jej pozbyć się wątpliwości. Pragnął jej tak samo jak ona jego.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Nie skrzywdzisz - szepnęła.

Dane przyciągnął ją do siebie.

- Mam prezerwatywy w portfelu - powiedział.

- Wszystko mi jedno...

- Ale mnie nie. - Z trudem się od niej odsunął. - Nie chcę cię narażać na ciążę. Zwłaszcza ciebie.

Wystarczyło jednak, że go dotknęła, a zapomniał o ostrożności. Zaczęli się całować jak szaleńcy, a potem już nie potrafili się powstrzymać. Czuł Hadley pod sobą i wszedł w nią, nie myśląc o tym, co się może stać. Kochali się pospiesznie, krzycząc z rozkoszy. Sami nie wiedzieli, ile to trwało, a kiedy się od siebie oderwali, dyszeli ciężko.

- Jesteś wspaniała - szepnął, unosząc się na łokciu.

- Gdzie idziesz? - spytała przestraszona.

- Zaraz wrócę. Po ręcznik.

- Nie, zostań. Tak jest wspaniale.

Został więc, pieścąc delikatnie jej ramiona. Pomyślał, że i mogłoby tak trwać przy niej całą wieczność. Ich oddechy zaczęły się powoli wyrównywać i wreszcie zasnęli.

Za oknem budził się szary świt, kiedy zadzwoniła jego komórka. Dane obudził się i dostrzegł Hadley, która patrzy-

ła na niego zamglonym wzrokiem. Usiadła na łóżku, zasłaniając się kołdrą.

Sięgnął po telefon, modląc się w duchu, żeby się okazało, że wszystko poszło dobrze.

- Darby?

- Udało się - usłyszał jej zmęczony, ale pełen radości głos.

- Lekarze mówią, że stan taty jest stabilny. Będą wiedzieli więcej po dwudziestu czterech godzinach.

Opadł na poduszki. A więc nie zabił go. To była prawdziwa ulga. Uświadomił sobie jednak, że w dalszym ciągu ma obowiązki wobec ojca. I nie tylko wobec ojca.

Położył dłoń na ramieniu Hadley.

- Jesteś tam, Dane? - usłyszał głos siostry.

- Co? Tak. Bardzo się cieszę. - Darby zapomniała już o traumie związanej z porwaniem i zaczęła normalne życie, teraz kolej na niego. - Przyjadę dzisiaj do szpitala.

Przez chwilę milczała.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że tam przyjadę - powtórzył. Alan Michaels wciąż był na wolności, ale powoli przestawało go to interesować. Nie można przecież żyć jedynie myślą o zemście. Popatrzył na leżącą obok niego kobietę. Są inne, ważniejsze sprawy.

- Bardzo się cieszę. Zadzwoń, gdybym dowiedziała się czegoś nowego.

Rozłączyła się, a on zamknął kłapkę telefonu i odłożył go na szafkę.

- Twój ojciec?

- Tak, przeszedł pomyślnie operację.

- To wspaniale. - Poglaskała go wolną ręką po głowie. -

Bardzo się cieszę.

Dane podniósł się i sięgnął po slipy.

- Muszę wracać do domu - powiedział cicho.

Mina trochę jej zrzędlą, ale skinęła głową.

- Jasne. Powinieneś być przy ojcu.

Wiedział, że gdyby został w łóżku, znowu by się z nią kochał, a wtedy z pewnością nie chciałoby mu się stąd wyjeżdżać. Objął ją ramieniem i przyciągnął do piersi. Myśli kotłowały się w jego głowie i nie miał pojęcia, jak wyrazić to wszystko w słowach. Pocałował ją tylko, ale po chwili poczuł, że znowu jej pragnie. Zerknęła na jego wyprężoną męskość.

-Może... -szepnęła.

-Widzisz, jak na mnie działasz? Zaraz wezmę zimny prysznic.

Poszedł do łazienki i sięgnął po prysznic. Wbrew zapowiedzi zaczął się myć ciepłą wodą. Miał nadzieję, że Hadley zaraz się tu pojawi i że będą mogli kochać się w wannie, tak jak to sobie wymarzył. Ona jednak nie przyszła.

W końcu zakręcił z westchnieniem wodę i sięgnął po ręcznik. Wytarł głowę, a następnie całe ciało. Popatrzył na slipy, które wziął ze sobą do łazienki, i w końcu owinął ręcznik wokół bioder. Powinien jednak się ubrać. I przede wszystkim porozmawiać przed wyjazdem z Hadley.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzucił, wchodząc do pokoju. Siedziała na łóżku. Miała na sobie jego wczorajszą koszulę i... nic więcej. Wyglądała w tym stroju bardzo pociągająco. Mógł teraz podziwiać jej wspaniałe długie nogi. Najchętniej

wzięły ją w ramiona. Wiedział jednak, że ma inne sprawy do załatwienia..

- Muszę ci coś powiedzieć - powtórzył.

Uniosła wolno głowę i dopiero teraz zauważył, że trzyma w dłoniach jego portfel.

Dane nagle zamarł.

Poczuł zimny dreszcz, który przeszedł mu wzdłuż kręgosłupa.

Uniosła portfel, jakby to była bomba albo coś równie niebezpiecznego.

- Chciałam właśnie pójść do ciebie do łazienki - szepnęła.

- Mówiłeś, że masz tu przerwy. Nie... nie chciałam, żebyś się martwił, więc... więc... - W jej gardle narastał szloch, ale się nie rozpląkała.

- Hadley!

- Przerwywa - powiedziała bez związku.

- Wszystko ci wytłumaczę - rzekł pospiesznie, doskonale wiedząc, że jest na to za późno. Do poprzednich kłamstw doszło jeszcze jedno i czuł się teraz naprawdę podle.

Spojrzała na niego oskarżycielsko.

- Wcale nie zapomniałeś prawa jazdy. Czy Shane o tym wiedział?

- Nie. - Chciał do niej podejść, ale wyciągnęła rękę, powstrzymując go. - Ale wie, kim jestem. Musiałem wczoraj podpisać dokumenty, które Darby przysłała mi faksem.

Włożyła prawo jazdy z powrotem do portfela i złożyła go.

- Dane Rutherford, zamieszkały w Louisville, w stanie Kentucky. Lat trzydzieści siedem, metr osiemdziesiąt pięć, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak.

Powinien być jeden: kłamliwy sukinsyn, pomyślał. Doskonale rozumiał, co czuje Hadley. Kochała się z facetem, nie znając jego imienia i nazwiska.

Pochyliła się i ostrożnie położyła portfel na szafce, tuż obok komórki. Męska koszula rozchyliła się i mężczyzna dostrzegł jej nagą pierś.

- To chyba był dla ciebie szczęśliwy zbieg okoliczności, że zajechałam ci drogę - szepnęła.

Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Ja nazwałbym to raczej przeznaczeniem - powiedział. - Chciałem ci wszystko wyjaśnić...

- Kiedy?

- Właśnie przed chwilą.

Potrząsnęła głową na znak, że mu nie wierzy.

- Shane mnie ostrzegął, ale nie chciałam go słuchać. Byłam pewna, że cię dobrze poznałam. Że wiem, jaki naprawdę jesteś.

Dane potrząsnął głową.

- A nie wiesz?

Wstała z łóżka i podeszła do okna.

- Powinnam była się tego domyślić. Ten samochód, drogie koszule... - Dotknęła tej, którą miała na sobie. - To je-dwab, prawda?

- Tak.

- Co facet twojego pokroju robi w takiej dziurze jak Lucius? Po prostu chciałeś się zabawić, a ja ci to ułatwiłam, prawda? Byłam łatwa i tyle...

Złapał ją za ramię, ale odskoczyła, jakby jego dotyk palił,

- Nie, Hadley, wcale nie. Naprawdę chciałem ci wszystko

powiedzieć. Nie wiesz o różnych sprawach. Miałem tutaj coś do zrobienia, ważne zadanie, przynajmniej tak mi się wydawało - usiłował się tłumaczyć.

- No i już je wypełniłeś i zadanie przestało być ważne - powiedziała ze łzami w oczach. - A ja tak uważałam. Myślałam. .. - Obróciła się w jego stronę. - Ale teraz już się nie liczę, prawda?

- Wprost przeciwnie. Bardzo się liczysz.

- Nie kłam! Przynajmniej teraz nie kłam! - Popatrzyła na niego z niechęcią. - No ale cóż, udało ci się. Chcę ci tylko powiedzieć, że miałeś rację. Niektórych rzeczy się nie wybacza.

- Hadley!

- Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej stąd wyjedziesz. - Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Po chwili otworzyła, je i wrzuciła do pokoju jego koszulę. Potem poszła do siebie.

## Rozdział 12

Niewielki samolot odrzutowy z logo Rutherford Industries wylądował na drodze koło Lucius i powoli zaczął hamować. Rzadko uczęszczany trakt był zabezpieczony przez policję, ale po obu stronach zebrało się sporo mieszkańców miasteczka. Takie zdarzenia rzadko miały miejsce w tych okolicach, więc była to dla nich swego rodzaju atrakcja. Jednak szeryf dotrzymał słowa i nie powiedział nikomu, że Lucius miało wątpliwy zaszczyt gościć przez parę dni szefa firmy Rutherford Industries, a ten był mu za to bardzo wdzięczny.

Dane wysiadł teraz z policyjnej terenówki i spojrzął w stronę samolotu. Doskonale wiedział, że brat Hadley pomógł mu nie z życzliwości, tylko po to, żeby pozbyć się go jak najszybciej z miasteczka.

Wciąż się wahał. Tak naprawdę nie wiedział, co powinien zrobić, i było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Nie należał też do ludzi, którzy często przepraszają za swoje błędy.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Twarz szeryfa pozostała nieprzenikniona.

- Mam nadzieję, że udławisz się tą swoją zemstą, Rutherford - mruknął.

- Może rzeczywiście tak by się stało, gdybym dopiął swego.

Shane machnął ręką.

- Daj spokój tym bzdurom. Przecież dostałeś to, o co ci chodziło.

- Nic podobnego, szeryfie - rzekł Dane ponuro. - Wygląda na to, że ja też nie potrafię znaleźć faceta, który porwał moją siostrę.

Ruszył w stronę samolotu. Jego obsługa otworzyła drzwiczki i opuściła na drogę niewielkie schodki. Dane zauważył pilota, Lou Riggsa, i pozdrowił go skinieniem.

Nagle jednak poczuł twardą dłoń na swoim ramieniu.

Obrócił się i dostrzegł stojącego tuż za nim Shane'a.

- Co takiego? - spytał go zdziwiony.

- Wyjaśnij, o co ci chodzi, Rutherford?

Dane posłał mu gniewne spojrzenie. Nie był przyzwyczajony do słuchania rozkazów. Zwykle sam je wydawał. Jednak szeryf patrzył na niego z determinacją.

- No, o co chodzi z tym porywaczem? - powtórzył pytanie.

- Facet, który porwał moją siostrę, dwa tygodnie temu uciekł z więziennego psychiatryka - padła odpowiedź. -

Nie wiem dlaczego, ale fascynowała go ta dziura. - Spojrzał w stronę Lucius. - Chciałem go tutaj dorwać, bo może wtedy łatwiej byłoby mi żyć. Sam nie wiem.

Powiedziawszy to, strząsnął z barku dłoń szeryfa, nawet na niego nie patrząc, i skierował się do samolotu. W kieszeni



jego kurtki odezwała się komórka, ale był tak zły, że postanowił jej nie odbierać.

Wszedł pospiesznie na pokład, uściśnął dłoń Lou i powiedział:

- Lecimy.

- Tak jest, panie Rutherford - usłyszał.

Zajął swoje zwykłe miejsce. Na stoliku przed nim leżało parę gazet, a poza tym stał tam porcelanowy imbryczek z doskonałą kawą, talerzyk z rogalikiem oraz miseczka z winogronami i mandarynkami. Wiedział, że gdyby sobie tego zażyczył, natychmiast przyniesiono by mu sok pomarańczowy albo truskawki, albo owoce mango, sprowadzone z Karaibów specjalnie dla jego rodziny.

Pilot zapuścił silniki i Dane czekał, aż zawróci na wąskiej drodze i wystartuje. Kiedy zamknął oczy, natychmiast zobaczył Hadley. Znał ją zaledwie tydzień, ale wiedział, że zawsze będzie o niej pamiętał.

Otworzył oczy, a następnie jednym ruchem strącił wszystko ze stolika. Patrzył jeszcze, jak kawa rozlewa się po błękitnym dywaniku.

- Panie Rutherford?

- Tak, Vivian?

Stewardesa, której zadaniem było uprzyjemnianie mu lotu, popatrzyła na niego z wahaniem.

- Ktoś do pana dzwoni.

Spojrzał na porzrzućane na podłodze przedmioty i zaczął się zastanawiać, co dziewczyna sobie pomyślała. Prawdopodobnie przyszło jej do głowy, że szef, który zawsze nad sobą panował, w końcu postradał zmysły.

- Czy mam przynieść panu aparat? - Z pewnością była bardzo zdenerwowana, ale dobrze to ukrywała.

Dane dotknął nasady nosa. Po raz pierwszy od paru dni zaczęła go boleć głowa, ale starał się nie zwracać na to uwagi.

- Tak, bardzo proszę - powiedział z westchnieniem.

Skinęła głową i po chwili przyniosła z kabiny bezprzewodowy telefon. Wziął go i skinął głową.

- Na razie to wszystko.

Vivian przeszła do dyżurki, zapewne z ulgą, a on przyłożył aparat do ucha, chociaż tak naprawdę miał ochotę rzucić nim o ścianę. Samolot zawrócił, a silniki zaczęły nabierać mocy. Powinien dotrzeć do Louisville jeszcze przed południem.

- Tak, słucham?

- Gdzie, do licha, się wybierasz? - usłyszał w słuchawce poirytowany głos Mandy Manning. - Dzwoniłam na twoją komórkę i do pensjonatu. W końcu dowiedziałam się, że jesteś już w samolocie.

- Mój ojciec miał w nocy operację. Wracam do domu - wyjaśnił.

- Ach tak - powiedziała rozczarowana. - Może jednak się wstrzymasz. Jestem właśnie w Miles City. Michaels wynajął tu wczoraj pokój w motelu.

Dane zastanawiał się, dlaczego samolot jeszcze nie wystartował. Przecież silniki pracowały pełną parą.

- Poradzisz sobie sama - rzucił do słuchawki. - Przecież jesteś w tym naprawdę dobra. Jeśli wiesz, gdzie go można znaleźć, możesz o tym powiadomić miejscową policję. Powinni go przecież zamknąć.

- Rozmawiałam już z kierownikiem motelu, ale Michaels gdzieś wyjechał. Pytał, jak można się dostać do Lucius bocznymi drogami. Pomyślałam, że sam zechcesz się tym zająć. Znam już nazwisko jego byłej żony. Nazywała się Hanna Olivia Leigh.

- No i co z tego?

- Okazało się jednak, że używała imienia Holly.

Ścisnął słuchawkę w dłoni. Myślał, że ją zgniecie, ale w końcu odłożył ją na pusty stolik i skierował się szybko do kabiny. Vivian przestraszyła się na widok wyrazu jego twarzy.

- Słucham, panie Rutherford.

- Otwórz drzwi wejściowe - rzucił. - Nigdzie nie lecimy.

Lou spojrział na niego z miną winowajcy.

- Przepraszam, panie Rutherford. Samochód policyjny wciąż zagradza nam drogę.

- Nic nie szkodzi - odparł tamten, machnąwszy ręką.

Stewardesa otworzyła drzwi samolotu. Chciała wyjąć schodki, ale jej szef pokręcił głową i, nie czekając, wyskoczył z maszyny. Podbiegł szybko do terenówki Shanea. Zaraz też szarpnął za klamkę po stronie kierowcy.

- Hadley jest córką Alana Michaela! - krzyknął.

Szeryf nie odpowiedział. Nie musiał tego zresztą robić.

Dane poczuł, że nareszcie wszystko układa mu się w głowie w logiczną całość.

- Do licha, Shane! Nie miałem o tym pojęcia! - Zaczął się powoli uspokajać. - Michaels miał obsesję na punkcie mojej siostry i Lucius. A teraz właśnie tu jedzie. Pomożesz mi, czy sam mam się zająć tą sprawą?

Mężczyzna za kierownicą pokręcił głową.

- Nie mógł dowiedzieć się o Hadley - stwierdził. - Holly urodziła ją dopiero tutaj. Wyrzekła się wszystkiego, byle tylko zniknąć mu z oczu.

- A on porwał moją siostrę tylko po to, żeby później udawać jej wybawcę. Chciał w ten sposób odzyskać żonę. Ten facet to wariat i Bóg jeden wie, co może mu przyjść do głowy. W jakiś sposób dowiedział się o Lucius i pewnie niedługo tu będzie.

- To ty go tutaj doprowadziłeś.

- Nie sądzę. Nie ma pojęcia, że jestem na jego tropie. Nie mogę pozwolić, żeby zrobił coś Hadley. Za bardzo ją Kocham. - To była prawda. Zdał sobie z tego sprawę, jak tylko wypowiedział te słowa.

Szeryf zastanawiał się przez chwilę.

- Dobra, wsiadaj.

Dane przeszedł na drugą stronę wozu i ulokował się na miejscu pasażera. Kierowca zawrócił i ruszył w stronę miasteczka.

- Musisz usunąć samolot z drogi - rzucił przez zęby.

Rutherford wyjął komórkę. Wydał szybko dyspozycje pilotowi i nawet nie obejrzał się za siebie. Przejechali obok nieczynnego lodowiska. Shane włączył światła, ale nie sygnał dźwiękowy.

- Hadley miała się dziś zająć dziećmi Evie - powiedział.

- Jeśli Michaels dotrze do Lucius, przynajmniej nie zastanie jej w pensjonacie.

- Jedź szybciej - odrzekł tylko siedzący obok mężczyzna i spojrzał na zaśnieżoną drogę.

Hadley nałożyła sobie drewna na wyciągnięte ramię i skierowała się do pensjonatu. Weszła do kuchni i ułożyła je pod piecem, a następnie strzepnęła kurtkę. Popatrzyła pustym wzrokiem za okno. Pomyślała, że Tolliver odleciał już pewnie do Louisville.

Wyjechał na zawsze.

Posłuchał jej i już nigdy go nie zobaczy.

Czuła się fatalnie i żałowała, że nie może tak łatwo rozkazywać swemu sercu. Poszła do holu i z westchnieniem powiesiła kurtkę na wieszaku. Następnie zebrała brudne talerze oraz sztućce z jadalni i zaniósła je do kuchni.

W całym domu panowała bolesna cisza. Nawet pani Ardelle nie grała na pianinie, gdyż pojechała razem z Joanie do Billings, żeby pomóc jej kupić rzeczy dla dziecka. W czasie śniadania rozmawiały o tym, że starsza pani mogłaby zająć się niemowlakiem, gdy ten trochę podrośnie, a wtedy jego matka skończyłaby szkołę średnią, a potem nawet zapisałaby się na jakieś studia. Nawet Vince gdzieś wyszedł, zjadłszy swoją ulubioną jajecznicę.

Gospodyni nalala sobie kawy, a potem usiadła przy stole. Patrzyła na kubek, ale nie piła. To był przecież tylko tydzień. Jak mogła tak beznadziejnie się zakochać w ciągu zaledwie paru dni?

Pociągnęła nosem i wytarła niechciane łzy, które pojawiły się na jej policzkach. I tak sporo dzisiaj płakała. Aż do momentu, kiedy Dane wyjechał z pensjonatu.

Poczuła się samotna w tym wielkim domu. Wciągnęła głęboko powietrze i pomyślała, że nie powinna była dzwonić do siostry z prośbą, by ktoś inny zajął się dziećmi. Przy-

najmniej miałyby jakieś zajęcie i mogłyby zapomnieć o tym, co się stało. Wzięła kubek z kawą i skierowała się do swego pokoju. Przechodząc przez hol, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi wejściowe.

Zacisnęła mocniej palce, ale to nie był on.

Kazała mu odjechać, więc jej posłuchał.

W drzwiach stał starszy, łysiejący mężczyzna z posiwiałymi resztkami włosów. Jego twarz pokrywała sieć zmarszczek.

- Tak, słucham? Czym mogę panu służyć?

Patrzył na nią przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Wcale się nie zmieniłaś - powiedział.

- Co takiego?

Zamknął za sobą drzwi i podszedł do niej.

- Bardzo długo cię szukałem. Dlaczego uciekałaś?

Dziewczyna poczuła ściskanie w żołądku i ciarki na plecach.

- Czy my się znamy?

- Nie mów tak! Przestań!

Ileż to razy Evie pouczała ją, żeby zamykała drzwi na klucz. Teraz Hadley pożałowała, że nie posłuchała jej rad.

- Nie chciałam pana urazić - odezwała się ostrożnie. -

Niestety, nie mamy wolnych pokoi. Ale na pewno znajdzie pan coś w Lucius Inn.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że mam się zatrzymać gdzie indziej? Nie zrobisz mi tego! - Spojrzył jej głęboko w oczy. - Przyjechałem z bardzo daleka...

- Z jak daleka?

Zmarszczył brwi.

- Przecież wiesz.

- No tak, oczywiście - rzuciła, cofając się trochę. Czowała, że serce skacze jej do gardła. - Świetnie wyglądasz.

Nieznajomy przeciągnął dłonią po włosach.

- Trochę się zestarzałem, ale ty wyglądasz bardzo młodo, Hannah - powiedział. - Młodo i pięknie.

Ręce jej opadły, kubek wypadł z dłoni i kawa wylała się na linoleum. Teraz już wiedziała, z kim ma do czynienia, i czuła się bardzo dziwnie. Hannah - to było imię jej matki. To, które miała w dowodzie i którego nigdy nie używała.

Mężczyzna spojrzał na stłuczony kubek.

- Nie ruszaj się kochanie, bo się skaleczysz - rzucił.

Hadley z trudem przełknęła ślinę.

- Dobrze, Alanie - szepnęła.

Miała przed sobą człowieka, którego jej matka bała się przez całe życie. I chyba jakąś część tego strachu przekazała córce, gdyż dziewczyna drżała, patrząc teraz na ojca. Nie miała pojęcia, czego się może po nim spodziewać. Nie wiedziała, co zechce zrobić.

Michaels uśmiechnął się do niej, jakby wyczuł, że o nim myśli. Miał orzechowe oczy. Tak jak ona.

- Chodź, kochanie - powiedział i wyciągnął do niej rękę.

Dane stał pod drzwiami, nasłuchując tego, co działo się wewnątrz. Shane poszedł tymczasem na tyły domu, aby spróbować dostać się do środka kuchennymi drzwiami. Nie mieli pojęcia, czego mogą się spodziewać, ale to, że Hadley nie było u Evie, bardzo zaniepokoiło ich obu. Kiedy Rutherford usłyszał odgłos uderzenia, położył dłoń na gałce. Przez

chwilę się wahał, a potem postanowił zajrzeć przez okno, by się upewnić, czy dziewczynie nic nie grozi.

Kiedy spojrzął przez szybę, zamarł na widok Alana Michaela. Zestarzał się, ale wyglądał tak, jak go zapamiętał.

Dopiero po chwili uspokoił się na tyle, by móc ocenić sytuację. Hadley stała obok intruza. Na podłodze widać było stłuczony kubek i rozlaną kawę. Zapewne upuściła go przed chwilą, ale wyglądało na to, że nic się jej nie stało. Mężczyzna chyba nie miał broni. Byłoby mu trudno ją zdobyć, bo musiałby pokazać sprzedawcy jakiś dokument, a nie tylko kartę kredytową.

Rutherford otworzył drzwi i wszedł do środka. Hadley wzdrygnęła się i popatrzyła na niego bezradnie. Była tak blada, że najchętniej zadusiłby teraz jej ojca gołymi rękami.

- Michaels! - rzucił.

Tamten spojrzął w jego stronę. Zmarszczył brwi i wyprostował się.

- Co to za facet? - spytał.

W tej samej chwili Dane zauważył uzbrojonego Shanea, który wyszedł właśnie z kuchni.

- Nie przejmuj się, Alan - rzuciła dziewczyna. - To tylko jeden z naszych gości.

Wyglądało na to, że to wyjaśnienie uspokoiło Michaela.

- W porządku. Cieszę się, że prowadzisz pensjonat.

Zawsze byłaś sprytna, Hannah. - Popatrzył na nią czule.

- Tak bardzo chciałem, żebyś mnie pokochała. Wszystko robiłem dla ciebie... - Zniżył głos do szeptu: - Rozumiesz, wszystko.

Poczuła łzy na policzkach.



- Rozumiem, Alan.

Mężczyzna skinął głową z ulgą. Przykleknął i zaczął zbierać skorupy z rozbitego kubka.

- Nie chcę, żebyś się skaleczyła - powiedział.

Szeryf stanął za Michaelsem i przygwoździł go nogą do podłogi.

- Nie ruszaj się! Policja!

Dane wziął Hadley w ramiona, nie chcąc, by patrzyła na tę scenę. Trzęsła się niczym liść osiki i płakała, ale poza tym była cała i zdrowa. Alan próbował wyrwać się Shanebwi, ale był od niego mniejszy i słabszy. Tamten skuł go kajdankami, a potem przeszukał, ale okazało się, że nie ma nawet noża.

- Nic ci nie jest? - spytał siostrę.

- On myśli, że jestem Holly - szepnęła.

Rutherford popatrzył na leżącego na podłodze mężczyznę i nagle poczuł, że przechodzi mu wszelka niechęć, jaką do niego czuł. Był stary i bezbronny. Wyglądał bardziej na ofiarę niż na groźnego przestępcę.

Szeryf postawił go na nogi i skierował się z nim do wyjścia. W tej chwili w drzwiach pojawiła się Mandy. Gwizdnęła przeciągle na widok Michaela i dołączyła do policjanta. Zamierzała przekazać mu wszystkie znane jej szczegóły dotyczące zbiega.

- Hannah, kocham cię! - wrzasnął mężczyzna, kiedy go wyprowadzali. - Zawsze cię kochałem!

Hadley zasłoniła usta dłonią i poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Dane podtrzymał ją mocnym ramieniem. Zaprowadził do pokoju i położył na łóżku, ale ona po chwili zerwała się na równe nogi i wybiegła do łazienki.

Usłyszał, jak wymiotuje i wszedł za nią.

- Nie, nie! - Powstrzymała go machnięciem ręki.

Już raz pozwolił się odprawić. Nie miał zamiaru popełnić tego błędu po raz drugi. Urwał kawałek papierowego ręcznika z rolki, zmoczył go i podał dziewczynie, by mogła wytrzeć sobie nim twarz. Usiadła na staromodnym żółtym dywaniku leżącym na terakocie i wybuchnęła płaczem.

RS

## Rozdział 13

- Hadley? Gdzie jesteś? - Evie wraz z dziećmi wpadła do kuchni i zatrzymała się na jej widok. - Właśnie się dowiedziałam.

Popatrzyła na siostrę i na opartego o blat Dane'a, a potem znowu przeniosła wzrok na dziewczynę.

- Nic ci nie jest? - Rzuciła na stół torebkę i podeszła do niej, żeby ją uściskać.

Od chwili, kiedy Shane zabrał Alana Michaela, minęła mniej więcej godzina i Hadley zdołała się już trochę pozbiierać. Wciąż jednak nie mogła pogodzić się z tym, że spotkała swojego biologicznego ojca. To Beau był jej prawdziwym ojcem i chciała, by tak zostało.

W końcu Evie opadła z westchnieniem na krzesło.

- Tata też zaraz tu będzie - powiedziała.

- Tak, wiem - odrzekła jej siostra. - Dzwonił wcześniej. - Poglądziła po główce Julie i uśmiechnęła się do Treva. - Zupełnie niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

- Alan, idźcie pobawić się przed domem. Możecie zrobić bałwana - Evie zwróciła się do dzieci.

Starszy chłopiec skinął głową i wyprowadził rodzeństwo z kuchni.

- Mam wrażenie, że nagle wydorósł - zauważyła jego ciotka.

- Powiedziałam im dziś rano, że rozwodzę się z Charliem - rzuciła matka dzieci. - Ale chyba tylko Alan tak naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy.

Teraz z kolei Hadley objęła siostrę.

- Tak mi przykro.

Evie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno.

- Mam już dosyć jego romansów i picia. Tak będzie lepiej. Muszę się tylko zastanowić, co mam teraz robić po tych latach spędzonych w domu.

- Oczywiście, musisz się tutaj przeprowadzić. To przecież jasne, że to ty powinnaś prowadzić ten pensjonat.

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

- Należał do twojej matki, Hadley.

- Była też twoją matką. Tak jak Beau jest moim prawdziwym ojcem.

Trzeba było aż takiego nieszczęścia, by dziewczyna zrozumiała to, co już od dawna było oczywiste. Jej starsza siostra znacznie lepiej nadawała się na gospodynię Tiffa.

- Ale co z tobą? - spytała Evie z troską.

Hadley skurczyła się. Czuła, że Dane wciąż na nią patrzy.

- Nigdy nie chciałam prowadzić pensjonatu - wyznała w końcu. - Robiłam to, bo wszyscy tego chcieli.

- Nie utrzymasz się przecież z pisania. - Evie pokręciła

głową dla podkreślenia znaczenia swych słów. - Przynajmniej na razie.

- Tak, wiem. Znajdę sobie jakąś pracę. - Hadley powstrzymywała się, by nie odwzajemnić spojrzenia Dana. - Mogę prowadzić warsztat Stu, a Riva przejdzie w końcu na emeryturę. ..

Beau otworzył szeroko drzwi do kuchni i od razu wziął młodszą córkę w ramiona.

- Kochanie.

- Nic mi nie jest, tato - powiedziała, ale przytuliła się do niego mocno. - Tylko trochę mi smutno.

- Cii. - Pocałował ją w czoło. - Już po wszystkim. Shane powiedział mi, że odsyła Michaela do więziennego szpitala z obostrzonym rygorem. Już go tam przypilnują.

Hadley spojrzała w końcu na wpatrującego się w nią mężczyznę. Miał na sobie jakiś inny, drogi sweter i džinsy od znanego projektanta.

- Domyślam się, że pan Rutherford się o to zatroszczy - rzuciła.

Dane zmarszczył brwi, a następnie wylał resztkę swojej kawy do zlewu i wyszedł z kuchni.

Pan Golightly popatrzył za nim ze zdziwieniem.

- O co chodzi, Hadley? - spytał cicho.

Ona jednak podażyła za wychodzącym. Stał w holu i wziął właśnie z wieszaka swoją kurtkę.

- Więc wyjeżdżasz?

Popatrzył na nią poważnie.

- Mój ojciec wciąż jest w szpitalu - przypomniał.

- No tak... - Zrobiła krok w jego stronę, ale zaraz się za-

trzymała. - Dane. Czuję się dziwnie, kiedy tak do ciebie mówię, ale to imię bardziej do ciebie pasuje. - Urwała na chwilę.

- Sama nie wiem, co powiedzieć. I co teraz robić.

- Nic już nie da się zrobić. Ostrzegalem cię. - Nagle zmienił temat. - Ale Michaels na pewno już nie będzie cię niepokoił.

- Obawiam się, że bardziej niepokoi ciebie niż mnie - odrzekła z westchnieniem. - Twoja siostra jakoś doszła do siebie po tym, co się stało, ale ty wciąż to rozpamiętujesz.

Spojrzał na nią z niechęcią i zaklął pod nosem, a następnie wyszedł. Hadley ruszyła za nim.

- Uważaj, bo zmarzniesz - upomniał ją.

- Co się z tobą dzieje, Dane?

Zamyślił się na chwilę.

- Miałem wtedy szesnaście lat i powinienem był bardziej uważać. Gdyby tak było, Michaels nigdy nie porwałby Darby. Trzymał ją przez cztery dni związaną i zakneblowaną w jakimś starym magazynie. Omal się nie udusiła. A moi rodzice zaczęli się kłócić z powodu tego, co się stało...

- Myślisz, że gdyby mu się wtedy nie udało, nie spróbowalby znowu? Moja matka zawsze się go bała. Miałam sześć lat, kiedy porwał twoją siostrę, próbując odzyskać żonę. Sama nie wiem, co sobie myślał. Nikt tego chyba nie wie. Żyje w innym świecie. To chyba jasne po tym, co wydarzyło się dzisiaj.

- Nie zmienia to faktu, że ponoszę odpowiedzialność za porwanie siostry.

- Nie, Dane, obawiam się, że tak jak ona jesteś tylko ofiarą tego porwania. Powinieneś sobie wybaczyć, bo nie mogłeś

temu zapobiec. Może raz, wtedy w windzie, ale co z tego? Jesteś opętany nienawiścią do samego siebie. W dodatku wykorzystales mnie, żeby wyrównać rachunki z Michaelsem. Spojrzał na nią smutno.

- To nieprawda! - niemal krzyknął. - Pokochałem cię. Wiem, że trudno mi będzie bez ciebie żyć. Przyjechałem tu z powodu Michaela, ale potem to się zmieniło.

- Ale ja... jestem jego córką.

-Nie, jesteś córką Beau i Holly. Sama to powiedziałaś. Zresztą do dzisiejszego ranka nie miałem o niczym pojęcia.

- Myślałam, że wiesz.

- Nie wiedziałem. - Zaczął schodzić po schodach.

Hadley pospieszyła za nim.

- Zmarzniesz - powtórzył.

- Nieważne. Chcę wiedzieć, czy nie skłamałeś, kiedy to powiedziałeś.

- Co takiego? - spytał.

Stali teraz na ubitym śniegu. Nieopodal bawiły się dzieci, jednak nie zwracały na nich uwagi.

- Że mnie kochasz.

- Tak. - Spuścił głowę. - Ale nie sądzę, że ty mogłabyś pokochać mnie po tym, co się stało. Wracaj do domu, Hadley. Tam jest twoje miejsce.

- Myślisz, że nie pasuję do twojego świata.

- To raczej ja nie pasuję do twego - odrzekł niepewnie. - Moje życie jest zupełnie inne. Nie mam wyboru. Muszę prowadzić rodzinną firmę, chociaż tak naprawdę pragnę czegoś zupełnie innego.

Wciągnęła do płuc zimne powietrze.

- Och, Dane! Robisz dokładnie to, co ja robiłam przez te wszystkie lata. Chcesz koniecznie dostosować się do oczekiwań innych.

- Możliwe - przyznał. - Nie mogę jednak tego zmienić. Przecież jestem Rutherfordem. - Skrzywił się przy tych słowach.

- Tak, ale bycie Rutherfordem to nie wszystko - stwierdziła. - Pamiętaj, że jesteś wspaniałym mężczyzną. Jedyńm, którego naprawdę kochałam. - Zauważyła wyraz bólu, który pojawił się na jego twarzy. - Moi rodzice byli przez dwadzieścia lat małżeństwem. Gdyby mama nie zmarła, do dziś stanowiliby szczęśliwy związek. Kiedyś mi powiedziała, że jak tylko poznała Beau, zrozumiała, że są sobie przeznaczeni. - Uśmiechnęła się blado. - Mam wrażenie, że jestem do niej podobna.

- Nie, Hadley...

- Możesz wyjechać, ale nie zmieni to ani moich, ani twoich uczuć. Będzie nam obojgu bardzo ciężko, jeśli nie wykorzystamy tego daru, który otrzymaliśmy. Kocham cię i zawsze będę cię kochać. Powinieneś tylko przestać siebie nienawidzić z powodu tego, co się stało.

Popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Jedź do ojca - powiedziała. - Na pewno bardzo cię teraz potrzebuje. I przemyśl to, co ci powiedziałam.

- Co teraz zrobisz? - zapytał.

Uśmiechnęła się, widząc jego poważną minę.

- Chyba zajmę się lunchem dla moich gości - odparła. - A potem przekażę moje obowiązki Evie, bo wydaje mi się, że powinnam się zająć czymś innym. Muszę też porozmawiać



ze Stu w sprawie pracy. I kupić sobie laptopa, żeby zająć się poważnie pisaniem. Będę też czekać, aż w końcu przekonasz się, że wiesz, co robić dalej ze swoim życiem.

Obróciła się na pięcie i ruszyła po schodach. Dane patrzył za nią, aż zniknęła za drzwiami.

Wiedział, że więcej się nie pojawi.

- Chyba zwariowałeś! - Roth Rutherford siedział w swoim ulubionym fotelu przy biurku. - Co to znaczy, że rezygnujesz ze stanowiska dyrektora generalnego? Chcesz, żebym znowu dostał zawału?

. - Nie sądzę, żeby groził ci kolejny zawał - odparł Dane. - Miałeś operację trzy miesiące temu i, nie oszukujmy się, od tego czasu jesteś zdrowy jak rydz. Poza tym wcale nie rezygnuję, tylko już zrezygnowałem. W jutrzejszej prasie pojawi się informacja na ten temat.

Spojrzał za okno, gdzie rozpościerały się łagodnie zielone wzgórza, zupełnie nie przypominające zaśnieżonych szczytów z okolic Lucius.

- Mam w nosie to, co napiszą w gazetach. Twoją rezygnację musi jeszcze przyjąć rada nadzorcza, a ja wciąż jestem jej prezesem.

- Darby zgodziła się głosować za rezygnacją.

- Darby? Zwykle przekazuje mi swój głos.

- Ale nie tym razem.

Razem z siostrą mieli w trzyosobowej radzie przewagę nad ojcem.

Roth popatrzył złym wzrokiem na syna.

- Więc może mi chociaż powiesz, czym chcesz się zająć?

- Projektowaniem i budową samochodów wyścigowych - odrzekł. - RTM to przecież moja firma. Stworzyłem ją od podstaw, tak jak ty Rutherford Industries.

- Do licha, nigdy nie zdołałem ci tego wybić z głowy! - mruknął Roth.

- Tak, jestem uparty jak inni członkowie naszej rodziny. Dane spojrział na matkę. Nie zdołał się jeszcze oswoić z jej obecnością.

- Nikt cię nie pytał o zdanie, Felicio! - Mąż uprzedził jej słowa.

- A szkoda. - Pani Rutherford przeszła w głąb biura. - Dane jest przecież także moim synem.

- Może lepiej wybrałabyś się na zakupy.

Młody człowiek przeciągnął dłonią po włosach.

- Jesteście siebie warci - stwierdził.

Do pokoju weszła bezceremonialnie Marlenę i odepchnąwszy jakieś papiery, postawiła tacę z kanapkami i kawą.

- Dzwonił Sims, ktoś chce się z tobą widzieć, Dane - rzuciła.

- Pewnie Fitzpatrick w sprawie oświadczenia dla prasy - zgadywał. - Powiedziałem, że sam do niego zadzwonię, kiedy będę gotowy.

Marlenę zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, to jakaś kobieta. Nazywa się Golightly. Ale to też pewnie jakaś dziennikarka pod fałszywym nazwiskiem.

Dane natychmiast wyszedł z pokoju i skierował się na schody. Jego samochód stał na podjeździe. Wsiadł do niego i ruszył w stronę budki strażników. Tuż obok znajdował się

parking i właśnie tam zauważył Hadley. Mimo że był już maj, miała na sobie różową kurtkę i džinsy. Na jego widok zacisnęła dłonie. Podeszedł do dzielącego ich szlabanu.

- Cześć - powiedział.  
- Cześć. Już prawie nie masz znaku na czole - zauważyła.  
- A ty masz już swoją kurtkę.  
- Dostałam ją wczoraj. Wcałe nie musiałeś jej przysyłać.  
- Tak, jasne. - Długo szukał kurtki podobnej do tej, którą jej poplamiał, ale w końcu musiał zadowolić się podobną, od projektanta z Mediolanu. - Czy przyjechałaś po to, żeby mi podziękować?

Hadley z trudem przełknęła ślinę.

- Jak się miewa twój ojciec?  
- Świetnie, tylko jest na mnie trochę wkurzony.  
- To dobrze. A co z Darby?  
- Wszystko w porządku. Poza tym moja matka wróciła do ojca. To chyba wszystko.  
- Nie sądzę - stwierdziła.

Dane spojrział przed siebie. No tak, Fitzpatrick siedział jak zwykle w samochodzie ze swoim olbrzymim aparatem fotograficznym.

- Chodź! - Wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. - Będziesz mogła jutro obejrzeć swoje zdjęcie w gazetach.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- O czym ty mówisz?  
- Prasa - wyjaśnił, wskazując fotoreportera.  
- O Boże, nie miałam pojęcia! - Przeszła na jego stronę.  
- Czy mogę zostawić swój wóz na parkingu? Wynajęłam go na lotnisku.

- Tak, oczywiście. - Otworzył jej drzwiczki po stronie pasa-  
żera, a gdy wsiadła, zamknął je i zajął miejsce za kierownicą.

- Ojej! - wykrzyknęła z podziwem, gdy po krótkim czasie stanęli przed okazałą willą.

- To nasz dom rodzinny - wyjaśnił.

- Raczej pałac - sprostowała.

Popatrzył na nią.

- Po co przyjechałaś, Hadley?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Brakowało mi ciebie - rzekła niepewnie. - Miałam nadzieję...

-Tak?

- Że mi wybaczysz.

- Co takiego? - zapytał zdziwiony.

-Wszystko. To, co ci powiedziałam o Michaelsie i...

i o tobie.

- Michaels jest w tej chwili w prywatnej klinice w Kanadzie. Leczy się i niczego mu nie brakuje.

- Ale jak...? - Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Pieniądze. Zrobiłem to, bo doprowadził mnie do ciebie - dodał, wyprzedzając kolejne pytania. - Dzięki tobie nauczyłem się, że sam powinienem pokierować swoim życiem.

I właśnie zacząłem to robić.

- Och, Dane!

- Mam dla ciebie coś jeszcze - dodał.

-Tak?

- Moją miłość. - Hadley wciągnęła głęboko powietrze, a on ujął jej dłoń. - Ale to trudny dar. Czy przyjechałaś tu tylko po to, żeby podziękować mi za kurtkę?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Przecież wiesz, że nie. Przyjechałam, bo bałam się, że już cię więcej nie zobaczę.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- Chciałem najpierw uporządkować swoje życie. Tak jak sobie tego życzyłaś... Czy wyjdiesz za mnie?

- Jestem tylko dziewczyną z Lucius, a ty... - Westchnęła.

- Jedyńm mężczyzną, którego pokochałaś - dokończył za nią. - Chyba że zmieniłaś zdanie.

- Nie, wciąż cię kocham - zapewniła.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Po chwili zapomnieli o całym świecie. Myśleli już tylko o sobie i o wspólnym szczęściu.

RS

## Epilog

Główna nawa kościoła w Lucius wydawała się bardzo długa. Hadley stała w krążganku i wsłuchiwała się w muzykę. Shane pochylił się w jej stronę.

- Chyba nigdy nie grało tu tyle skrzypiec jednocześnie - zauważył.

Uśmiechnęła się lekko.

- To był pomysł Dane'a.

Evie pociągnęła lekko za jej welon, chcąc go wyrównać, a potem przyjrzała się krytycznie pannie młodej.

- No, nie najgorzej - stwierdziła. Po chwili spytała cicho, tak by nie usłyszała jej Darby, która również była druhną:

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Hadley uśmiechnęła się do siostry.

- Nie przejmuj się mną, Evie.

Darby popatrzyła na nie z rozbawieniem. Obie drużny miały na sobie zielone suknie z różowymi zdobieniami i wyglądały jak dwie piękne róże.

- Dobrze. Uważaj, zaraz się zaczniesz - rzuciła Evie i zaczęła zwoływać dzieci, by ustawiły się za panną młodą.

- Bardzo ładnie wyglądasz, ciociu - powiedziała Julie.

- Ty też, kochanie.

Alan przewrócił oczami, ale po chwili poprawił sobie krawat. Muzyka zaczęła narastać, a potem rozbrzmiała ślubnym marszem.

To już, pomyślała Hadley.

Ruszyła do przodu, a cały orszak podążył za nią. Starła się nie patrzeć na boki, ale wiedziała, że są tu rodzice Danea, cała jej rodzina, a także nareszcie szczuplutka Joanie, pani Ardelle, a nawet Vince.

Beau czekał na nią przy ołtarzu. Dziewczyna przymknęła na chwilę oczy. Miała nadzieję, że nie popełniła błędu. Kiedy jednak zobaczyła pana młodego, zrozumiała, że to niemożliwe.

Stał przy ołtarzu w otoczeniu друзbów: Wooda Tollivera, Stu i małego Trevora.

- Wierysz w przeznaczenie, Shane? - spytała Hadley brata, który prowadził ją do ołtarza.

Uśmiechnął się niepewnie. Nigdy nie lubił mówić o takich sprawach. Teraz też się zaniepokoił, słysząc jej słowa.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nie, jasne, że nie - odparła i wyszła naprzeciw swego przeznaczenia.